CD „Zaufaj" - teledyski i piosenki

RUaH

20/2002

MAGAZYN MUZYCZNY

P.O.D.
PRZYSTANEK JEZUS.
THE SAKALA BROTHERS
S.O.S. 2002
DEUS MEUS

KWARTALNIK
www.ruah.pl

14,90 zł
w tym VAT 0%

ISSN 1428 5983 INDEX 345385

ISSN 1428-5983
9 771428 598035 09

7 teledysków na naszym CD

1. **MAGDA ANIOŁ** - *Zaufaj* [4:03] - sł./muz. Adam Szewczyk - reż. Grzegorz Sadurski

2. **CHILI MY** - *Niedzielny przelot* [3:54] - sł./muz. Jacek Wąsowski - reż. Grzegorz Sadurski

3. **NEW LIFE 'M** - *Z całej duszy* [5:06] - sł. Beata Mencel / muz. Joachim Mencel - reż. Marcin Fischer

4. **ARKA NOEGO** - *Niebo niebieskie* [3:33] - sł./muz. Robert Friedrich - reż. Grzegorz Sadurski

5. **TOMEK KAMIŃSKI** - *Z miłości do Ciebie* [3:58] - sł./muz. Tomek Kamiński - reż. Marcin Wrona

6. **VIOLETTA REGINA PIĘCIAK, LEOPOLD KOZŁOWSKI & CHÓR D.A. z Poznania** - *Ichtis* **(LEDNICA 2000)** [2:50] - sł. Jan Góra / muz. Leszek Kwiatkowski - reż. Rafał Wieczyński

7. **ANNA MARIA JOPEK, NATALIA KUKULSKA, KASIA STANKIEWICZ, ROBERT AMIRIAN, JOSZKO BRODA, GRZEGORZ MARKOWSKI, CZESŁAW NIEMEN, RYSZARD RYNKOWSKI, MIETEK SZCZEŚNIAK** - *Osiem błogosławieństw* - sł. Mt 5,3-12 / muz. Jan Pospieszalski [4:20] - reż. Grzegorz Sadurski

Sesja: MUZYKA CHRZEŚCIJAN - TO JUŻ 10 LAT?

2.10.02 (środa) godz. 11.00
Warszawa, ul. Foksal 3/5 Centrum Multimedialne
[bezpośrednio po konferencji prasowej I Festiwalu Muzyki Dobrej]

Prowadzenie: Andrzej Bujnowski OP

Program:
1. Piosenki i teledyski - czy telewizja może pokazywać muzykę chrześcijan?
referuje Grzegorz Sadurski [pokaz teledysków z RUaH 20]
2. „Głoście na cały" świat „czyli po co gra to radio?"
[dyskusja nad tekstem Tomka Wienke z RUaH 20]
referuje Michał Kulenty
3. Czy kopiowanie płyt jest grzechem?
referuje ks. Grzegorz Ułamek

Zaproszeni goście: przedstawiciele rozgłośni, stacji TV, producenci teledysków, wydawcy, dziennikarze, artyści, fachowcy od prawa autorskiego.

Przygotowanie sesji: redakcja RUaH.

W NUMERZE

6 **Newsy**
7 **Po co gra to radio** – T. Wienke
8 **S.O.S. 2002**
12 **Rytebłota** – Strefa Chwały
18 **The Sakala Brothers**
22 **Rafał Boniśniak** – opowiada o Afryce
28 **Przystanek Jezus**
43 **Maleo na Jamajce** – ostatni odcinek
44 **P.O.D.**
49 **Deus Meus**
56 **Galeria RUaH** – Teresa Maria Reklewska
58 **Marcin Polak** – o muzyce, której słucha
59 **Prawda jest symfoniczna**
60 **Dr A. Zoła** – o śpiewie religijnym
oraz stałe pozycje:
zapistnik Toski Krzysztoń, listy, recenzje, nuty

RUaH numer 20

WYDAWCA / REDAKCJA:
paganini
Małgorzata i Janusz Kotarba
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82
e-mail: firma@paganini.com.pl
RUaH w internecie: www.paganini.com.pl, www.ruah.pl
Druk: Drukarnia Kolejowa, Kraków
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść i formę reklam.
Na okładce: Levey Sakala (The Sakala Brothers)
Fotografia na okładce: Krzysztof Raczyński

ZESPÓŁ:
Redaktor naczelny: Janusz Kotarba
Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP
Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP
Grzegorz Kaczmarek
Sekretariat redakcji: Weronika Kotarba
Skład i łamanie: G. K. i A. K. / fabryka bA!
Korekta: Ewa Czyżowska
Stali współpracownicy: Natalia i Tomek Budzyńscy, Jan Bujnowski, Andrzej Cudzich, Andrzej Dziewit, Iwona Flisikowska, Jan Gołaski, Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz, Jacek Kowalski, Antonina Krzysztoń, Michał Kulenty, Darek Malejonek, Beata Mencel, Marcin Perfuński, Barbara Pycel, Krzysztof Raczyński, Cezary Sękalski, ks. Tomasz Tobolski, Leszek Tokarski, ks. Grzegorz Ułamek, Grzegorz Wacław, Jan Walczewski, Monika Zytke.

news news news

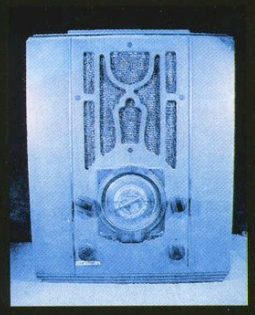

GŁOŚCIE NA CAŁY ŚWIAT, czyli po co gra to radio?

Planowałem przesłanie całkiem innego tekstu do 20. numeru magazynu RUaH (felieton miał dotyczyć m.in. trendów w muzyce chrześcijańskiej w USA). Jednak w ostatniej chwili zdecydowałem się na zmianę tematu. W sierpniu przyleciałem na wakacje do Polski. Z nadzieją przystąpiłem do przeszukiwania pasma radiowego chcąc wstroić się w rodzime, chrześcijańskie fale. W gąszczu jednakowo brzmiących stacji wreszcie trafiłem na „radio dobrze nastawione". Kilkudniowe przysłuchiwanie się tej chrześcijańskiej radiostacji zmotywowało mnie do napisania tego artykułu.

Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że tekst ten jest moją osobistą opinią. Mieszkając w Stanach miałem możliwość przysłuchiwania się paru tamtejszym chrześcijańskim rozgłośniom. Nie oznacza to, że jestem zwolennikiem bezkrytycznego przenoszenia amerykańskich wzorców w polski eter, jednak chrześcijańskie media w USA mają zdecydowanie inny program - są „inaczej" nastawione. Sprawę ich wartościowego programu rozwinę w dalszej części, a teraz chciałbym wrócić do mojego polskiego doświadczenia. Z pewnymi oczekiwaniami zacząłem wsłuchiwać się w wymienioną na wstępie radiostację. Mija pierwsza godzina, druga, trzecia... jeden dzień, później następny i następny... a w końcu zaczynam się zastanawiać i zadawać pytanie „o co tutaj chodzi?!" Jaki jest cel serwowania katolikom w Polsce kolejnej kopii komercyjnego radia tj. RMF? (a kopie jakie są, każdy słyszy). Jedyną zauważalną programową różnicą jest wkręcenie modlitwy, nabożeństw i czytania fragmentu Pisma Świętego pomiędzy... „poruszające" piosenki np. Budki Suflera czy Madonny. Oj, jak boli.... boli mnie nieświadomość i niedocenianie wagi słowa. Z jednej strony nadawanie Słowa Bożego, które ma moc przemieniać ludzkie życie, a jest zagłuszane przez komercyjną papkę. Z drugiej strony nadawane popularne świeckie piosenki, których słowa nierzadko chełpią się szybką miłością i egoizmem, drwią z naszej wiary i nijak się mają do Miłości Bożej, Zbawienia i powołania do świętości. W Piśmie Świętym jest napisane, że wiara rodzi się ze słuchania. A co się rodzi ze słuchania takiej mieszanki?

Domyślam się, że jednym z założeń radia jest jak największa słuchalność. Stąd chyba biorą się kompromisy, tj. zamierzony charakter stacji komercyjnej i znikoma prezentacja muzyki chrześcijańskiej w nadziei na zdobycie jak największej liczby słuchaczy. Tylko po co? Jeżeli głównym celem istnienia chrześcijańskiego radia jest jak najszersza słuchalność, to jest to błędne założenie już na samym początku. Chcąc tworzyć rozgłośnię chrześcijańską nie można koncentrować się na wynikach badania rynku i biznesowym planie, określającym dotarcie do docelowej grupy słuchaczy. Z chrześcijańskiej perspektywy słuchacz to nie grupa ale człowiek... pojedynczy człowiek zmagający się ze swoją wiarą, poszukujący prawdy, doświadczany problemami i zadający pytania.

Właśnie na takiego słuchacza jest nastawiona większość amerykańskich chrześcijańskich stacji radiowych. Ich różnorodność jest bogata i każdy może znaleźć coś dla siebie. Są np. rozgłośnie dla starszych słuchaczy, są dla młodych grające bardzo dużo współczesnej muzyki chrześcijańskiej, są też radia koncentrujące się na rodzinie i takie, których program zawiera wszystkiego po trochu. Jednak zdecydowana większość z nich nie skupia się na zapewnianiu rozrywki, nie unika trudnych tematów, ale współuczestniczy w problemach słuchaczy i stara się nieść im pomoc poprzez pryzmat chrześcijańskiej wiary. W większości także są to stacje lokalne, co jest ważne, bo daje to szansę na żywy kontakt z lokalnym kościołem i oczywiście słuchaczem. Nie bez znaczenia jest też fakt, że chrześcijańskie radia w USA prezentują dobry amerykański poziom. W Polsce parę lat temu wszystko zaczęło się od zakładania lokalnych radiostacji katolickich, jednak myślę, że porażką był ich poziom (aczkolwiek były i wyróżniające się radiostacje np. Radio Józef w Warszawie). I choć intencje były dobre, to przy skromnym budżecie trudno było wyprodukować wysokiej jakości program. Amerykanie natomiast rozwiązali ten problem w ciekawy sposób. Ja jako mąż i ojciec często słucham stacji, w której wypowiadają się uznane w Stanach i na świecie chrześcijańskie autorytety odnośnie do spraw rodziny (małżeństwa, wychowywania dzieci, pogłębiania wiary...). Dla przykładu wymienię chociażby nazwisko znanego i goszczącego w Polsce Josha McDowella. Programy te gromadzą rzesze słuchaczy, którzy mają szansę na kontakt z prowadzącymi. To jest żywe radio, dzwonią wtedy całe Stany. Natomiast owym ciekawym rozwiązaniem jest to, że te same programy są transmitowane przez dziesiątki innych lokalnych chrześcijańskich radiostacji. Dlatego podróżując po Stanach mam szansę na wysłuchanie kolejnych programów w innych rozgłośniach, które choć będąc lokalnym radiem pod własną nazwą oferują ambitny, ceniony i popularny program. Oczywiście stacje te nie byłyby w stanie same wyprodukować wielu takich programów. Nie muszę także nadmieniać, że wielką oszczędnością jest produkcja jednego dobrego programu dla wielu rozgłośni. Wspomnę jeszcze, że większość rozgłośni chrześcijańskich w Stanach utrzymuje się także z datków słuchaczy. Pewnie dlatego nie ma w programie zapychaczy w postaci np. „sportowych" konkursów.

Pisząc o radiu nie można pominąć sprawy muzyki. Chyba nikogo nie zdziwię pisząc, że w Stanach chrześcijańskie rozgłośnie grają wyłącznie chrześcijańską muzykę. A w Polsce? Ktoś mi kiedyś powiedział, że polityką „radia dobrze nastawionego" jest granie muzyki chrześcijańskiej od czasu do czasu, ale tak, żeby nikt nie wiedział, że to jest muzyka chrześcijańska. Czyli są to utwory z reguły angielskie. Pozostawię to już bez komentarza...

Natomiast jak można nie zauważyć przebudzenia wśród polskich muzyków?! Jako chrześcijanin wierzę, że nie dzieje się to bez powodu. Chrześcijańscy artyści tworzą niebanalną muzykę, powstaje wiele nowych i dobrych zespołów, jednak jaka jest ich przyszłość, kiedy media zdają się nie zauważać ich istnienia? Jak ich twórczość jest ważna i jak są popularni potwierdzają liczne festiwale muzyki chrześcijańskiej. Są świadectwa nawróceń poprzez muzykę z przesłaniem. Czegóż jeszcze więcej potrzeba? Mam nadzieję, że nie pieniędzy wydawców płyt artystów chrześcijan, bo to oznaczałoby zgubną komercjalizację muzyki chrześcijańskiej. Dzisiejsza muzyka chrześcijańska jest tworzona na wysokim, profesjonalnym poziomie. Także w Polsce. Teksty polskich piosenek są zrozumiałe dla wszystkich, mogą dotykać i zmieniać ludzkie serca. Szkoda, że nie trafia ona do szerszego grona słuchaczy. Ci po prostu nie wiedzą o istnieniu takowej (może z wyjątkiem Arki Noego). Dlatego nie należy się dziwić, że słuchacze wypełniający ankiety dotyczące preferencji muzycznych nie wymieniają zespołów chrześcijańskich. Natomiast popularni świeccy artyści nie potrzebują już większej promocji w rozgłośniach chrześcijańskich. Zresztą czy promowanie postaw i treści często zaprzeczających chrześcijańskim wartościom przystoi radiostacji określającej się mianem chrześcijańskiej?

Czy „radio dobrze nastawione" jest głosem Nowej Ewangelizacji, do której wzywa Jan Paweł II?

„My wiemy, co się święci" głoszą hasła reklamowe radia. Pozwolę sobie zapytać: czy aby na pewno? Powtarzając za statystykami: wzrasta liczba rozwodów rodzin katolickich; młodzi odwracają się od Kościoła; coraz więcej nastolatków ucieka z domów i pada ofiarami narkotyków, sekt. Radio może być wspaniałym narzędziem docierającym do tych, którzy nie mają odwagi lub chęci zapukania po pomoc do drzwi w parafii. Może być też alternatywą dla chrześcijan szukających umocnienia i wartościowego programu. Tym bardziej trudno mi zrozumieć, dlaczego chrześcijańska radiostacja wstydzi się promowania chrześcijaństwa.

Parokrotnie mówiono już, że Polsce potrzebna jest dyskusja na temat roli chrześcijańskich mediów. Istnieją one w eterze już od paru lat i może to dobry czas, aby zatrzymać się i spojrzeć na owoce. Może to także dobry czas, aby zadać pytanie: czy rolą chrześcijańskich mediów jest tylko zapewnianie rozrywki czy też może mają do spełnienia inną misję? Nie czekajmy, aż ktoś znowu za nas zdecyduje o tym, czego chcemy słuchać. Zapraszam do rozmowy o tym na internetowym forum RUaH.

Tomek Wienke *(e-mail: tomw@kdm.pl)*

Duch Boży nad wodami

SONG of SONGS 2002

Do tańca i do różańca - taka muzyka rozbrzmiewa już od 5 lat na toruńskim Bulwarze Filadelfijskim. Tysiące ludzi przyjeżdża co roku do Torunia, by się bawić, tańczyć, śpiewać i modlić przy dobrej muzyce. Każdy znajdzie jakieś dźwięki dla siebie: niepokorny punk pomacha głową do ostrej muzyki, zakręcony reggaowiec poskacze w rytm dubu, spokojna nastolatka powzrusza się przy balladach, a rozmodlony młody człowiek skorzysta z nabożeństw. To wszystko odbywa się tuż nad Wisłą, a „Duch Boży unosi się nad wodami". Taki jest Międzynarodowy Ekumeniczny Festiwal Muzyki Chrześcijańskiej „Song of Songs".

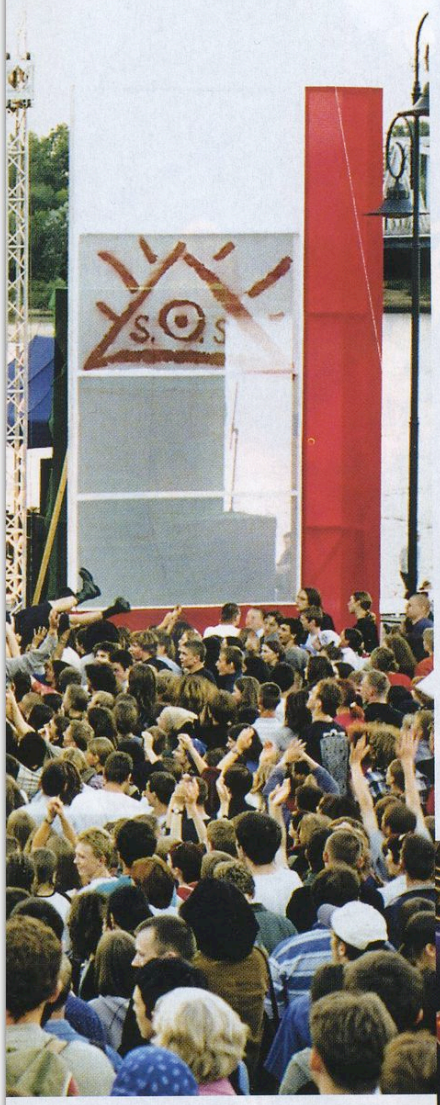

Kilka tysięcy osób pogowało, skakało i głośno krzyczało: Przyjdź, Panie Jezu!!!

W tym roku impreza miała numerek jubileuszowy, bo piąty. W sumie bawiło się w Toruniu prawie 20 tys. osób. W ciągu dwóch dni na festiwalowej scenie wystąpili najpopularniejsi muzycy chrześcijańscy z Polski i z zagranicy. Po raz pierwszy rozdano nagrody „Tuba Dei" dla najlepszych. Honorowe wyróżnienie otrzymaliśmy my, magazyn muzyczny **RUaH**. Dziękujemy!

Bujanie na początek

W piątek koncerty rozpoczęła **Magda Anioł**, laureatka nagrody „Tuba Dei" w kategorii Wokalistka Roku. Jej skoczne piosenki szybko rozruszały kilka tysięcy osób. Bardzo dobrze zostały przyjęte ciężko grające 3Siostry oraz Pneuma. - *Tuż po koncercie 3Sióstr sprzedaliśmy 40 płyt demo tego zespołu* - cieszył się jeden ze sprzedawców, którzy licznie rozstawili się wzdłuż Bulwaru Filadelfijskiego.

Na stoiskach można było kupić najnowsze płyty i kasety, koszulki z chrześcijańskimi nadrukami, torby, czapki oraz kubki. Prawdziwe oblężenie przeżył wydawca płyty zespołu Chili My. Tuż po ich koncercie publiczność dosłownie rzuciła się najpierw na płyty, a później na muzyków, prosząc o autografy. To był najlepiej przyjęty występ tego dnia - zespół bisował dwukrotnie.

Ciekawostką był koncert pierwszego polskiego chrześcijańskiego rapera 3miela. Bujające rytmy i intrygujące teksty zostały przyjęte dobrze, choć bez wielkich emocji. Publiczność odżyła podczas występu hard-corowej grupy Anastasis, której nie chciano puścić ze sceny. Wielu osobom zapadł w pamięć wokalista grupy, ubrany w pomarańczowe ogrodniczki.

Bujające rytmy i wpadające w ucho melodie zaprezentował **Tomek Kamiński**, stały gość „Song of Songs". Wykonał m.in. piosenkę „Anioły do mnie wysyłaj", za którą otrzymał „Tubę Dei" w kategorii Piosenka Roku. Piątkowe koncerty zakończyła śpiewana modlitwa, poprowadzona przez grupę **Oweyo**.

Najważniejsze, że jest Nadzieja

- *Nie myślę o tym, czy sprzedam miliony płyt. Chcę powiedzieć ludziom, że jest Nadzieja* - mówił Włoch Roberto Bignoli podczas sympozjum o muzyce chrześcijańskiej. Spotkanie rozpoczęto drugi festiwalowy dzień. Takie sympozjum zorganizowano w ramach „Song of Songs" już po raz drugi.

Mówiono m.in. o tym, jak muzyka chrześcijańska funkcjonuje w różnych środowiskach. W USA rozgłośnie świeckie nie chcą grać muzyki chrześcijańskiej, choć jest na nią zapotrzebowanie. Jej twórcy starają się zatem docierać do słuchaczy, tworząc własne rozgłośnie lub organizując nietypowe promocje, np. do płyt CD jednego zespołu dołączane są kasety z prezentacją piosenek innych grup. W ten sposób słuchacz ma możliwość posłuchania czegoś, czego prawdopodobnie sam by nigdy nie kupił.

Stany Zjednoczone radzą sobie z muzyką chrześcijańską bardzo dobrze. 19 proc. ogółu rynku muzycznego stanowią nagrania artystów zainspirowanych Ewangelią. Aby jeszcze bardziej powiększyć to grono słuchaczy, specjaliści zalecają wejście do Internetu. - *Internet to przyszłość* - przekonywano.

W prawosławiu muzyka, zwłaszcza cerkiewna, traktowana jest niczym ikona - to okno na Bożą

Grupa Tomka Kamińskiego

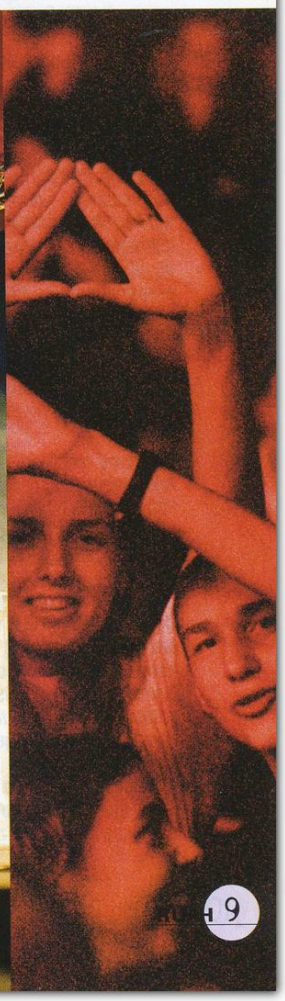

Anastasis

rzeczywistość. Podczas liturgii wykonywana jest z najwyższym pietyzmem, jest formą modlitwy, bo ma otwierać na Boga. Chór prowadzący śpiew na liturgii wykonuje pieśni jakby „w imieniu" ludu. Instrumentów raczej się nie używa, gdyż za najdoskonalszy instrument uważa się ludzki głos. Zdarza się, że muzyka cerkiewna funkcjonuje także poza liturgią, trafia nawet na sceny festiwalowe.

Tę drogę muzycznej ewolucji chwali sobie muzyk Janek Pospieszalski. - *Jestem za tym, żeby muzyka chrześcijańska wychodziła z kościołów i inspirowała artystów estradowych. Ale ostrożnie podchodzę do prób wprowadzania muzyki popularnej do liturgii* - mówił. Jego zdaniem, trzeba uważać na takie eksperymenty. - *Proboszcz, który ma w parafii zespół młodzieżowy, myśli sobie: „ściągnę ich pod ołtarz, zagrają mi na liturgii, przyciągnę młodzież". Może i tak, ale w ten sposób wypchnie się z kościoła starszych, którzy nie będą w stanie tego znieść* - przekonywał.

zaGRAnica

Muzyczną część drugiego dnia festiwalu otworzyła dziecięca **Arka Noego**, nagrodzona „Tubą Dei" dla najlepszej Grupy Roku. Pod koniec ich występu zanotowano najwyższą frekwencję - 20 tys. osób. Występu słuchały całe rodziny, a maluchy siedzące na barkach tatusiów znały większość piosenek na pamięć.

Gorącą atmosferę utrzymała zambijska formacja **The Sakala Brothers**. Kolorowo ubrani czarnoskórzy piosenkarze nie pozwolili festiwalowej publiczności na odpoczynek. Potrafili nawet w zabawny sposób porozmawiać ze słuchaczami w „łamanym" języku polskim. - *Sometimes nie ma pieniędze, sometimes nie ma auto, ale jest jedna kobieta, która kocha zawsze* - powiedział jeden z braci, zapowiadając piosenkę o Maryi.

Trochę spokojniej było podczas występu **Mietka Szcześniaka**, uznanego przez kapitułę nagrody „Tuba Dei" za najlepszego Wokalistę Roku. Wraz z Beatą Bednarz, Patrycją Golą oraz Lorą

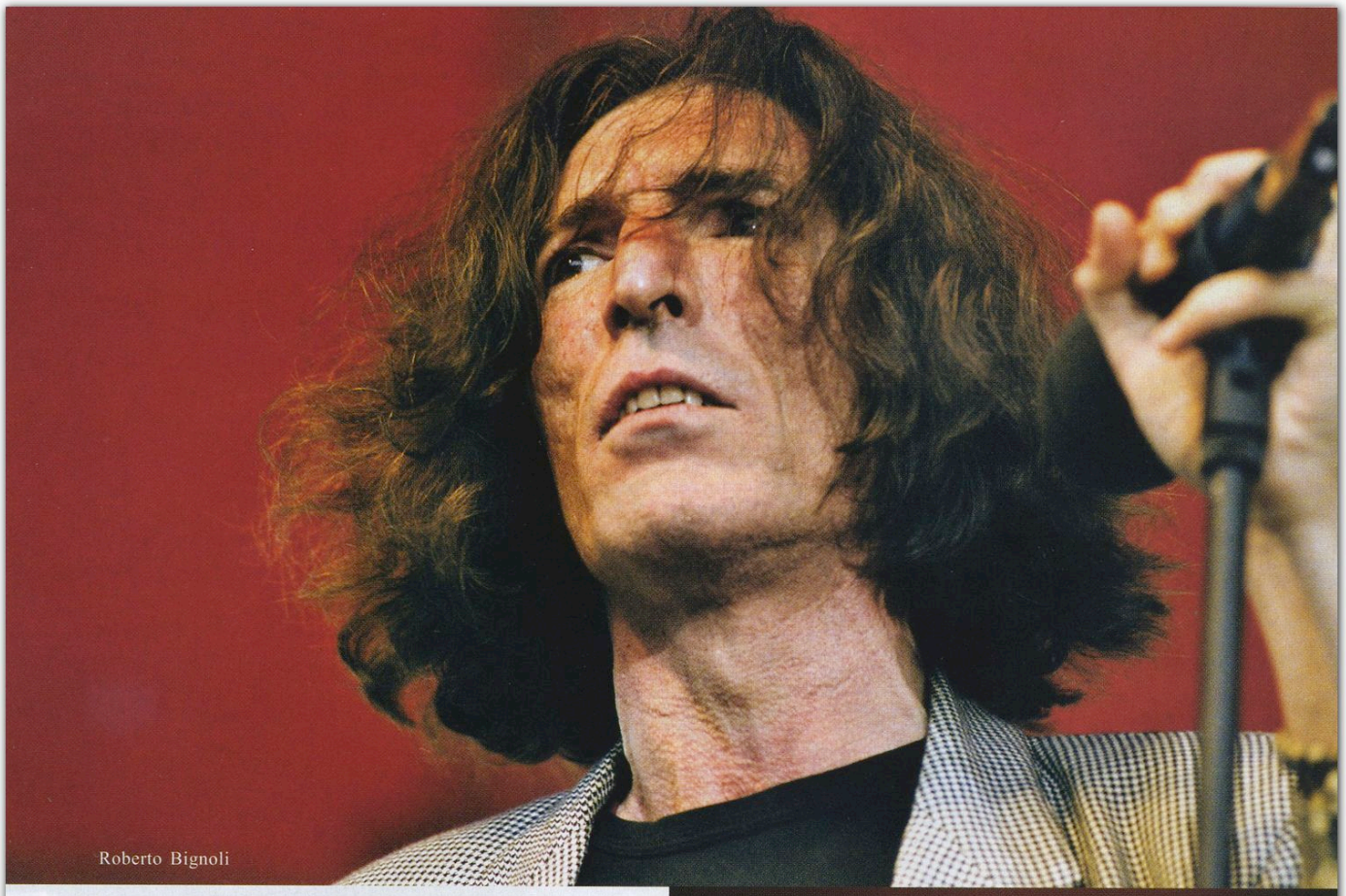

Roberto Bignoli

Szafran wprowadził delikatne, „czarne", soulowe klimaty. Bardzo dobrze został przyjęty **Roberto Bignoli**, który wspierany przez muzyków z Polski zaprezentował dobre rockowe granie.
Irlandzko-angielsko-holenderska formacja **Iona** także zdobyła serca uczestników Festiwalu. Zaprezentowali intrygującą mieszankę muzyki celtyckiej, delikatnego rocka i popu. - *Zauważyliśmy, że wiele zespołów chrześcijańskich to po prostu kopie artystów wykonujących muzykę popularną. My mamy swój własny niepowtarzalny styl. To, co nas łączy, to nie muzyka, lecz to, co stoi za nią* - wyjaśniają muzycy Iony.

Spokojnie i z czadem

Tradycyjną muzykę celtycką zaprezentował **Manach** - irlandzki mnich, chodzący w niebieskim habicie przepasanym czerwonym sznurem. - *Lubię muzykę, która jest prawdziwa*. Taką się inspiruję. Mam nadzieję, że poprzez moją muzykę ludzie stają się bliżsi Bogu - opowiada.
Legendarna już formacja hard-rockowa **2Tm2,3**, wplatająca w ciężkie gitarowe riffy słowa Pisma Świętego, dała jeden z najlepszych koncertów festiwalu. Kilka tysięcy osób pogowało, skakało i głośno krzyczało *„Przyjdź, Panie Jezu!!!"*. Nieco łagodniej zagrała francuska grupa rockowa **Selah**.
Jednym z najbardziej oczekiwanych zespołów była **Etna**, odkrycie ubiegłorocznego festiwalu. Grając bujające reggae zdobyła uznanie kapituły nagrody „Tuba Dei", która uznała ją za Fonograficzny Debiut Roku. Przeszło rok temu ich piosenka „Na Syjon" szybko zeszła z festiwalowej sceny i szturmem wdarła się na listy przebojów, była grana na spotkaniach modlitewnych, nabożeństwach, a nawet przy ogniskach.
Nagrody „Tuba Dei" trafiły także do chóru **Trzecia Godzina Dnia** za nagranie Albumu Roku pt. „Na żywo" oraz do **Michaela W. Smitha**, autora najpopularniejszego Zagranicznego Albumu Roku pt. „Worship".
Festiwal zakończył się późno po północy. Można było go oglądać na żywo w Internecie (www.songofsongs.pl), a retransmisję pokazała na początku lipca TVP2. Całość prowadziła Patrycja Michońska z Radia Józef, prezenterka telewizyjnej Dwójki Iwona Kubicz oraz salezjanin ks. Andrzej Gołębiewski.
Organizatorem imprezy było Stowarzyszenie Ekumeniczne „Jeden".

Marcin Perfuński

zdjęcia: Krzysztof Raczyński

Iona

Manach

Nieustanne Uwielbienie!

Rytebłota to miejsce, którego nie znajdziemy na mapie. Tak bowiem nazywa się ośrodek wypoczynkowy, położony wśród malowniczych lasów i jezior Brodnickiego Parku Krajobrazowego.

Na początku lipca tego roku odbyły się tam XI Spotkania Muzyków Chrześcijan, tym razem nazwane Strefą Chwały. Ci, którzy odwiedzili w tym czasie Rytebłota, będą pamiętać je nie tylko za względu na piękne krajobrazy, ale przede wszystkim z powodu rangi i atmosfery wydarzeń, których byli uczestnikami.

Na Strefę przyjechali reprezentanci 30 miast z całej Polski. Wśród nich muzycy zawodowi - soliści: Mietek Szcześniak, Mate.O, Robert Amirian i przedstawiciele zespołów: Amenband (Andrzej Cudzich), Arka Noego (Robert Friedrich z córkami), Deus Meus, Saruel, 40 Synów i 30 Wnuków Jeżdżących na 70 Oślętach, Oweyo, New Life 'M z Natalią Niemen, TGD, Siódma Trąba (Marcin Stawicki), saksofonista jazzowy Maciej Sikała, basista Michał Barański, a także liderzy uwielbienia ze wspólnot Ruchu „Światło-Życie", Odnowy w Duchu Świętym oraz przedstawiciele innych kościołów chrześcijańskich.

Wielu muzyków przybyło ze swoimi rodzinami. Kiedy rodzice uczestniczyli w kolejnych zajęciach, ich pociechy dzieliły czas między zabawę a biblijne spotkania, które poprzez dramę przybliżyły im treść 6 rozdziału Listu do Efezjan („O zbroi Bożej").

Stałymi punktami dnia były jutrznia i popołudniowa Eucharystia oraz próby wielogłosowych śpiewów liturgicznych, prowadzone przez o. Andrzeja Bujnowskiego, Małgorzatę Samborską i Jacka Ratajczyka.

Już w pierwszy niedzielny wieczór Bóg przygotował nam miłą niespodziankę. Mogliśmy gościć wspaniałych muzyków z zespołu The Sakala Brothers z Zambii, którzy

STREFA CHWAŁY

XI SPOTKANIA MUZYKÓW CHRZEŚCIJAN

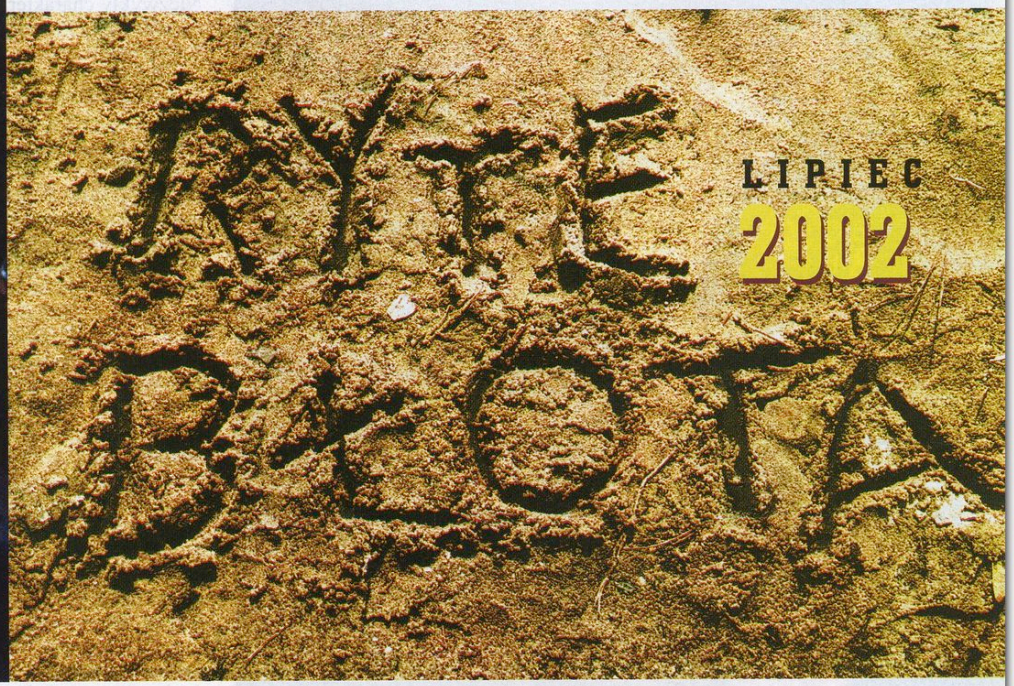

w przeddzień Strefy koncertowali na toruńskim festiwalu Song of Songs. Ich uwielbienie Boga przy pomocy charakterystycznych dla kultury Czarnego Lądu instrumentów zapadło nam w serca i umysły. Bracia z Afryki (wśród nich menager i perkusista - Polak Rafał Boniśniak) zaprezentowali nowy sposób myślenia o muzyce, jakże różny od naszego europejskiego. To ciekawe i inspirujące doświadczenie! Najsilniej jednak przemówiło do nas ich świadectwo. Pokazali w nim, że możliwa jest jedność między członkami zespołu, nawet jeśli przynależą oni do różnych Kościołów chrześcijańskich (tak jest w przypadku Mosesa i Leveya Sakala, którzy, choć mają to samo nazwisko, tak naprawdę nie są rodzonymi braćmi, ponadto jeden z nich jest katolikiem, drugi zaś protestantem).

Uwielbienie prowadzone przez Krzysztofa Szczypułę w poniedziałkowe przedpołudnie zostało przedłużone o studium biblijne z Księgi Izajasza (Iz 42,5-17). Z tego fragmentu pochodziło również motto tegorocznej Strefy: „Ja... chwały mojej nie odstąpię innemu ani czci mojej idolom". W kilkuosobowych grupach zastanawialiśmy się nad zastosowaniem tego słowa w naszym życiu.

Później uczestniczyliśmy w dyskusji panelowej z udziałem Roberta Friedricha i o. Andrzeja Bujnowskiego. Robert w przejmującym, osobistym świadectwie zwrócił naszą uwagę na dwa ważne aspekty bycia uczniem Chrystusa. Pierwszy to konieczność złożenia przed Bogiem własnych ambicji i dążeń, drugi zaś - to trwanie we wspólnocie z braćmi, od których możemy otrzymywać duchowe wsparcie i korektę - pomocne w rozwijaniu w nas Bożego charakteru.

Na wieczornym uwielbieniu Andrzej i Łukasz ze wspólnoty Dom Zwycięstwa zaświadczyli o mocy Jezusa, która uwolniła ich od nałogu narkotykowego.

Gratką dla koneserów był koncert standardów jazzowych w wykonaniu Lidii Pospieszalskiej, Katarzyny Kurzawskiej, Mieczysława Szcześniaka, którym akompaniowali muzycy: Joachim Mencel, Marcin Pospieszalski, Robert i Andrzej Cudzichowie, Piotr Jankowski oraz Michał Barański.

Przez kolejne dwa dni prowadził uwielbienie i nauczał Piotr Płecha. Mówił on o poznaniu Boga i doświadczeniu Jego bliskiej obecności, a także zachęcał do podążania za natchnieniami Ducha Świętego i rozwijania proroczego uwielbienia. Piotr dzielił się również tym, jak Bóg w niezwykły sposób prowadził go w służbie uwielbienia.

Bóg wezwał nas także do nawrócenia z letniości. Na podstawie Apokalipsy (Ap 3,14-22) uświadomiliśmy sobie, że tak jak Kościół w Laodycei możemy być

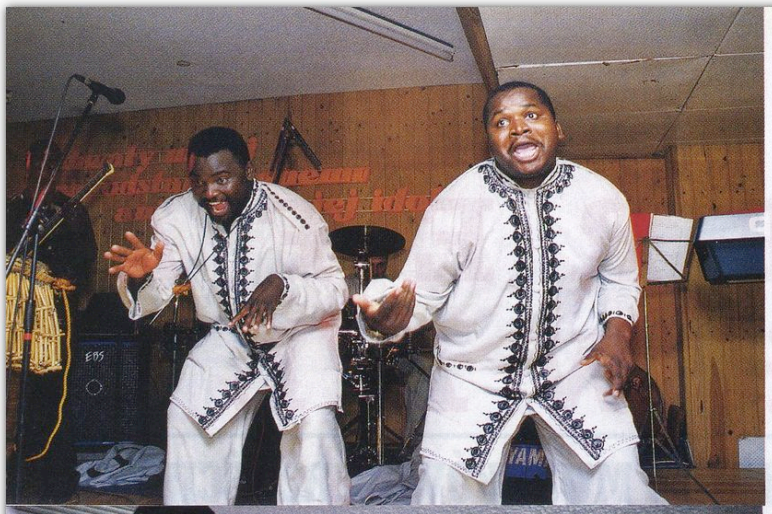

wierzącymi, a nie mieć otwartych serc dla Jezusa i tak naprawdę utrzymywać Go „na zewnątrz" swojego życia.

Św. Jan w swym pierwszym liście pisze: „Jeśliby ktoś mówił: miłuję Boga, a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi" (1J 4,20). Właśnie na jakość naszych wzajemnych relacji w swym środowym nauczaniu zwróciła uwagę Stanisława Iżyk. Temat ten okazał się aktualny, a publicznie złożone świadectwo przez Marcina, Joachima, Roberta, Piotra i Mietka, członków zespołu New Life 'M, o ich wzajemnym pojednaniu, potwierdziło potężne działanie Ducha Świętego wśród nas. Dla wielu fakt ten stał się profetycznym znakiem.

Niezwykły charakter miało również wieczorne uwielbienie. Po indywidualnych modlitwach wstawienniczych o namaszczenie do służby uwielbienia, rozwinęło się ono w pełne ekspresji Ducha wstawiennictwo za polskie władze państwowe, za miasta, z których pochodzili uczestnicy, za media i znanych muzyków.

Już wcześniej Bóg pozwolił nam odwrócić nasze oczy od wyłącznie polskich problemów. Stało się to za sprawą świadectwa obecnego wśród nas księdza Pawła Pajdziocha, misjonarza w Peru. Ksiądz Paweł to wyjątkowa postać. Jest on założycielem „peruwiańskiej Arki Noego". Członkami zespołu są dzieci ulicy - podopieczni księdza. Choć przebywał z nami krótko, bo nie do końca trwania Strefy, wszystkich urzekła jego pokora i wielkie oddanie dla pracy misyjnej. Mieliśmy także okazję modlić się z księdzem Pawłem za Kościół peruwiański i samych Peruwiańczyków.

Dopełnieniem rozważań o istocie uwielbienia Boga poprzez muzykę był wygłoszony przez o. Andrzeja Bujnowskiego wykład w czwartkowy poranek. Odsłonił on przed nami fascynujące bogactwo Kościoła, wskazując na piękno, ale przede wszystkim na duchową siłę dawnych śpiewów liturgicznych, poprzez które nasi przodkowie wyrażali miłość i cześć dla swego Stwórcy i Zbawiciela.

Jak w minionych latach, tak i tym razem Wojciech Białoskórski czuwał nad nagłośnieniem, Edward Sosulski ze studia „Psalm" zapisywał muzykę. Natomiast Krzysztof Rybicki i Jan Bujnowski rejestrowali obraz. Wszyscy oni robili to bardzo profesjonalnie.

Do tradycji „Spotkań" należą „Prezentacje". Słuchaczy mile zaskoczył występ zespołu Musicians' Wives No Cry (żony muzyków i akustyków). Panie zaśpiewały przy własnym akompaniamencie piosenkę Lidii Pospieszalskiej i Beaty Mencel. Pojawił się również zespół młodzieżowy złożony z dzieci obecnych muzyków, które zaprezentowały kompozycję powstałą w Rytychbłotach. Oba zespoły zebrały gromkie brawa od zachwyconej publiczności.

Prawdziwie rodzinna atmosfera, nieprzypadkowe tematy nauczań, odpowiadające duchowym potrzebom uczestników, nieustanne uwielbienie Boga i dążenie do jedności - to cechy tegorocznej Strefy Chwały.

Beata Musiała

Chwały mojej nie odstąpię innemu

o Spotkaniach Muzyków Chrześcijan
z ich organizatorami:
Stanisławą Iżyk - liderem Toruńskiej Wspólnoty „Dom Zwycięstwa"
i **Robertem Cudzichem** - gitarzystą New Life 'M
rozmawia Beata Mencel

Na was spoczywał główny ciężar zorganizowania tego spotkania. W jaki sposób przygotowywaliście się do tej imprezy, także merytorycznie?

Stanisława Iżyk: Przygotowania przebiegały dwutorowo. Z jednej strony uczestniczyłam wraz z Robertem Cudzichem i o. Andrzejem Bujnowskim w pracach koncepcyjno-programowych. Spotykaliśmy się wielokrotnie od jesieni ubiegłego roku i bardzo często kontaktowaliśmy się telefonicznie, mieliśmy „gorącą linię": Dursztyn - Wrocław - Toruń. Z drugiej strony, w miarę jak kształtowała się wizja, stopniowo gromadziłam spośród członków naszej Wspólnoty zespół, który przejąłby odpowiedzialność za różne szczegóły organizacyjne. Zespół ten spotykał się co pewien czas na modlitwie i planowaniu. To właśnie w czasie takiej modlitwy otrzymaliśmy przewodni werset biblijny z Iz 42,8: „...Chwały mojej nie odstąpię innemu, ani czci mojej idolom". Ponadto cała Wspólnota zaznajomiona była z wizją tego Spotkania i zaangażowana w modlitwę. Modliliśmy się o dobrą komunikację w zespole posługującym i pokój w relacjach, o pomoc finansową i rozmaite szczegóły, o których wiedzieliśmy, że są ważne, a przede wszystkim o to, aby Duch Święty nie został zepchnięty przez nas na margines. W toku tych przygotowań kilkakrotnie zmianie ulegały nasze pierwotne plany, tak programowe jak organizacyjne. Bóg pomógł nam jednak podejść do tych zmian do tego stopnia elastycznie, że jeszcze w przeddzień zakończenia „Strefy Chwały" obudziłam się rano z przeświadczeniem, że muszę całkowicie zmienić temat mojego nauczania (wykładu). I wydaje się, że to było właściwe.

Dlaczego zmienił się termin i miejsce Spotkań?

S.I.: Do zmiany miejsca przyczyniła się w pewnym stopniu reforma szkolna. Wynajmowany tradycyjnie na to Spotkanie Dom Podhalan w Ludźmierzu został zaadaptowany na gimnazjum, toteż w roku 2000 SMCh /Spotkania Muzyków Chrześcijan/ wróciły do Dursztyna, a w zeszłym roku odbyły się w Rzepedzi. Gdy jesienią ubiegłego roku zebraliśmy się, aby zaplanować kolejne SMCh, stanęliśmy znowu przed dylematem - w jakim miejscu mamy się spotkać. Równocześnie zauważyliśmy, że dotychczasowy termin uniemożliwiał niektórym muzykom udział w SMCh, ponieważ w wolnych dniach między 1 a 3 maja odbywa się zwykle wiele koncertów. Zaczęliśmy więc najpierw szukać innego terminu i wtedy pojawił się pomysł, by związać to Spotkanie z odbywającym się w Toruniu na początku wakacji Festiwalem Song of Songs. Zorganizowanie naszych rekolekcji bezpośrednio po Song of Songs i gdzieś niedaleko Torunia - wydawało nam się praktycznym rozwiązaniem, zwłaszcza, że to nasza Wspólnota miała przejąć odpowiedzialność za organizacyjną stronę tego Spotkania.

Robert Cudzich: Dodajmy, Wspólnota „Dom Zwycięstwa" z Torunia znakomicie wywiązała się ze zobowiązań jakich się podjęła (obsługa techniczna spotkania, służby porządkowe, przyjmowanie zgłoszeń, recepcja, opieka nad dziećmi, przygotowanie ośrodka itp.). Poza tym - Rytebłota to piękne miejsce w lesie, nad jeziorem, z dala od zgiełku cywilizacji. Wydaje mi się też, że północ Polski potrzebuje więcej takich wydarzeń jak „Strefa Chwały".

Do kogo są adresowane te rekolekcje, kto przyjeżdża na Spotkania?

S.I.: Rekolekcje te zaadresowane są do chrześcijańskiego środowiska muzycznego, które wykształciło się w Polsce w ciągu ostatnich 10. lat, w dużym stopniu dzięki corocznym SMCh. Są jednak otwarte również dla muzyków, którzy jeszcze nie identyfikują się z chrześcijańskim przesłaniem. Z drugiej strony - jest na nich miejsce dla wszystkich, którzy podejmują się jakiejkolwiek służby muzycznej w Kościele, zwłaszcza dla liderów uwielbienia w grupach modlitewnych.
R.C.: Tym razem większość stanowili muzycy zawodowi.

Minęło już 10 lat od pierwszych rekolekcji w Dursztynie. Ostatnie, już Jedenaste, zapewne bardzo różnią się od pierwszych. Co się przez te 10 lat zmieniło, jak ewoluowała idea „Strefy Chwały"?

S.I.: Myślę, że był to rozwój polegający na przesunięciu akcentu w kierunku coraz głębiej rozumianego uwielbienia Boga i związanego z tym głębszego oczyszczenia serca. To jest coś więcej niż radość z pierwszego nawrócenia. Ponadto, stworzenie większej przestrzeni dla przyjmowania inspiracji Ducha Świętego pozwoliło wielu muzykom wydobyć ze swego instrumentu czy głosu coś szczególnego, zaskakującego swą nowością i pięknem. Przeżyliśmy naprawdę „namaszczone" chwile bliskości z Bogiem. W rezultacie powstała prawdziwa „Strefa" wypełniona Bożą chwałą.
R.C.: Mam podobne odczucia. Ja także myślę, że bardzo pogłębiło się rozumienie pojęcia uwielbienia Boga poprzez muzykę. Uwielbianie Boga ma być po prostu naszym stylem życia. W tworzonej i wykonywanej obecnie muzyce jest znacznie więcej wolności, tej formalnej i tej w Duchu. Poza tym w naszym środowisku, po różnych doświadczeniach związanych z problemami jedności chrześcijan, da się zauważyć tendencję uzgadniania dążeń, a poprzez to coraz większą integrację, dość licznej obecnie rodziny muzyków chrześcijan. Od czasu kiedy z Jackiem Szmidtem, ówczesnym liderem wspólnoty nowotarskiej, organizowaliśmy pierwsze rekolekcje w Dursztynie, a potem następne w Łudźmierzu, do obecnej „Strefy Chwały", Duch Święty zachował wszystkie charakterystyczne ich elementy, rozwijając je i pogłębiając. Stanowią one o niepowtarzalności i dynamice tych Spotkań.

To pytanie zadaję zatem w imieniu wszystkich, którzy do tej pory nie mieli okazji uczestniczyć w Spotkaniach Muzyków. Co właściwie dzieje się podczas tych kilku dni, jakie wydarzenia mają tam miejsce?

R.C.: Podczas prawie każdego corocznego Spotkania Muzyków można wyróżnić następujące stałe punkty programu: Eucharystię z rozbudowaną muzyczną oprawą liturgiczną, spotkania modlitewne prowadzone przez zespoły uwielbienia, nauczania dotyczące żywotnych spraw związanych z posługą muzyczną w Kościele, modlitwy wstawiennicze, możliwość prezentowania swojej twórczości przez uczestników, koncerty lub jam sessions. Jest to też czas zawiązywania przyjaźni i nowych znajomości.

O. Andrzej Bujnowski (pełni rolę opiekuna rekolekcji od 11 lat) twierdzi, że dla niego Spotkania Muzyków są zawsze nieustannym uwielbieniem, w którym zatraca się granica między dniem i nocą. Czy macie takie samo odczucie?

R.C.: Zacieranie się dnia z nocą jest raczej wynikiem nagromadzenia w dość krótkim czasie mocnych i intensywnych przeżyć natury psychiczno-duchowej (bardzo dużo rozmów, spotkań itp.). Oprócz tego zaangażowanie ojca Andrzeja podczas tych paru dni jest ogromne. Już od wczesnego ranka prowadzi jutrznię, służy w konfesjonale, jest głównym celebransem podczas Eucharystii. Zawsze bardzo starannie przygotowuje muzykę do liturgii. Nierzadko wygłasza nauczania, prowadzi dyskusje panelowe. Ale poza tym to prawda, że Duch Święty sprowadza tak intensywnie chwałę Bożą, że czujemy się tak, jakbyśmy uwielbiali Boga dniem i nocą.
S.I.: To naprawdę wspaniałe doświadczenie. Tym bardziej, że nawet przeszywający do głębi dźwięk skrzypiec czy basu Marcina Pospieszalskiego, wirtuozeria Joachima Mencla i płynący w natchnieniu wspaniały głos Mietka Szcześniaka nie zdołały oderwać nas od skupienia na Bogu. Gwiazdy kłaniały się swemu Stwórcy i to było piękne.

Co jeszcze szczególnego wydarzyło się podczas ostatnich rekolekcji?

S.I.: Od początku mieliśmy szczere pragnienie skoncentrowania się na poszukiwaniu Boga i Jego woli. Wspaniale prowadził nas w tym kierunku Piotr Płecha. Bóg natomiast zawsze prowadzi nas ku pozostawieniu własnych ambicji i racji. Toteż w czasie tych rekolekcji doszliśmy do punktu, w którym zobaczyliśmy, że nie możemy posunąć się dalej w naszej relacji z Bogiem, jeśli nie potraktujemy poważnie, tak jak On, sprawy naszej wzajemnej miłości. Uniżenie się przed sobą, przyznanie do własnej winy czy błędu, przebaczenie - bez tego nie ma prawdziwej miłości, tej, po której świat ma poznać Jezusa. I to właśnie zdarzyło się - prawdziwy cud miłości z prawdziwym gestem umywania nóg.
R.C.: I dla mnie szczególnym było korzystanie z niezwykłego obdarowania, które „przywiózł" Piotr Płecha i jego żona Agnieszka. Bardzo przeżyłem pojednanie z Mietkiem. Ono zrodziło we mnie pewną refleksję. Jaka szkoda, że wielu z tych, którzy współtworzyli te Spotkania przez lata i wkładali w nie całe swoje serce, nie ma dzisiaj z nami. Wiem, że nie dość mocno walczyłem o zachowanie jedności i wzajemnego szacunku. Mam jednak nadzieje, że Bóg w przyszłości uleczy również i tę ranę. To, co wniósł swoją osobą Robert Friedrich - całe swoje szalone oddanie Królestwu Bożemu, prostolinijność i hojność, do głębi poruszyły nas wszystkich. Znaczący był też dla mnie udział Maćka Sikały, świetnego saksofonisty jazzowego.

Jakie są wasze osobiste przeżycia z ostatnich Spotkań, czym dla was były te rekolekcje?

S.I.: Najbardziej przeżyłam pojednanie między muzykami (pokora wzrusza). Było to bezpośrednie i wstrząsające dla mojego ducha zetknięcie z mocą Chrystusa, w którym możemy przekroczyć własne niemoce. Mam wrażenie, że Bóg wprowadził nas w nowy poziom wzajemnych relacji. Takiego uzdrowienia potrzebowałam. Mogłam się też cieszyć - szczególną w tym roku - rodzinną atmosferą Spotkania i unoszącym się nad wszystkim pokojem. Pokój jest niezwykle cenny zwłaszcza dla zespołu odpowiedzialnych, a Bóg zapewnił nam ten komfort. Mogliśmy łagodnie, bez żadnych napięć komunikować się ze sobą. Takie drobiazgi jak pęknięta rura czy zalane wodą pokoje nie były w stanie wytrącić mnie z równowagi, mogłam więc na równi ze wszystkimi przyjmować Boża łaskę. Wypada mi tylko powiedzieć: Bogu chwała!
R.C.: Jak w poprzednich latach, przed rozpoczęciem „Strefy" toczyłem osobistą walkę duchową. Największym zmaganiem jest przeciwstawienie się rezygnacji i zamieszaniu w sercu. Jednak podczas trwania „Strefy" doświadczyłem pokoju i radości. Kolejny raz przekonałem się, że to nie jest moje albo czyjeś dzieło, ale że „Strefa Chwały" jest własnością Jezusa. Jemu jestem niezmiernie wdzięczny za to, co mogły oglądać moje oczy i za to, czego mogły dotykać moje ręce. Wyjątkowe było również i to, że po zakończeniu „Strefy" grupa organizatorów i muzyków pozostała jeszcze na miejscu przez kolejne dwa dni.
S.I.: Spontanicznie dzieliliśmy się wrażeniami i zainspirowani dzieleniem oraz wspólna modlitwą próbowaliśmy pochwycić wizję na najbliższą przyszłość. To wszystko w bardzo ciepłym, rodzinnym klimacie.

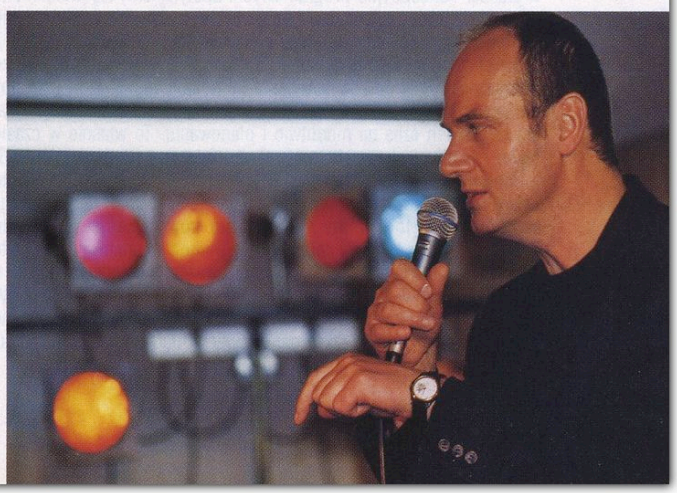

zdjęcia: Jan Bujnowski

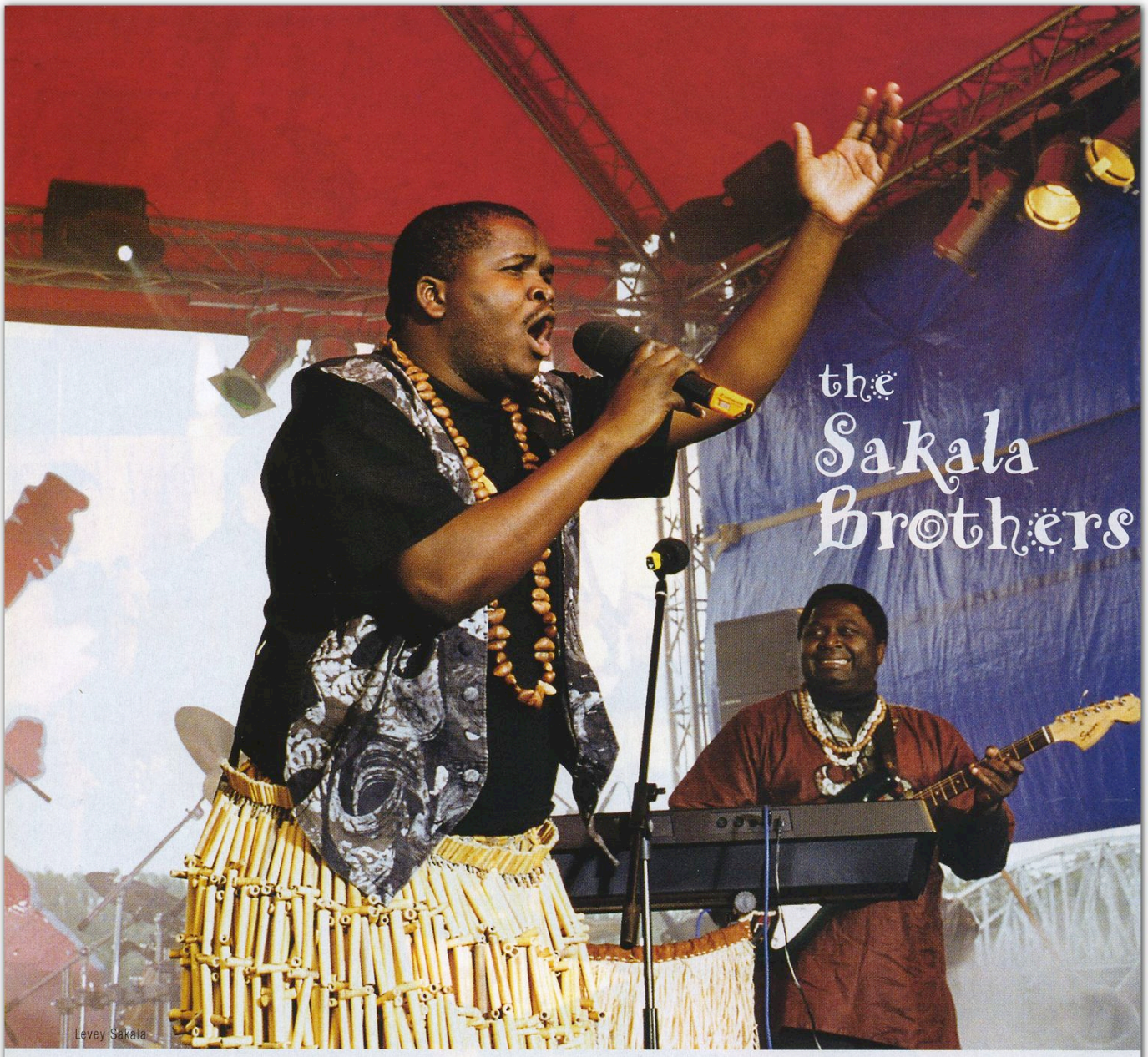

Levey Sakala

w Zambii wszyscy ludzie się śmieją

z The Sakala Brothers

rozmawia Andrzej Bujnowski OP

- Nazywam się **Levey Sakala**, gram na instrumentach klawiszowych, tańczę i śpiewam.
- Ja nazywam się **Sebastian Mutale**. Gram na gitarze basowej i śpiewam w chórkach, gram także trochę na perkusji.
- **Clement Kalombo**, gitarzysta, biorę również udział w chórkach.
- **Moses Sakala**, generalnie - śpiewam, tańczę, a także gram na afrykańskich bębnach.
- **Rafał Boniśniak** - towarzyszę grupie w trasie po Polsce, gram na perkusji i spełniam rolę pilota-opiekuna.

A.B.: Jak się domyślam, wszyscy gracie od dziecka?

Sebastian: Z muzyką miałem kontakt od wczesnego dzieciństwa dzięki mojej mamie, która dla mnie grała i śpiewała. W wieku 8 lat zacząłem śpiewać w chórze kościelnym. Na gitarze uczyłem się grać u misjonarzy - salezjanów w Kongo. Najpierw grałem na gitarze elektrycznej, potem na basowej. Później wyjechałem na krótki czas do Botswany, gdzie grałem na basie z różnymi zespołami. Nagrywaliśmy płyty i jeździliśmy po całej Afryce. Teraz gram w Sakala Brothers i „biorę udział w misji", misji ratowania przez zespół tradycji afrykańskiej.

Clement: Swoją przygodę z muzyką rozpocząłem w 1961 roku w kościele, choć już wcześniej miałem sąsiada grającego praktycznie bez przerwy na gitarze i cały czas go słuchałem. W końcu mój starszy brat kupił gitarę akustyczną i nauczyłem się grać, podglądając sąsiada i innych ludzi grających na gitarze. Proces uczenia był w moim wypadku długi. Aby się nauczyć grać na sześciostrunnej gitarze, potrzebowałem czterech lat. Kiedy zacząłem śpiewać w chórze kościelnym, nie zarzuciłem gitary, cały czas ćwiczyłem. Później pracowałem z wieloma artystami i nagrywałem wiele płyt. Obecnie jestem muzykiem sesyjnym, pracuję głównie w studio. W 1971 roku zacząłem podróżować po świecie i grać z różnymi zespołami. Pierwszym krajem była Tanzania, potem Kongo, Zimbabwe, Malawia, Republika Południowej Afryki, Botswana... Podczas tych podróży poznałem The Sakala Brothers i nagrałem z nimi płytę, album gospel. Od tego momentu zaczęła się moja przygoda z zespołem.

Levey: Jeśli chodzi o mnie, to na organach gram od kiedy zacząłem chodzić do kościoła. Już od szkoły podstawowej śpiewałem w chórze. Trzeba jednak wiedzieć, że jako Afrykanie śpiewamy przy każdej okazji, w zasadzie cały czas.

Moses: W moim środowisku było wiele osób grających na różnych instrumentach, jak choćby uzdrawiacze. Byli też wędrowni muzycy chodzący od wsi do wsi, i na bębnach nauczyłem się grać od nich. W Zambii jest dziewięć prowincji i w każdej z nich gra się trochę inaczej. Uczyłem się rytmów różnych zambijskich wsi, poznałem także taniec tradycyjny. Z przyjaciółmi utworzyliśmy grupę taneczną i wykonywaliśmy typowy taniec afrykański. W ten sposób poznawałem afrykańskiego „ducha", rytm i w ogóle - afrykańskie życie, miłość i muzykę. To było jeszcze w dzieciństwie. Potem, w szkole średniej - chciałem poznać również inną muzykę i tak wstąpiłem do chóru kościelnego, gdzie spotkałem Levey'ego. Interesowaliśmy się obaj tradycyjną muzyką afrykańską i gdy później założyliśmy zespół, nie chcieliśmy łączyć jej z muzyką europejską, amerykańską, „nowoczesną", ale chcieliśmy połączyć ją „z instrumentami" i zrobić taki swój mix. Kiedy byliśmy w 11 klasie nagraliśmy swoją pierwszą piosenkę „Kum Mawa". Wkrótce dzięki radio i telewizji stała się ona w Zambii hitem. Było to w 1991 roku. Tę datę można uznać za start zespołu. The Sakala Brothers próbuje łączyć bardzo ważny element życia i muzyki wiejskiej z życiem i muzyką nowoczesnej Afryki. W ten sposób zachowujemy historię, opowiadamy o niej, o naszych przodkach, o życiu rodzinnym. Bo w miastach ludzie czasem tracą tego ducha, więc przez muzykę próbujemy im mówić o życiu tradycyjnym.

W waszym repertuarze dominuje więc muzyka tradycyjna czy tworzone przez was piosenki?

L.: Większość naszych utworów to kompozycje czerpiące z zambijskiej muzyki tradycyjnej, z zambijskich doświadczeń. Niektóre utwory są tradycyjne, ponieważ podróżując, choćby do Europy, chcemy zaprezentować muzykę, która towarzyszy Afryce w jej historii i kulturze, która daje Afrykańczykom energię, życie. Nasza historia, kultura, jest przekazywana poprzez muzykę, nie przez książki. Sztuka pisania przyszła do Afryki późno, wraz z misjonarzami, w dwudziestym wieku, a ponad tysiąc lat przekazywaliśmy naszą historię poprzez muzykę, wiersze, taniec. Kiedy nasi przodkowie walczyli w Europie w czasie pierwszej wojny światowej, po powrocie do domu stworzyli taniec, aby opowiedzieć, co się wydarzyło na wojnie. Nie użyli słów, lecz tańca!

M.: 90% utworów, które gramy, to nasze kompozycje. W Zambii jesteśmy „słuchani" dlatego, że w naszej muzyce odnaleźć można zambijskiego ducha. Piszemy własne słowa i muzykę, ale w oparciu o zambijskie rytmy. I to właśnie Zambijczykom się podoba. Utwory tradycyjne gramy w formie niezmienionej, a i w naszych utworach, choć używamy współczesnych instrumentów, zachowujemy zambijski feeling, przeszłość. Nawet jeśli śpiewamy po angielsku, gramy na gitarach elektrycznych czy keyboardzie, rytm i brzmienie są zambijskie.

Czym jest dla was muzyka?

M.: Jest przede wszystkim śpiewem, a ten jest językiem uniwersalnym. Śpiew jest siłą życia, która napędza i pozwala z uśmiechem na ustach iść dalej. Kiedy jesteśmy nieszczęśliwi - śpiewamy, kiedy szczęśliwi - śpiewamy. Gdy jesteśmy w kościele, także podczas Mszy - cieszymy się, śpiewamy i tańczymy.

L.: Jan Paweł II mówi, że liturgia Mszy św. powinna łączyć w sobie charakterystyczne cechy kultury i tradycji danego kraju. Pochodzimy z Afryki i u nas się tańczy, gra się na bębnach, to jest nasza radość! Podczas Mszy afrykańskiej jest czas, kiedy dziękujemy Panu Bogu, kiedy tańczymy i śpiewamy, ale jest i czas wyciszenia, kiedy rozmawiamy z Panem Bogiem i wówczas - nie tańczymy, nie śpiewamy.

Co jest głównym przesłaniem waszych pieśni?

L.: Pierwsza rzecz: Bóg! Pierwszy Artysta, Pierwsza Osoba, która obdarzyła nas talentem. Po drugie - chcemy ukierunkowywać nasze marzenia, współtworzyć nasze społeczeństwo. Wypowiadać się we wszystkich sprawach, ponieważ miłość pochodzi od Boga, dobre rzeczy pochodzą od Niego, wartości są od Boga. Ale są też i społeczne wady. Chcemy wypowiadać się przeciwko korupcji, chcemy mówić o AIDS, o chorobach, pomagać naszemu narodowi i narodom sąsiednim. To nasz cel podstawowy.

M: Jesteśmy chrześcijanami, więc czerpiemy z Biblii i cytujemy Biblię. Trzeba pomagać bliźniemu, tego uczył Jezus. I pracując dla Boga staramy się pomagać innym, przekazujemy Jego przesłanie. Pracujemy w sierocińcach, w szkołach, próbujemy zdobyć pieniądze na jakieś pożyteczne rzeczy.

Jak długa jest już tradycja chrześcijaństwa w Zambii?

L.: Pierwsi misjonarze przybyli do Zambii około sto pięćdziesiąt lat temu. Powstało wtedy wiele katolickich kościołów w północnej części kraju. David Livingstone był tym, który otworzył im drogę. Instytucja Kościoła istnieje od 120 lat. Zatem jest to młody Kościół, ale rośnie bardzo szybko. Zambia obecnie jest krajem chrześcijańskim, co uznał nawet nasz rząd.

Rafał Boniśniak: Kościół w Zambii istnieje stosunkowo krótko, ale przez wspomniany czas zdołał zrobić wiele dobrego. Wielu misjonarzy, którzy przecierali szlaki, miało trudny teren do zdobycia. Większość ośrodków misyjnych działa do dzisiaj, niektóre jednak, istniejące nawet przez 50 lat - zniknęły. Ich miejsce pokrył busz i nikt nie pamięta, że byli tam kiedyś misjonarze. W Zambii sąsiaduje dziś obok siebie wiele kościołów, np. muzułmanie, protestanci, katolicy. Ciekawe, że te kościoły nie rywalizują ze sobą, nie próbują przeciągać wiernych na swoją stronę. Często jest tak, że w rodzinie - w innym kościele jest matka, w innym ojciec, a w jeszcze innym dzieci. Spotykając się na obiedzie wszyscy jednak potrafią pomodlić się razem przed posiłkiem, a przede wszystkim - żyć w zgodzie i tolerancji.

Moses Sakala

Skąd nazwa - The Sakala Brothers?

L.: Kiedy chodziliśmy jeszcze do szkoły, w programach telewizyjnych podpisywano nas: Levey & Moses Sakala. Ale ludzie nazywali nas - Sakala Boys. Nie jesteśmy jeszcze bardzo starzy, ale zarazem nie na tyle młodzi, aby nazywać się Sakala Boys, przyjęliśmy więc nazwę - The Sakala Brothers.

Jak często macie koncerty w Zambii i gdzie grywacie?

M.: Od momentu założenia The Sakala Brothers zagraliśmy bardzo wiele koncertów. Czasami udajemy się w podróż po kraju. Jeździliśmy po wsiach nawołując do pokoju przed wyborami. Trafiamy też do miast w całym kraju. Bierzemy na przykład udział w festiwalu, na który przyjeżdża około 500 tysięcy ludzi, czy też w festiwalu w Lusace, gdzie gramy nawet dla miliona widzów. Poza tym wyjeżdżamy do innych krajów, szczególnie w południowej Afryce, np. do Malawii czy Zimbabwe, także poza Afrykę, choćby do Anglii. Graliśmy także w Azji, w Indiach i w Korei Południowej.

L.: Po powrocie z Polski mamy zamiar udać się w tournee po Zambii i przedstawić w nim utwory z naszego nowego albumu nagranego w Polsce „Woda życia".

M.: W Zambii mieszka prawie 12 milionów ludzi. Mamy tylko kilka kanałów telewizyjnych i często puszczają w nich naszą muzykę. Jesteśmy zatem dobrze znani. Telewizja informowała nawet o naszym wyjeździe do Polski. Po powrocie będziemy na pewno o niej opowiadać. Będą nas też pytać, co mówiliśmy o Afryce. Stajemy się zatem niemal ambasadorami naszego kraju, kontynentu. Nie chodzi tu zatem tylko o muzykę, ale o przesłanie, którym się ze wszystkimi dzielimy. Nigdy nie gramy koncertów tylko po to, by zarabiać pieniądze. Jest dla nas wielką radością mówić ludziom o tym, jak w życiu kierować się dobrem! Codziennie oglądamy w TV „Wiadomości", i w Zambii, i tutaj w Polsce. Większość z nich to złe wiadomości, powodują one złe myślenie. Ludzie potrzebują dobrego myślenia, Dobrej Nowiny, dobrych wiadomości. Nie tylko do myślenia o sobie, ale do otwarcia się na innych! Gdy oglądasz wiadomości, stwierdzasz, że wszędzie jest wojna, a gdy przyjeżdżasz do Zambii, widzisz, że wszyscy ludzie się śmieją i jest tam miło. Ważne jest przekazywanie dobrych wiadomości, by ludzie czuli równowagę.

Jak spotkaliście się z salezjanami?

L.: Czasami występujemy, by zdobyć fundusze na cele charytatywne, dla dzieci, dla chorych na AIDS, i salezjanie zaprosili nas na organizowany przez siebie Good Friends Festival. Tak ich spotkaliśmy.

Najpierw ks. Andrzeja Polichta SDB, prezesa Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego w Krakowie, z którym po prostu usiedliśmy i rozmawialiśmy o życiu, o Polsce. I wtedy on nas zaprosił, tak normalnie, przyjaźnie, abyśmy przyjechali z koncertami do Polski. Pomyśleliśmy, że Polacy to bardzo przyjaźni ludzie, co się tu na miejscu potwierdza.

Jak odbieracie Polskę? Czy są jakieś podobieństwa między nią a Zambią?

M.: Polska to kraj europejski, a Zambia - afrykański, różnią się więc one kulturami, jako chrześcijanie wiemy jednak, że Bóg stworzył nas wszystkich na swoje podobieństwo. Jesteśmy takimi samymi ludźmi. Są oczywiście różnice, choćby w pogodzie, tutaj jest chłodniej, a w Afryce słońce świeci przez cały rok. W Polsce w większości ludzie mają solidną chrześcijańską podstawę, ponieważ chrześcijaństwo tutaj zaczęło się tysiąc lat temu. Bardzo to podziwiamy, gdyż Bóg jest najważniejszy, nie ma dla nas nic ważniejszego. Wiara tutaj jest niezwykła, mocna, zatem mamy się czego uczyć. Poza tym widzimy istotną różnicę w życiu rodzinnym. W Afryce żyjemy w dużych rodzinach, co mi się bardzo podoba. Tu czasem spotykamy ludzi, na przykład starsze panie mieszkające samotnie, rodziny z jednym dzieckiem. W pewnej miejscowości dowiedzieliśmy się od księdza, że zamyka się tam szkoły podstawowe, ponieważ jest w nich za mało dzieci. A to wszystko za sprawą planowania rodziny, kiedy to rodzice decydują się na jedno, maksymalnie dwoje dzieci. Gdy patrzę na Afrykę - jest tam wiele dzieci, które chcą iść do szkoły, ale nie ma dla nich miejsca. A tutaj są szkoły i nie ma kto do nich chodzić. Kolejna różnica - stosunek do czasu! Ludzie tutaj umawiają się na godzinę i przychodzą punktualnie, podczas gdy w Afryce my często się spóźniamy (śmiech)! Nie potrafimy się nigdzie spieszyć i unikamy związanego z tym napięcia, denerwowania się, krzyczenia na siebie. W Afryce gdy ktoś przychodzi spóźniony - obie strony się uśmiechają.

L.: Owszem, sporo możemy się od was nauczyć, ale ważną lekcją jest też to, żeby starać się utrzymać razem rodziny. U nas duża rodzina decyduje o najważniejszych życiowych sprawach. Na przykład gdybym chciał się ożenić, cała moja rodzina byłaby w to zaangażowana, mój wujek, kuzyni.

M.: Wierzę, że małżeństwo to fundament życia. Wszystkich nas Bóg pobłogosławił obojgiem rodziców. W Polsce mężczyzna nie może za szybko powiedzieć kobiecie, że ją kocha. Mówi tylko: lubię cię. Może po roku powie, że kocha. U nas mężczyzna nie mówi kobiecie, że ją lubi. Jeśli wiąże z nią nadzieje, musi jej powiedzieć: mam wobec ciebie poważne zamiary, potrzebuję ciebie, kocham cię. Kiedy powiemy tylko - lubię cię - nie jest to poważna deklaracja. Może nadarzyć się inny mężczyzna, który przyjdzie i nam ją zabierze. Są różnice między naszymi kulturami, spotkanie obu naszych kultur jest jednak niezwykle ciekawe.

Czy znana jest wam muzyka gospel z USA, jeśli tak, to jaki ma na was wpływ?

L.: Tak, kupuję muzykę gospel z USA, ale mamy także swoją, afrykańską muzykę gospel. Jest różnica, my nie śpiewamy w taki zorganizowany, wykreowany sposób. U nas ktoś zaczyna śpiewać, a reszta się w to włącza, próbując stworzyć harmonię. Jak w rodzinie. My mamy harmonię w sobie, stworzyliśmy gospel, gdy poznaliśmy Chrystusa. W Afryce muzyka jest życiem. My przez nią rozmawiamy, płaczemy, modlimy się.

W Afryce też są różne sposoby grania. Czy np. muzyka z wybrzeża Afryki, znad morza Śródziemnego, różni się bardzo od tej, którą wy gracie?

L.: Zambia sąsiaduje z dziewięcioma krajami i w jej muzyce widać wiele wpływów. Na terenie naszego kraju doszło do skrzyżowania wielu kultur. I muzyka też wiele z nich przejęła.

M.: W Zimbabwe mają na przykład swój instrument - mbira, robią go z jakiegoś owocu, mają też swój rytm o tej nazwie. W zachodniej Afryce mają z kolei gitarę kora i ona jest elementem rozpoznawczym muzyki tej części kontynentu. W Zambii używamy tradycyjnych afrykańskich instrumentów perkusyjnych, dodajemy do tego gitarę basową. Wydaje mi się, że bardzo łatwo rozpoznać, z jakiej części Afryki pochodzi dana muzyka za sprawą instrumentów i aranżacji wokalnych.

S.: W Afryce Południowej śpiewają więcej w grupie, co bierze się stąd, że mieszkało w tym kraju wiele wojowniczych plemion i wojownicy zbierali się, by śpiewać przed wyruszeniem na wojnę. Ale charakterystyczne dla całej Afryki są instrumenty perkusyjne.

Jak się czujecie w Polsce?

Czujemy się tutaj bardzo dobrze. Gramy bardzo dużo koncertów, począwszy od kościołów podczas Mszy świętych, aż po duże koncerty, gdzie wszystko jest nagłośnione i gdzie korzystamy z wielu instrumentów. Gdy wrócimy do domu, będziemy pamiętać naszych przyjaciół, koncerty i spotkania w Polsce, ale niech i Polacy przyjadą do Zambii, żebyśmy je sobie często przypominali.

W tekście wykorzystano krótkie fragmenty wywiadu z muzykami autorstwa Jacka Garbuczewskiego

tłum. Dariusz Ściepuro

zdjęcia: Krzysztof Raczyński

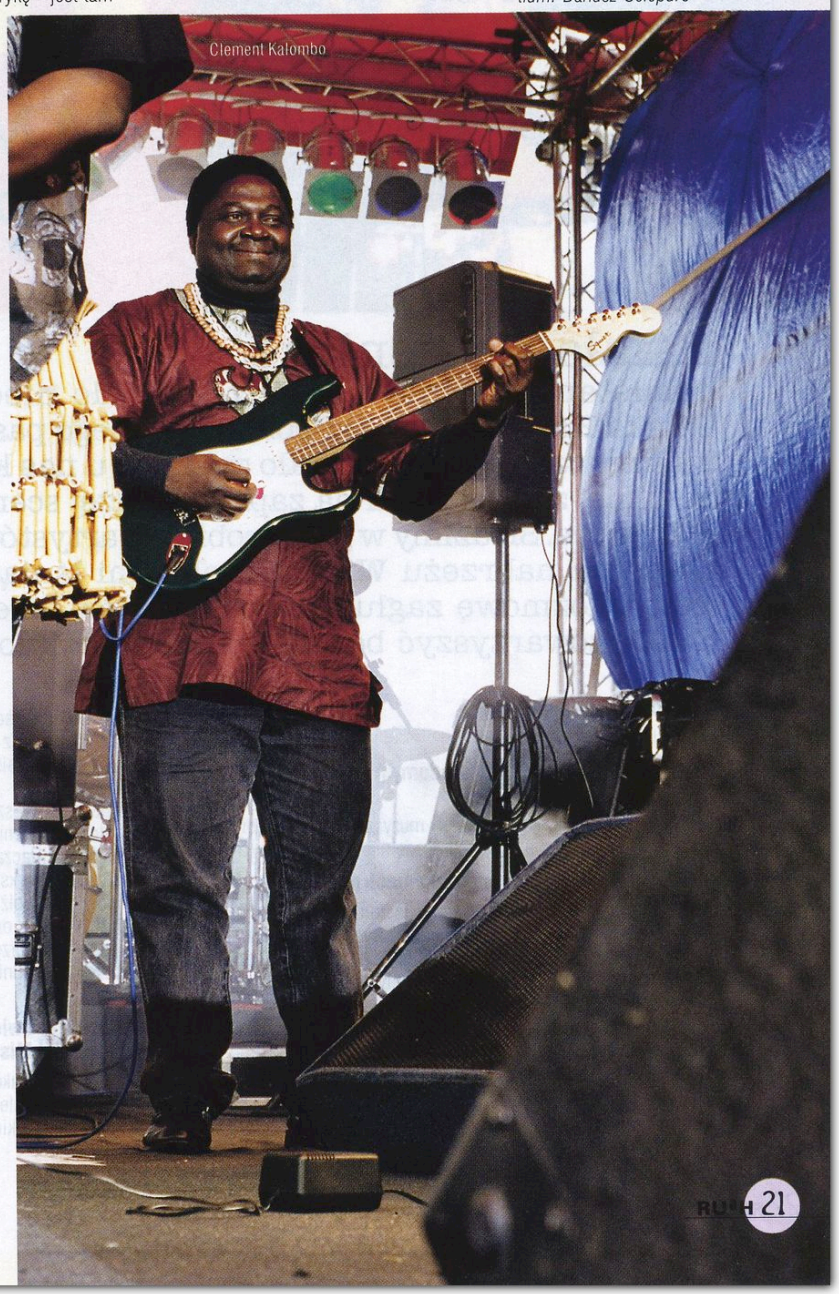

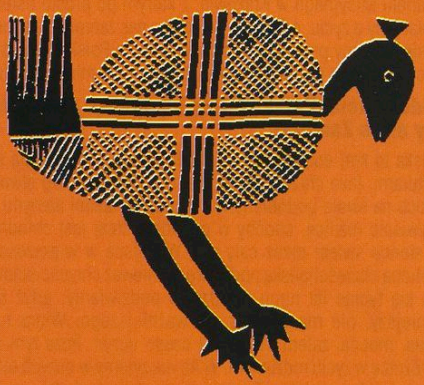

AFRYKA SAMA DO MNIE PRZYSZŁA

Rafała Boniśniaka

pamiętamy pewnie wszyscy jako (do niedawna) perkusistę grupy Tomka Kamińskiego. Od ponad roku jego pasją jest Afryka, odkrywanie kultury tego naprawdę mało znanego u nas kontynentu. Rafał opowiada mi o niej z przejęciem na zapleczu dużej sceny w czasie Festiwalu S.O.S. w Toruniu. Siedzimy w garderobie dla artystów, zaiprowizowanej w starej barce na nabrzeżu Wisły. Za oknami lśniąca tafla przesuwającej się wody. Rozmowę zagłusza głośny śpiew dziewczyn z chórku, który za chwilę towarzyszyć będzie Robertowi Bignoli...

Jak długo grasz na perkusji?

Od 15 lat.

Pochodzisz z Piły, gdzie, jak się domyślam, chodziłeś do szkoły muzycznej...

To było tak - pierwszy stopień szkoły muzycznej w Pile, średnia szkoła muzyczna - w Toruniu, a na końcu Akademia w Bydgoszczy.

W tej ostatniej grałeś na instrumentach perkusyjnych?

Od samego początku fascynowały mnie instrumenty perkusyjne, szkoła muzyczna uczy jednak klasyki, uczy grania na wszystkich instrumentach. Nie do końca fascynowało mnie granie etiud na ksylofonie, dzwonkach czy wibrafonie, bardziej imponowały mi kotły, bębny, zestaw perkusyjny. I w tę stronę poszedłem. Uwielbiałem wieczorami grać na kotłach symfonicznych. Kiedy już wszyscy poszli, mogłem do woli hałasować, grałem więc sobie na tych kotłach.

Koledzy zainteresowali cię jazzem. O ile wiem, do dzisiaj - to twoja muzyka...

Tak. Gdyby spojrzeć na moją płytotekę, to są to głównie płyty jazzowe. Przywoziłem je sobie kiedyś ze świata, przegrywałem, kopiowałem. Może to wynika z racji zainteresowania bębnami, perkusją. A tak się składa, że perkusiści jazzowi grają dużo fajnych fajerwerków, jak ja to nazywam, dużo „przebitek", czegoś, czego można się nauczyć, podpatrzeć. W szkole muzycznej był czas klasyki, bardzo dobry, kształcący. Natomiast gdzieś tam po drodze zapragnąłem czegoś więcej od bębnów. I zacząłem poszukiwać, jeździć do różnych perkusistów na „warsztaty"(workshopy), brać prywatne lekcje i mówiłem: pokażcie mi coś innego niż tylko uderzenie na 2 i na 4, salsę, sambę czy tego rodzaju rzeczy. I oni mi to pokazywali, ale mówili: wiesz, nie do końca ci się to może przydać, ćwicz lepiej te łatwiejsze rzeczy. A ja właśnie chciałem te trudniejsze, które my tu w Polsce nie do końca znamy, lubimy.

Jeżdżąc po świecie spotkałeś też salezjanów i Salezjański Wolontariat Misyjny...

2 lata temu w Krakowie poznałem księdza Andrzeja Polichta SDB, który jest prezesem Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego. To było podczas koncertu z Tomkiem Kamińskim, w czasie akcji dotyczącej misji.

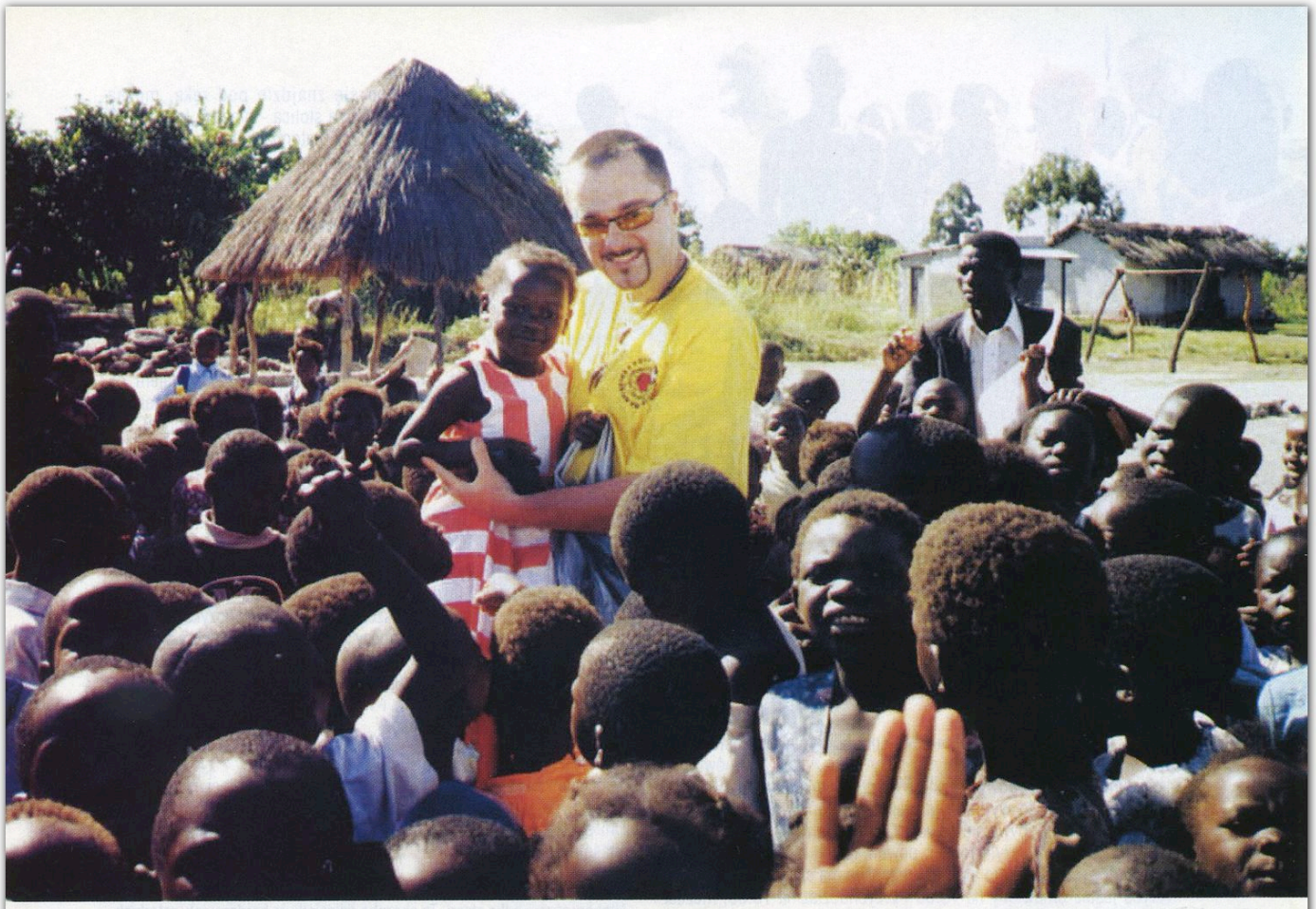

Wolontariat miał projekt - przywiózł trzech bębniarzy z buszu, z Zambii. Podczas jednego ze spotkań zaczęliśmy razem grać i stwierdziliśmy, że gra nam się razem bardzo fajnie. Wpadłem na pomysł, żeby ich zabrać do studia, nagrać z nimi płytę. Oni mieli fajne piosenki, uwielbialiśmy śpiewać je razem, pomyślałem więc, że ja nie chcę, żeby oni wyjechali i nic po tym nie zostało. W trakcie nagrywania okazało się, że płyta jest ciekawa. Nagrywanie trwało jeden dzień, mastering odbył się w następny, po 2 tygodniach płyta została wydana. Zatytułowaliśmy ją „Imyimbo shamepashi" co w zambijskim narzeczu nyanja oznacza „Muzyka duszy". Nagle okazało się, że jest zapotrzebowanie na koncerty, pojechaliśmy więc z nimi w Polskę.

Czy salezjanie z Krakowa często zapraszają do Polski muzyków z Afryki?

To jest tak: wielu salezjanów jest rozsianych po całym świecie jako misjonarze. Pracują w różnych krajach, w różnych placówkach. W Krakowie jest natomiast Salezjański Wolontariat Misyjny, który ma różne projekty związane z Afryką, a jednocześnie z Polską. Ja jestem jego konsultantem muzycznym i sugerowałem, pomagałem przy różnych projektach. Afrykańczycy przyjeżdżają, jeśli jest taka potrzeba.

Dlaczego tak cię zainteresowała Afryka? Okazało się, że nawet tam poleciałeś?

Tak. Nigdy nie marzyłem o tym, żeby polecieć do Afryki, nie wiedziałem że ją zobaczę. Afryka zawsze wydawała mi się taka - „z telewizji", taka niedostępna. Myślałem, że jest ona tylko dla „prawdziwych mężczyzn", którzy lubią niebezpieczeństwa, wyzwania. Moja znajomość i świadomość Afryki była typowo telewizyjno-książkowa. Natomiast kiedy poznałem księży salezjanów i przyjrzałem się ich pracy, a zarazem poznałem Afrykańczyków, którzy przyjechali do Polski i którzy przez okres czterech miesięcy pokazali mi, jak inną mają mentalność, jak są inaczej skonstruowani wewnętrznie, jak inaczej żyją, co dla nich oznacza czas, jakie potrawy jedzą, nagle moje zainteresowanie Afryką dużo bardziej wzrosło. No i przede wszystkim, najważniejsza rzecz! - oni wszyscy trzej grali na bębnach, więc właściwie całe wieczory spędzaliśmy na rozmowach na ich temat, jak są zbudowane, jak grać jaki rytm. Ja to wszystko spisywałem, nagrywałem, wyciągałem od nich. Nigdy tego nie mogłem nauczyć się w szkole ani dowiedzieć od swoich nauczycieli, nigdy bym tego nie poznał na warsztatach. Tutaj dostałem ludzi z buszu, którzy na co dzień grają od dziecka. Jeden z bębniarzy, Coster Komimwa, grał od szóstego roku życia, a miał 28 lat. To, co on wyczyniał z bębnem, było niesamowite! Nawet w jakimś hotelu portier przyszedł do nas i zapytał, czy moglibyśmy przestać, bo jest 5.00 rano. Patrzę na zegarek, a tu faktycznie tak jest. A zaczęliśmy rozmawiać i próbować około 21.00. Więc ten czas płynął wtedy inaczej. Okazało się, że Afryka przyszła jakby sama do mnie. I wtedy już nie myślałem czy chcę tam pojechać, tylko skoro ja tyle o tej Afryce słyszę, skoro ja tej Afryki dotykam, przez eksponaty, przez wystawy, przez tych ludzi, przez przyjaciół, których tam mam, to nie może być inaczej - ja tam muszę pojechać! I podjąłem taką decyzję. Moja narzeczona powiedziała: jedź! No i pojechałem w marcu tego roku! Spędziłem cudowny miesiąc w Zambii. Zjechaliśmy całą Zambię z księdzem Sławkiem Bartodziejem, misjonarzem salezjańskim. Moja podróż była nastawiona głównie na spotkanie z zespołem The Sakala Brothers, przygotowanie ich pobytu i trasy w Polsce, ale jednocześnie zobaczenie czym jest Afryka. I powiem jedną ważną rzecz: wszystkim się wydaje, że Afryka to jest piękna pogoda, owoce, dzikie zwierzęta, niewielu myśli o tym, że Afryka to są ludzie. Ludzie różni. Jak się tam pobędzie dwa tygodnie przestaje się myśleć tylko o pięknie Afryki, a zaczyna się dostrzegać ludzi. Jacy są wspaniali, czym żyją...

Czy w ciągu miesiąca rzeczywiście można się wiele dowiedzieć o Afryce?

Jest to krótki czas, ale ja chciałem przeżyć go intensywnie. Nie było czegoś takiego, że śpimy długo, tylko prosiłem: Sławek, jedźmy, teraz pokaż mi to, a potem to, pokaż mi coumpoudy, biedne dzielnice, pokaż mi hospicjum, pokaż mi Safari, pokaż mi to, to, to. Wielu rzeczy dotykaliśmy więc razem, byliśmy tylko we dwójkę. Podróż też była dla nas wspaniałym czasem rekolekcji, dla księdza Sławka i dla mnie. I to jest prawda: czasami można być 3 miesiące w Afryce i powiedzieć,

że się ją zobaczyło. Ja byłem miesiąc, ale myślę, że dotknąłem Afryki na tyle, żeby za nią tęsknić, pokochać ją i chcieć tam wrócić.

Co najbardziej podoba ci się w ludziach z Afryki? Czemu oni cię tak zafascynowali?

Myślę, że otwartość, prostota oraz sposób życia. To jest bardzo ciekawe, bo kiedy oni widzą nas - Europejczyków, to mówią, że kojarzymy im się z mrówkami, które bardzo szybko chodzą, wszędzie wszystko robią i to wygląda jak jakieś szaleństwo. Natomiast w Afryce wszystko odbywa się powoli. Oni mówią w języku nyanja, czy bemba: pole, pole, czyli powoli, powoli. Jeżeli nie zrobiłeś czegoś dzisiaj, to zrobisz to jutro albo pojutrze. Nie ma czegoś takiego, że w Afryce jesteś umówiony na 15.00 i przychodzisz na 15.00, możesz się spóźnić dwie godziny i nic się nie stało, i z uśmiechem na twarzy powiedzieć: spóźniłem się. Myślę, że w Afrykańczykach podoba mi się to, że oni są bardzo otwarci, nie są zepsuci...

Może wynika to stąd, że ludzie ci mają mniejszy kontakt z „cywilizacją techniczną", z mediami, elektroniką. Brak telefonów komórkowych, faksów, Internetu, komputeryzacji i tego wszystkiego co „nakręca" dziś nasz europejski świat. Przypuszczam, że w wielu miejscach brak tam nadal kontaktu z telewizją, radiem...

Zgadza się. My, Europejczycy, mamy te wszystkie dobrodziejstwa techniczne i wydaje nam się, że jak się nam zabierze telefon komórkowy, Internet, faks, to już jest koniec świata. Miałem ostatnio awarię dostępu do Internetu i wydawało mi się, że to jest koniec, czułem się nieszczęśliwy. Natomiast oni przez to, że tego wszystkiego nie mają, naprawdę są szczęśliwsi od nas, żyją o wiele spokojniej, o wiele bardziej powoli. Oczywiście mają innego rodzaju problemy, ale żyją spokojniej.

Jakie są te ich problemy?

No cóż, jest na przykład takie powiedzenie: szczęśliwy Afrykańczyk, to taki, który się najadł. Mają więc problem głodu, problem chorób, pracy. Czasami jest to podstawowy problem - egzystencji, tego co zrobić ze swoim jutrzejszym dniem, gdzie pójść, gdzie znaleźć pracę. Afrykańczycy czasami nie planują nawet dnia, po prostu żyją z dnia na dzień. Jest takie afrykańskie powiedzenie, że Pan Bóg dał Europejczykom zegarki, a Afrykańczykom czas...

Domy Afrykańczyków kojarzą nam się wciąż z szałasami z liści palmowych... Jak jest obecnie z tym w Zambii?

W dużych miastach, na przykład w stolicy Zambii - Lusace, są murowane domy, widziałem także ze trzy-cztery wieżowce. Są dzielnice, gdzie mieszka się w murowanych domach, jest światło, ciepła woda, telewizory. W tym samym mieście są również tak zwane compoundy. To są biedne dzielnice, gdzie domy zrobione są na przykład z rur PCV, z gliny zmieszanej ze słomą. Właściwie tam się nic nie marnuje, wszystko co się znajdzie pod ręką, można wykorzystać. Sama stolica - biedne „kampandy" i murowane domy, natomiast kiedy wyjeżdża się poza nią, jedzie się na północ czy na zachód, to są już wsie - domki z gliny i słomy. Przepiękne domki, urządzone w środku, bardzo czyste. Taki dom stoi dwa, trzy lata i Afrykańczyk musi sobie budować następny, ponieważ zjadają go termity. To jest bardzo szybki proces, w ciągu dwóch, trzech lat taki dom zamienia się w kopiec termitów. Jest on twardy jak skała, nie do rozbicia. Często jadąc gdzieś tam na horyzoncie można zobaczyć wyrastające z ziemi kopce w kształcie maczugi. Jak zobaczyłem to po raz pierwszy, zapytałem: co to jest? Ksiądz Sławek podjechał samochodem do takiego kopca, powiedział, żebym go kopnął. Jak to zrobiłem, okazało się, że jest on twardy jak skała. Powiedział: to jest pozostałość po termitach, to jest kopiec termitów.

Jeździłeś i po miastach, i po wioskach. Które ci się bardziej podobały?

Myślę, że wsie. Prawdziwe afrykańskie wsie. Ludzie żyją tam bardzo prosto i biednie, ale są naprawdę szczęśliwi. W Afrykańczykach bardzo podoba mi się to, że są opiekuńczy wobec dzieci swoich i cudzych. Czasami jest tak, że matka opiekuje się całą gromadką nieswoich dzieci. Tam jest tak, że czterolatek osiągając już pewien wzrost nosi swojego braciszka na plecach i wtedy już on się nim opiekuje, bo matka ma już następne dziecko.

Jak liczne są tamtejsze rodziny?

Spotkałem nawet rodzinę, która miała czternaścioro dzieci, rzadko kiedy się spotyka, żeby było dwoje, troje, czworo. To są bardzo liczne rodziny. Oni stawiają właściwie na dzieci, twierdzą, że przyszłością Afryki są właśnie dzieci.

Starsi natomiast umierają na AIDS?...

Niekoniecznie tylko starsi. Ta choroba dziesiątkuje bardzo wielu młodych. Pamiętam spotkanie w hospicjum niedaleko Lusaki. To było w pierwszy dzień po przylocie i ksiądz mówi: chodź, pokażę ci takie hospicjum, gdzie pracuje siostra zakonna. Gdy weszliśmy, umierała Murzynka - około 42 lat. Było to moje pierwsze zetknięcie z AIDS. Wszyscy się tam witali z chorymi na AIDS i ja się też miałem witać. Ja wiedziałem, że się nie zarażę przed dotyk, natomiast gdzieś tam w głowie, w środku była blokada. W tym hospicjum leczono nie tylko starsze osoby, także dzieci, młodzież. Był chłopiec, który wyglądał na 14 lat, miał 21, siostry myślały, że ma AIDS, po badaniach okazało się, że on był tak zagłodzony, że z tego powodu tak wyglądał, stracił też słuch. I po trzech dniach, kiedy ponownie przyjechaliśmy do hospicjum, przy normalnym odżywianiu się - śniadanie, obiad, kolacja - chłopak ten mógł już siedzieć na powietrzu pod drzewem. Wcześniej po prostu leżał, nie miał siły się podnieść.

Czy w Afryce nadal panuje wielożeństwo?

Tak, oczywiście. Model normalnej rodziny, czyli jedna żona, nie poligamia, jest lansowany przez misjonarzy. Natomiast często zdarza się, że wioskowy chef ma kilka żon. Co ciekawe, żeby mieć żonę w Afryce trzeba być bogatym człowiekiem. Za żonę, im piękniejsza i mądrzejsza, tym więcej się płaci. Zapłatą są krowy, na przykład 2 krowy, 3 kury i ewentualnie może koza. I przychodzi taki konkurent do matki i teścia, a oni mówią: no, przepraszamy cię, ale uważamy, że masz za mało krów; uważamy, że nasza córka jest warta o dwie krowy więcej. Więc on idzie i pracuje, żeby zdobyć te następne dwie krowy. Kiedy taki chef ma dużo pieniędzy, stać go na wiele żon. Jeśli chodzi o AIDS - nie jest to tylko problem poligamii, monogamii. To jest sprawa obyczajowości. Oni nie do końca jeszcze wiedzą skąd ta choroba się bierze. Może to się wydać dziwne, ale Afryce potrzebna jest edukacja. Taką klamrą zamykającą mój pobyt była wizyta w wiosce niedaleko Chilangi. Pokazywała mi ją siostra Leonia, która powiedziała: wiesz, tutaj mam jeszcze taką jedną podopieczną. Przed chatą siedział bardzo smutny człowiek, Afrykańczyk, a w środku mieszkała piękna Murzynka o twarzy modelki i pięknych brązowych oczach. Weszliśmy i ta kobieta nie miała siły uścisnąć dłoni. Siostra mówi, że ona ma

ostatnie stadium AIDS i gruźlicę, że jutro zabiera ją do hospicjum, żeby godnie umarła. Dla mnie to było ponad siły, wyszedłem stamtąd, bo mi się bardzo chciało płakać. Siostra wiedziała też, że nikt nie jest w stanie nic zrobić. Zrozumiałem wtedy, dlaczego ten mężczyzna siedział przed chatą smutny. Natomiast później siostra powiedziała mi: popatrz, nawet jeśli ta kobieta umrze, za dwa, trzy dni ten mężczyzna poszuka sobie następnej kobiety, następnej żony, bo po prostu taka jest obyczajowość. On może zrozumie, że jest chory, zarażony, natomiast trudno mu będzie przełamać formułę życiową: mąż - żona. W Afryce jest wiele osieroconych dzieci, rodzice umierają, a inna rodzina przygarnia te dzieci i wychowuje jak swoje. Jest to widoczne na co dzień. Opiekują się dziećmi, nie pozwalają, żeby jedno drugiemu krzywdę robiło.

Powiedziałeś, że misjonarze zachęcają do monogamii... Czy jest jej coraz więcej?

Tak, oczywiście. I poprzez misje, i poprzez placówki, które tworzą. O tym się mówi, tworzy się specjalne programy, próbuje się pokazywać na czym to tak naprawdę polega.

A jak działają Polacy i salezjanie?

To cudowni ludzie, świetnie wszystko organizują! Na przykład w Chingoli działa olbrzymia szkoła zawodowa, ślusarstwo, stolarstwo. I jest ona prowadzona przez trzech księży salezjanów z Polski. To przepiękny duży ośrodek, dający Afrykańczykom jakąś alternatywę. Nie ulicę, nie biedę, ale właśnie wychowanie, szkołę i oratorium, do którego mogą przychodzić i spotykać się. Jest to połączone z przekazem wiary, z pokazaniem jak żyć z Jezusem, na czym to polega. Wiadomo, że misjonarzom jest ciężko, trudny teren, ale świetnie sobie dają radę. Przy okazji ich wizyt w Polsce staramy się podsyłać im z Krakowa różne rzeczy, które są im potrzebne i nie do zdobycia w Afryce.

Wróćmy do muzyki. Czy w Afryce rzeczywiście większość ludzi żyje na co dzień muzyką?

To prawda. Od rana do wieczora słychać tam śpiewy. Kiedy w Afryce zapada zmrok, z różnych stron nagle odzywają się bębny, śpiewy, z różnych kościołów, z różnych spotkań. Właściwie wszędzie tak jest - w każdej wsi, w każdej miejscowości. Miałem w drodze taką ciekawą przygodę. Kiedy przejeżdżaliśmy przez pewną wieś, zobaczyliśmy piętnastu chłopców siedzących pod drzewem i śpiewających. Poprosiłem księdza Sławka, żebyśmy się zatrzymali i posłuchali. Było gorące południe, im się po prostu nie chciało nic robić, więc siedzieli sobie w cieniu i śpiewali. I nie było tam żadnego dyrygenta, śpiewali sobie od niechcenia. Ale to był najpiękniejszy naturalny chór, jaki słyszałem. Oni wszyscy dzielili się na głosy, śpiewali z piękną agogiką, dynamiką. To wszystko niezwykle brzmiało, było naprawdę cudowne! Staliśmy tam chyba z pół godziny. Kiedy oni zauważyli, że słuchamy, chcieli jakby zaśpiewać coś dla nas. Ja w ogóle jeździłem i nagrywałem te pieśni, nagrywałem wszystkie rzeczy, które grali gdzieś tam na bębnach. To prawda, muzyka jest ich nieodzownym towarzyszem, od rana do wieczora.

Ktoś ich jej uczy? Czy są jakieś szkoły śpiewu?

Nie ma czegoś takiego. W Zambii nie ma żadnej szkoły muzycznej. Ale tam jest tradycja, od urodzenia matki śpiewają swoim dzieciom, ojcowie śpiewają przy pracy. Oni śpiewają i grają, kiedy jest im smutno,

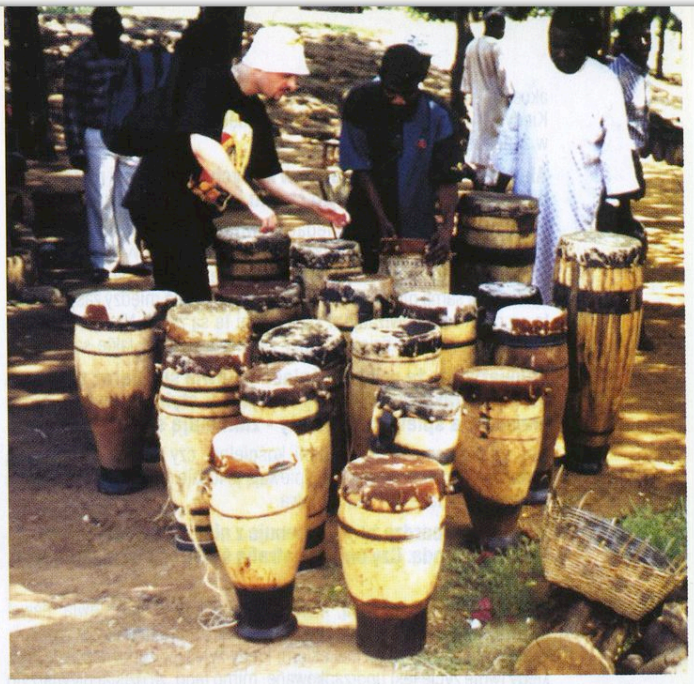

śpiewają i grają, kiedy są radośni, gdy dzieje się coś szczególnego - próbują o tym śpiewać.

A jak się uczą śpiewu na głosy? Sakala Brothers mają, jak zauważyłem, genialnie zestrojone głosy. Gdy ich słyszę, mam wrażenie, że długo ćwiczyli śpiew w chórze.

Właśnie, oni są z Afryki! To dlatego. Oni się tego nie uczą, oni to mają w genach. Kiedy dzieci tam śpiewają, to też już się dzielą na głosy. Ja nie wiem jak to się dzieje. Dzieci, choć śpiewają głosikami troszeczkę jeszcze zachwianymi - już się dzielą na głosy, już każdy kombinuje, jeden głos w górę, drugi w dół. Nigdy nie zdarza się tak, że się dublują.

Trudno pojąć - jak można śpiewać tak równo bez ćwiczenia w chórze. Mówiłeś, że wokaliści Sakala Brothers nie są, jak wskazuje nazwa, braćmi rodzonymi, a śpiewają tak jakby byli synami tej samej matki.

Tak. To wynika z tego, że śpiewają od dziecka, muzyka i śpiew towarzyszy im cały czas. I mają taki sposób spędzania czasu, że wieczorami siadają wokół najstarszej osoby w rodzinie czy we wspólnocie i ta osoba zaczyna coś opowiadać. Czasami to opowiadanie przeplatane jest śpiewem, więc wszyscy się do niego włączają. Mają mnóstwo okazji do śpiewu - od rana do wieczora. I nawet tutaj w Polsce, kiedy jeździliśmy, zdarzało się, że o 5.00 rano, kiedy powinni spać, intonowali jakąś pieśń w samochodzie, na przykład - z powodu wschodu słońca. Śpiewali improwizowaną pieśń na ten temat. Ale nigdzie nie uczyli się śpiewu. Oni mówią: my to mamy od Boga! Mają świadomość tego, że to pochodzi od Boga, że to jest w genach, że jest naturalne!

Jak określiłbyś specyfikę muzyki afrykańskiej? The Sakala Brothers grają przecież na typowych instrumentach: gitara elektryczna, bas, perkusja, klawisze, jakich używamy w Europie. Stosują jednak podziały rytmiczne, które są nam nieznane, egzotyczne...

Kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z pieśniami afrykańskimi dwa lata temu, nie próbowałem ich zapisywać (w sensie wartości rytmicznych), ponieważ od razu wiedziałem, że jest to skazane na niepowodzenie. Owszem, próbowałem gdzieś tam sobie coś szkicować, ale to nie było to. Po prostu musiałem się tych pieśni uczyć na pamięć - i słów, i melodii. To jest najlepsza droga, ponieważ akcenty przesuwają się co chwilę, są zmiany metrum, dla nich to naturalne. Mają na to swoje określenia, te rytmy się specjalnie nazywają. Kiedy mówią, że będą grali utwór w rytmie kawale, to jest specyficzny rytm kawale, którego się trzeba jakoś nauczyć. Kiedy mówią, że będą grali chibitiku, są to zupełnie inne akcenty, inna rytmika. Kiedy mówią, że będą grali utwór o metrum jakimś tam - skomplikowanym, to mówią: posłuchaj, niewaźne jaki to jest rytm, słuchaj tylko basisty, jak zmienia się akcent metryczny. My, Europejczycy, jesteśmy przyzwyczajeni do naszego 2/4 lub 3/4, 6/4 czy 6/8. U nich czegoś takiego nie ma,

akcenty są cały czas przesuwane, czują to zupełnie inaczej niż my. Kiedy my klaszczemy na 2 i na 4, oni będą klaskać akcent metryczny w zupełnie innym miejscu.

Ale mają klasyczne piosenki, w których są zwrotki i refreny. Nie wiem tylko, czy za każdym razem interpretowane tak samo?

Linia melodyczna może ulegać pewnym zmianom, modulacjom. Natomiast same zaśpiewy, tzw. afrykańskie zaśpiewy są stałe. Stąd też ludzie z różnych stron Afryki, kiedy się wspólnie spotkają, mogą śpiewać tę samą pieśń. Natomiast to, co się dzieje między zaśpiewami, to są często improwizacje. I stąd pieśni te są żywe! Nigdy nie zdarza się, żeby to, co się dzieje między zaśpiewami, było takie samo.

Zauważyłem, że w ich pieśniach pojawia się nieraz struktura litanijna, jakiś powtarzany motyw, w stylu naszego „Kyrie elejson", a śpiewane wersety - zmieniają się.

Tak. Churchsongi - czyli pieśni kościelne, czy pieśni gospel mają bardzo prostą budowę, dlatego śpiewają je ludzie od małego do dużego, i to prawda - taka jest ich budowa.

Te pieśni są bardzo żywe, emanuje z nich niesamowita radość, światło, pogoda. Czy oni nie potrafią śpiewać pieśni smutnych, lirycznych?

To jest związane z energią, którą ma się w sobie. Oni mówią: nawet kiedy jestem smutny, to mam w sobie „joy", mam radość „w środku". I kiedy jesteś dobrym człowiekiem, kiedy żyjesz w zgodzie z Jezusem, kiedy twoje życie jest uporządkowane, mimo tego, że dzisiaj przydarzyło ci się coś przykrego i jesteś smutny, zajrzyj do środka, w swoje serce i wyjmij tę radość, wyśpiewaj ją, a zobaczysz, że twój smutek odpłynie. Owszem, są też pieśni smutne, ale takie zazwyczaj, jedną czy dwie, śpiewa się na pogrzebach czy kiedy się tęskni. Smutek ten jest często nostalgią za jakąś osobą, za jakimś miejscem. Afrykańczycy nie mają jednak natury smutasów i nie chcą się smucić.

Jaka jest przeciętna wieku ich życia? Oni chyba krócej żyją niż biali?

Jest taka granica wieku, do której dożywają - 70 lat, ale z tym jest coraz trudniej. Jak już mówiłem, wyniszczają ich bardzo choroby, umierają dzieci i młodzi, umierają dojrzali.

Eksperyment sprowadzenia do Polski przez salezjanów takiej grupy jak The Sakala Brothers jest niezwykły, otwiera drzwi wielu słuchaczy i muzyków do „nowego duchowego i muzycznego świata". Czy jest możliwe zapraszanie kolejnych zespołów, dalsza współpraca na tym polu?

Tak. Już zeszłoroczna trasa Imyimbo shamepashi z płytą „Muzyka duszy" pokazała, że to jest dobry pomysł, że jest zapotrzebowanie na podobną animację wiary w Kościele, przybliżenie ludziom nie tylko pojęcia misji, ale również Afryki i tego, co jest jej potrzebne, z czym się boryka. Cała tegoroczna trasa The Sakala Brothers też pokazała, że różne miejsca na to się otworzyły. I chcemy to kontynuować, ponieważ widzimy ile z tego jest dobra. Nie chodzi o to, ile się zagra koncertów, nie chodzi o to, ile się pokona kilometrów. Chodzi o to, ile dobra udało nam się stworzyć przez ten czas. Jedna historia: po jakimś koncercie przyszła do nas dziewczyna, która powiedziała, że jej życie się załamało, że nie widziała jego dalszego sensu, i przechodząc obok kościoła zobaczyła plakat z „dwoma Afrykańczykami", weszła do środka na ostatnią piosenkę, kiedy chłopcy mówili już prawie „do widzenia". Ale otrzymała taki ładunek energii, Dobrej Nowiny, właśnie przez tę ostatnią piosenkę, że coś się w niej odmieniło. Kiedy opowiadałem o tym chłopcom, oni mówią : „Good news" , dobra wiadomość! Teraz wiemy dlaczego przyjechaliśmy do Polski. Będziemy to kontynuować na pewno w przyszłym roku. Nie wiemy, czy z The Sakala Brothers, chcielibyśmy z nimi, chcielibyśmy, żeby się otworzył nie tylko nasz kraj, ale też sąsiednie.

Jak muzycy The Sakala Brothers czują się w Polsce, kraju chłodnej Północy?

Problemem jest dla nich czas, czyli wczesne wstawanie, długie przejazdy, no i temperatura, także pogoda, która się u nas często zmienia. Kiedy przylecieli do Polski samolotem w kwietniu, byli ubrani w letnie ciuchy. U nas było wtedy 8 stopni. Więc już w samochodzie organizowałem jakieś ubrania, bo dygotali z zimna. Nie sądzili, że w górach jest tak chłodno. Po raz pierwszy widzieli śnieg, to też było dla nich ciekawe przeżycie. Czy im było u nas ciężko? Oni mówią, że

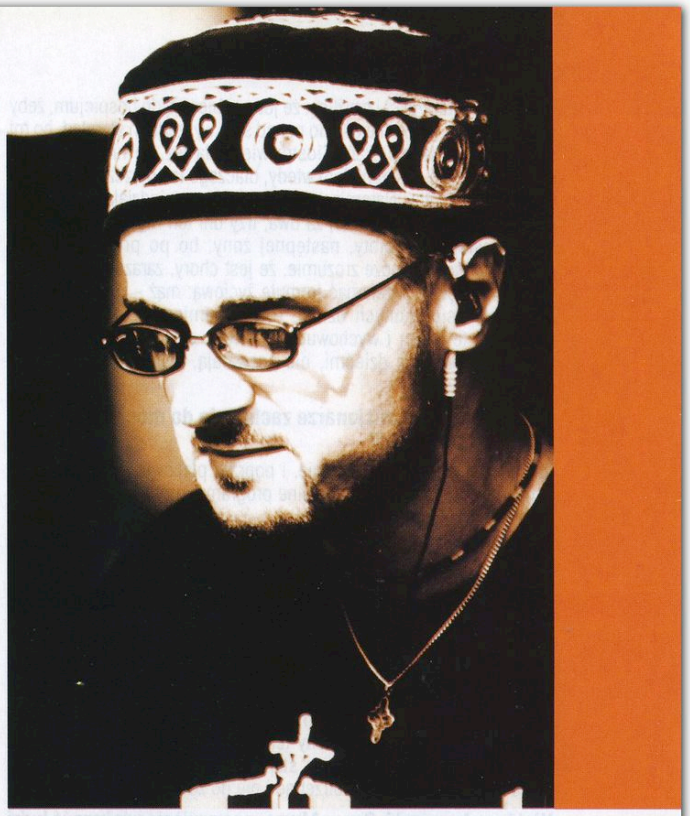

Polska to dla nich ciekawe doświadczenie. Są bardzo otwarci na nowe doświadczenia. Jeżeli chodzi o pogodę, mówili: „nie ma problemu, my to przeżyjemy". Jedzenie - bardzo dobre, tylko za dużo. Problemem jest to, że my jemy śniadanie, obiad i kolację w godzinach rannych, w południe i wieczorem. Natomiast u nich nie jada się takiego jak u nas śniadania, po południu - lekki obiad, natomiast kolację bardzo późno - około 22.00-23.00. Wtedy jada się najobfitszy posiłek. Tutaj niestety byli zmuszeni jadać kolację o 18.00-19.00 i był to dla nich problem, bo mówili: „słuchaj, dlaczego ja mam jeść? Nie jestem głodny. Ja będę głodny wieczorem, około 22.00-23.00". I jeszcze jedna rzecz, która jest dla nich tutaj problemem - w Zambii słońce zachodzi o 19.00 i robi się momentalnie ciemno. U nas na początku lata dopiero ok. 22.00 robi się tak zupełnie ciemno, a o 21.00 jest jeszcze jasno, świeci słońce. W Zambii wschód słońca jest około 6.00-7.00 rano. Natomiast u nas wschód słońca jest o godzinie 5.00 rano i oni się budzą, nie mogą spać. Do tego nie mogli się przyzwyczaić przez 3 miesiące.

Jakbyś podsumował tę podróż z nimi, to całe doświadczenie?

Trasa: około 30 koncertów, ponad 20000 przejechanych kilometrów, dwadzieścia kilka wywiadów radiowych, kilkanaście dla prasy... Przede wszystkim wiem jednak, że jest to wielka łaska Pana Boga dla mojego życia. Nie postrzegam tego jako jakiś mój sukces, moją pracę. Wiadomo, że to były 3 miesiące, że było nam czasem bardzo ciężko. Natomiast ja to dostrzegam jako taką łaskę Pana Boga, to mnie otworzyło na wiele spraw, to pozwoliło mi stanąć w prawdzie o sobie - jakim ja jestem człowiekiem - poprzez wiele trudnych sytuacji.

Pilotowanie ludzi reprezentujących inną rasę i kulturę duchową na pewno stawia człowieka przed pytaniami o sens tego, co sam robi i kim jest. Można w tym chyba dostrzec szansę dla własnego duchowego rozwoju?

Myślę, że tak, rozwój duchowy ja bym postawił tutaj na pierwszym miejscu. Co ja mam z tej trasy? - to, czego naprawdę doświadczyłem, to rozwój duchowy poprzez kontakt z nimi, poprzez rozmowę, poprzez kontakt z inną mentalnością, przez zupełnie inne postrzeganie Boga, modlitwy. Nieraz modliliśmy się każdy w swoim języku, ale to cudowne, że mogliśmy się modlić razem. Kiedy słyszałem ich modlitwę w języku nyanja - nie rozumiałem za wiele, natomiast czułem, że jest między nami jakąś więź i że w tym wszystkim jest Duch Święty.

rozmawiał: ***Andrzej Bujnowski OP***

zdjęcia z archiwum Rafała

New Life 'M chce coś powiedzieć...

Zespoły muzyczne, także chrześcijańskie, postrzegane są zazwyczaj przez pryzmat nowych płyt, koncertów i wydarzeń, w których biorą udział. Rzadziej znana jest równie istotna strona relacji wewnątrz tych grup. Czasem na scenie mniej lub bardziej wyczuwalna jest atmosfera, jaka panuje na co dzień w zespole, ale muzyka i jej przesłanie często skutecznie odsuwają na bok refleksje na ten temat. Ludzie przychodzą na koncert i oczekują, że przeżyją coś wartościowego. Że choć na chwile odejdą od swoich problemów i zgorzkniałej nieraz rzeczywistości. Nierzadko szczerą motywacją jest wspólna modlitwa podczas koncertu i spotkanie z Bogiem.

To, co wydarzyło się w ostatnim czasie z nami w New Life'M jest na tyle ważne, że chcemy podzielić się tym publicznie. Mamy nadzieję, że będzie to miało dla kogoś znaczenie i przyczyni się do niszczenia dzieł ciemności. Czytelnicy RUaH być może pamiętają zamieszczony na jego łamach dwa lata temu wywiad z członkami naszego zespołu. Graliśmy wówczas od kilku miesięcy z Natalią Niemen i wyrażaliśmy się ciepło o aktualnej atmosferze w zespole. Równocześnie wspominaliśmy naszego pierwszego i wieloletniego wokalistę – Mietka Szcześniaka. Mówiliśmy jednak o Nim – bez niego.... Przemilczeliśmy wtedy prawdę o naszym rozstaniu. A prawdą było to, że już od dłuższego czasu narastało między nami napięcie i niezrozumienie. Prezentując chrześcijańskie przesłanie na koncertach nie stosowaliśmy chrześcijańskich zasad w relacjach między sobą. Nasze piosenki dużo mówiły o miłości, a o nią właśnie się potknęliśmy. Przyznajemy z bólem, że nie stać nas było na współodczuwanie z Mietkiem. Zdecydowaliśmy w końcu wyłączyć go z zespołu. Jeszcze gorszą rzeczą było to, że zakomunikowaliśmy Mu o tym w bardzo raniący sposób. Musiało minąć aż trzy lata, aby Bóg mógł doprowadzić nas do zrozumienia, że najważniejszym, naprawdę liczącym się sprawdzianem prawdziwości naszego chrześcijaństwa jest miłość.

Bo „Kto miłuje swego brata, ten trwa w światłości i nie może się potknąć" (1 J 2,10).

My zawiedliśmy, ale Bóg, który mimo to kocha nas bardziej niż czujemy czy możemy sobie wyobrazić, który sam walczy o nas – przygotował nam czas i miejsce odnalezienia siebie na nowo. Chyba nie spodziewaliśmy się, że tegoroczne Spotkanie Muzyków w Rytychbłotach stanie się tak wielkim przełomem w naszej relacji z Mietkiem.

Jesteśmy wdzięczni Bogu, że złamał nasze serca. Mogliśmy szczerze udzielić sobie nawzajem przebaczenia, uwolnić się od niesionego tak długo ciężaru i doświadczyć głębi miłości w Chrystusie.

Wiemy, ze każdy podział w Ciele Chrystusa rani Boga, ale także tych, którzy tworzą to Ciało. Jest nam bardzo przykro, że staliśmy się być może dla kogoś powodem dezorientacji i rozczarowania. Żałujemy!

Mamy jednak pewność, że nie ma takiego podziału czy muru wrogości, zbudowanego przez tego, który „dzień i noc oskarża braci" (por. Ap 12,10), aby przebaczenie w Imię Jezusa i moc Jego miłości nie mogły go przezwyciężyć.

Robert Cudzich
Piotr Jankowski
Joachim Mencel
Marcin Pospieszalski

Mietek Szcześniak:

Pomyślałem: otworzę okno, niech świat wejdzie do mnie.
Okno i drzwi, na cokolwiek za nimi jest.
Deszcz jest piękny i chmury co go przyniosły,
Nieliczne ptaki otwarte na deszcz,
Drzewa otwarte na pion,
Jezioro otwarte na poziom.
Poziom wody.
Mój poziom podniesiony do pionu.
Nie było mnie na horyzoncie,
Nie wiedziałem, że mogę mieć horyzont,
Że można to przejść.
Odkrycie drugiej strony horyzontu, jak druga strona lustra,
Robi wrażenie, że niewiele się zmieniło -
Odbity świat.
Odbity od dna.
Jestem wdzięczny,
Będę się wdzięczył do ludzi.
Z przyjemnością i brakiem wstydu ocalonego.
Z radością będę śmieszny:
Dziękuję Boże.

Rytebłota, 5 lipca, ok. 5.00 rano

5 lipca, nieco później:
Jestem w Rytychbłotach. Spotkania muzyków. Ból. Wcześniej Toruń, Song of Songs... Spotkania z ludźmi. Ból i żale. Zapowiedź OHYDY POWTÓRZEŃ - nudzę samego siebie. Na śmierć. I do samego piekła. Skolegowany z tym piekłem, z ogarkiem dla nieba i z zapleczem dla ewentualnego cudu - przyjeżdżam do ewentualnego cudu - przyjeżdżam do - nomen omen - Rytebłota. Jego poczucie (metaforycznego) humoru. Takie Stasi posłuszeństwo Bogu. Takie nasze. Posłuszeństwo. O Abrahamie: myśmy zdążyli, czy nie? Czy nasz Ismael narodzony przed obiecanym Izaakiem? Może zdążylim? Ziemia Obiecana. Trzeba obrabiać, kiedy już jest. Czy jest? Czas pytań. Wreszcie cudnych. Zostałem wzięty na świadka. Moja pełnia szczęścia - być wygranym i jego świadkiem - mój święty nad tym - Św. Dystans. Dziękować, dziękować. Umyliśmy sobie nogi. Jak w Biblii. Modlilim, pokutowalim, zadośćuczynilim. Myślałem - niebezpieczna szybkość. Czasuuu. Czy to możliwe, że można tak szybko, może chcemy mieć to z głowy. Jasne, że tak. Jedno i drugie się zgadza. Bóg przyspieszenia. Miał być maraton, a jest setka bez płotków. Sztafeta na sześćdziesiątkę. Kibice w nas mogą być zawiedzeni i poprosić o zwroty kosztów. Jeszcze zdziwieni, nieprzywykli.

Miecz

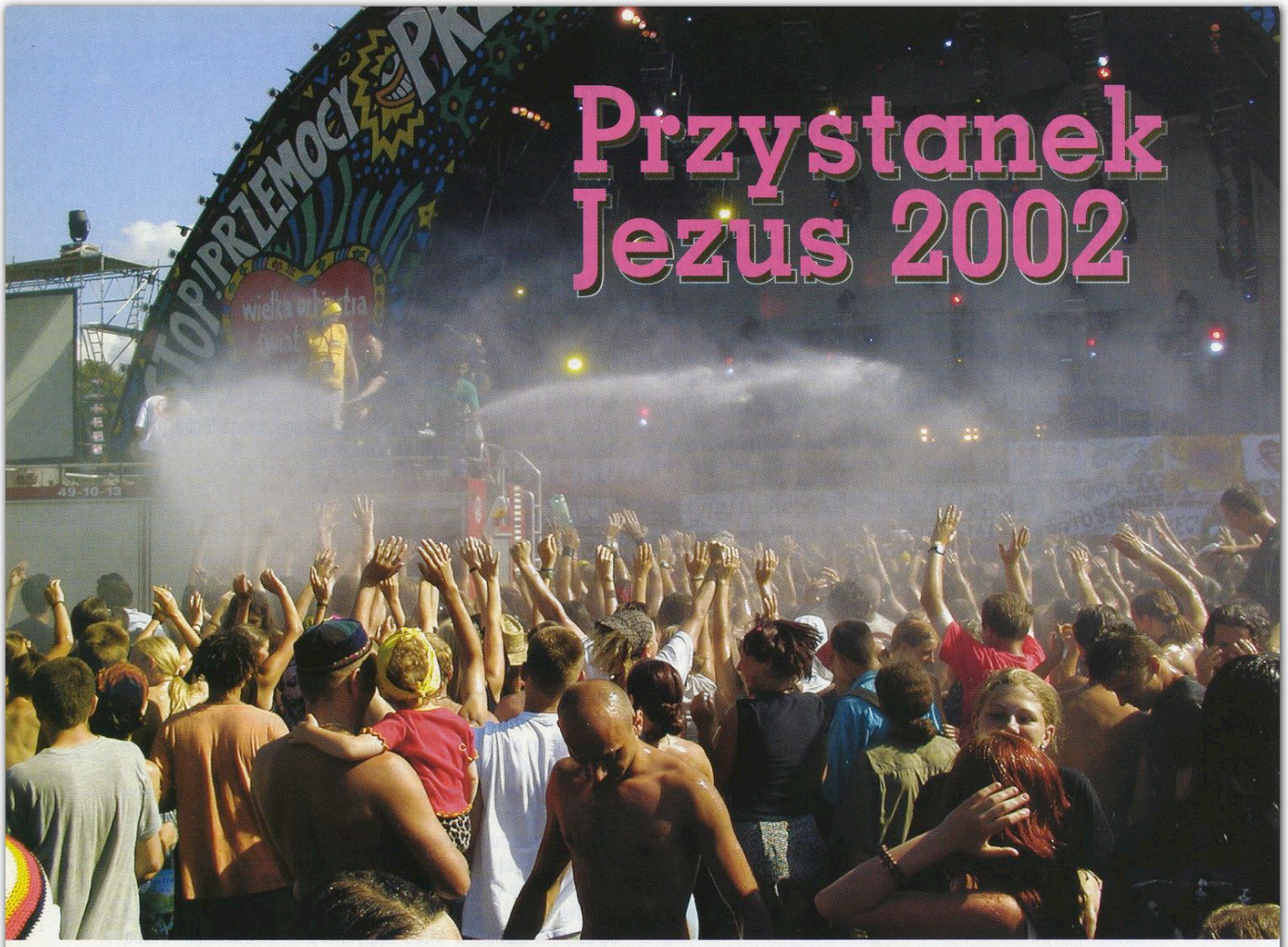

Przystanek Jezus 2002

Bp Edward Dajczak, organizator „Przystanku Jezus": - My nie chcemy nagabywać ludzi, aby przyszli do Kościoła. Młodzi z „Przystanku Jezus" idą do innych młodych i mówią im, dlaczego chcą żyć tak, a nie inaczej. I nie chodzi o to, że my, lepsi, idziemy do tych gorszych. W oczach Boga każdy jest tak wiele wart, że tego typu wartościowanie w ogóle nie wchodzi w grę.

Te słowa biskupa Dajczaka to dla mnie najlepsze podsumowanie „Przystanku Jezus" - spotkania, które od paru lat towarzyszy największej imprezie muzycznej w Polsce -"Przystankowi Woodstock". Już wiele przykrych słów padło pod adresem organizatorów obu imprez. „Przystankowi Jezus" zarzucano, że podczepia się pod „Przystanek Woodstock" i żeruje na frekwencyjnym sukcesie tej imprezy. „Przystankowi Woodstock" nie szczędzono słów krytyki, nazywając go wylęgarnią narkomanów, alkoholików, dealerów itp. Czas zakopać topór wojenny, bo takie opinie nie służą ani jednym, ani drugim. Poza tym są one niepełne i nieuczciwe. I po prostu nieprawdziwe.

Miasteczko i mieszkańcy

Zacznijmy od korzeni. Organizowany od ośmiu lat „Przystanek Woodstock" to podziękowanie wszystkim, biorącym udział w kolejnych finałach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Organizator imprezy, Fundacja WOŚP, zgodnie ze swoim statutem ma prawo wydać 10% na „realizację swych celów strategicznych". Robi to, organizując „Przystanek Woodstock".

Centrum każdej edycji imprezy stanowi gigantyczna (największa w Polsce!) scena muzyczna. Wokół niej na kilka dni powstaje niewyobrażalnych rozmiarów kilkusettysięczne namiotowe miasteczko. Ma ono własne uliczki, knajpki, małe sceny, punkty żywieniowe i sanitarne, bazarek oraz różne rozrywki, np. kino i bungee. Tak było w Czymanowie, Szczecinie-Dąbiu, a przez ostatnie lata w Żarach.

Na „Przystanek Woodstock" ściągają ludzie z całej Polski. Często są to młodzi-niepokorni związani z subkulturami punków, metalowców, anarchistów czy rastafarian. A czasami po prostu samotni. Przyjeżdżają, żeby posłuchać swojej muzyki i spotkać podobnych im ludzi. Chcą razem spędzić ze sobą kilka dni, z dala od problemów domu, rodziny, szkoły czy uczelni. Przyjeżdżają, bo na „Przystanku Woodstock" panuje niezoobowiązujący, beztroski klimat. Byle dobrej muzyki, jedzenia i piwa nie brakowało.

Oprócz zwykłych bagaży, często mieszczących się w jednej torbie, przywożą ze sobą swoje charaktery, sposób bycia, przyzwyczajenia i nawyki, a także - niestety - uzależnienia, słabości i to, co złe. Każdy z nich ma za sobą jakąś mniej lub bardziej poplątaną przeszłość. Na „Przystanku Woodstock", gdzie nie stoi nad głową czuwający rodzic czy wychowawczyni z bacikiem, to wszystko wychodzi na wierzch. Niestety, czasami za bardzo.

Dostrzec człowieka

Bp Dajczak: - Podchodzi do mnie chłopak z kolorowymi włosami i mówi: „niech ksiądz nie patrzy na mój wygląd, tylko zobaczy we mnie człowieka". To chyba najlepsze podsumowanie tego, co tu robimy: dostrzegamy człowieka.

Te słowa biskupa Dajczaka przypominają mi się zawsze, gdy czytam niektóre relacje z „Przystanku Woodstock". Często wynika z nich, że impreza ta gromadzi sam margines społeczny, któremu w głowie tylko chlanie, ćpanie, seks i wszystko, co najgorsze. Ludzie śpią w brudzie oraz syfie i nikogo nie interesuje, co się z nimi dzieje. A nad tym

wszystkim stoi pyszny Jurek Owsiak z rogami i śmieje się do rozpuku. Po prostu Sodoma i Gomora. Nic, tylko zniszczyć, zlikwidować i zapomnieć.
Najwyraźniej ja byłem na jakimś innym „Przystanku Woodstock". Owszem, byli tam ludzie pijani, czasami mijało się zamroczonych narkotykami, ale nikt mi prochów nie proponował (jestem wyjątkiem?). Co do seksu, to nie wiem, bo nikomu do namiotu nie zaglądałem. Faktycznie, śmieci było od groma, a okolice każdego kubła były dla wielu najlepszym miejscem na opróżnienie pęcherza. Ale czy to jest jedyny, pełny i do końca prawdziwy obraz „Przystanku Woodstock"? Ja widziałem także tłumy trzeźwych, którzy po prostu bawili się przy scenie. Ciekawe, dlaczego akurat tych ludzi niektórzy dziennikarze nie zauważali...
Oczywiście nikt z organizatorów nie udaje, że problemu nie ma. Trudno zresztą go nie dostrzec. Zamiast jednak biadolić „jaka to wstrętna jest ta dzisiejsza młodzież" trzeba dać im szansę wyjścia na prostą. Dlatego na terenie „Przystanku Woodstock" swoje stoiska rozstawiły organizacje antyalkoholowe i antynarkotykowe. Ich przedstawiciele chodzili po całym polu namiotowym, rozdawali ulotki, nalepki i koszulki, a także specjalne ankiety. Dzięki nim każdy mógł sprawdzić, czy jest uzależniony od środków odurzających.
Przynosiło to jakieś efekty? Mój znajomy, pracujący w Polskiej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, był zaskoczony. Ludzie ustawiali się po ankiety w kolejce, umawiali się na poważne rozmowy, pytali co robić dalej. Dla wielu z nich były to pierwsze takie rozmowy w życiu! W swoim mieście nie spotkali nikogo, kto mógłby z nimi o tym porozmawiać. Dopiero na „Przystanku Woodstock"...

Pomóc poplątanym

Bp Dajczak: - Tu przyjeżdżają ludzie, którzy czegoś szukają albo jeszcze nie wiedzą, o co im chodzi lub są po prostu poplątani. Szukają różnych dróg. Na „Przystanku Woodstock" pojawiają się różne propozycje. Gdyby wśród nich nie było propozycji Ewangelii, byłoby bardzo niedobrze. Uznałbym to za niewierność nakazowi Chrystusa.
Trzeba dobrego, wręcz Bożego serca, żeby przebić się przez pierwsze nienajlepsze wrażenie, jakie wywołuje widok zaniedbanego człowieka z kolorowymi włosami czy kolczykami w różnych dziwnych miejscach. Taką wrażliwością cechują się twórcy „Przystanku Jezus". Od początku widzieli w uczestnikach „Przystanku Woodstock" ludzi, którzy - choć niepokorni, niezadowoleni z otaczającej ich rzeczywistości czy zbuntowani - są nadal ludźmi. Bóg ich mocno kocha. I czeka na każdego z nich.
„Przystanek Jezus" powstał po to, być dać każdemu z nich szansę na poznanie Pana Boga. Pomimo początkowych perturbacji udało im się porozumieć z Jurkiem Owsiakiem i zupełnie legalnie rozbili swój namiot na terenie „Przystanku Woodstock". Porozumienie poszło tak daleko, że sam Owsiak zachęcał: - Każdy, kto przyjdzie na „Przystanek Jezus", spędzi czas dobrze.
Ewangelizatorzy, których było około tysiąca, mieli na sobie koszulki z napisem „Jezus OK". To miało prowokować do rozmowy. W tych koszulkach chodzili po terenie „Przystanku Woodstock" i rzeczywiście - co chwilę byli zaczepiani, zagadywani albo po prostu przybijali „piątki". Towarzyszyła im grupa kleryków i księży. Dla wielu z nich było to pierwsze tak mocne doświadczenie ewangelizacyjne. Wychuchani w ciepłych seminariach po raz pierwszy mieli styczność z zagubionym człowiekiem „z tego świata", którego trzeba przede wszystkim nakarmić, dać mu pić, chwilę pogadać, dopiero potem za niego czy z nim się pomodlić, a już na samym końcu prawić kazania.
Na brak modlitwy nikt zresztą nie mógł narzekać. Cały czas, 24 godziny na dobę, w kąciku namiotu „Przystanku Jezus" trwała adoracja Najświętszego Sakramentu. Każdego dnia odprawiana była Msza św., po południu dwugodzinna modlitwa. Na dodatek modlono się nad tymi, którzy zechcieli. Nie brakło również dobrej muzyki z przesłaniem. Zagrali m.in. Leaf, Chili My, Pneuma, 3Miel, Etna i Qltura.
Bp Dajczak: - Kultura to jest dotknięcie człowieka jakimś pięknem. Ono sprawia, że zaczyna on reagować na zupełnie innym poziomie. O to nam chodzi.

Czy warto?

Czy warto organizować tak gigantyczne imprezy jak „Przystanek Woodstock" i „Przystanek Jezus"? Warto z kilku powodów.

Sam „Przystanek Woodstock" to przede wszystkim świetny koncert, na którym można usłyszeć muzykę nielubianą w mediach, a naprawdę kapitalną. Ma ona ogromną ilość swoich odbiorców, o czym można się przekonać stojąc pod sceną. Poza tym Owsiak wyciąga z domów ludzi, którzy pewnie na żadną inną imprezę by się nie wybrali. Na „Przystanku Woodstock" mają okazję nie tylko dobrze się pobawić, ale i poważniej na siebie popatrzeć (wspomniane już organizacje antyalkoholowe i antynarkotykowe).

I wreszcie mają szansę spotkać Chrystusa. Gdyby nie „Przystanek Woodstock", to nie byłoby „Przystanku Jezus", a gdyby nie było tego ostatniego, to nie byłoby tylu „odmienionych historii". Wystarczyło posłuchać niektórych świadectw z „Jezusowej" sceny. Sam bp Dajczak mówi: - Nawet do mnie podchodzili młodzi ludzie, którzy mówili, że poznali Jezusa właśnie tu, na „Przystanku...".

Duch wieje, kędy chce...

tekst i zdjęcia: ***Marcin Perfuński***
wypowiedzi biskupa Dajczaka za e.kai.pl

biskup Edward Dajczak

KLUB PIEŚNI NATCHNIONEJ

Z CAŁEJ DUSZY

muz. Joachim Mencel
sł. Beata Mencel

1. **G**dy zbieramy się
By uwielbiać Cię
Wiem, że jesteś na pewno.
Mówisz jak mam żyć,
Dajesz jeść i pić,
Prosisz dla nas o jedność.

A obiecany święty Duch
Pociesza każdego z nas
I w moim sercu czyni cud,
Sprawia, że

ref. **P**odnoszę ręce,
Wstaję z martwych,
Krzyczę z mocą:
Jezus Panem jest

2. **P**okonałeś śmierć,
Chcę Ci oddać cześć,
Chwałę i dziękczynienie.
Dałeś życie mi,
Jak odpłacę Ci
Za Twój ból i cierpienie?

Weź moje ciało, niech służy Ci,
Weź serce zamieszkaj w nim,
Bo z całej duszy, ze wszystkich sił
Kocham Cię!

Piosenka pochodzi z płyty „Dla ciebie i dla mnie" zespołu New Life ´M

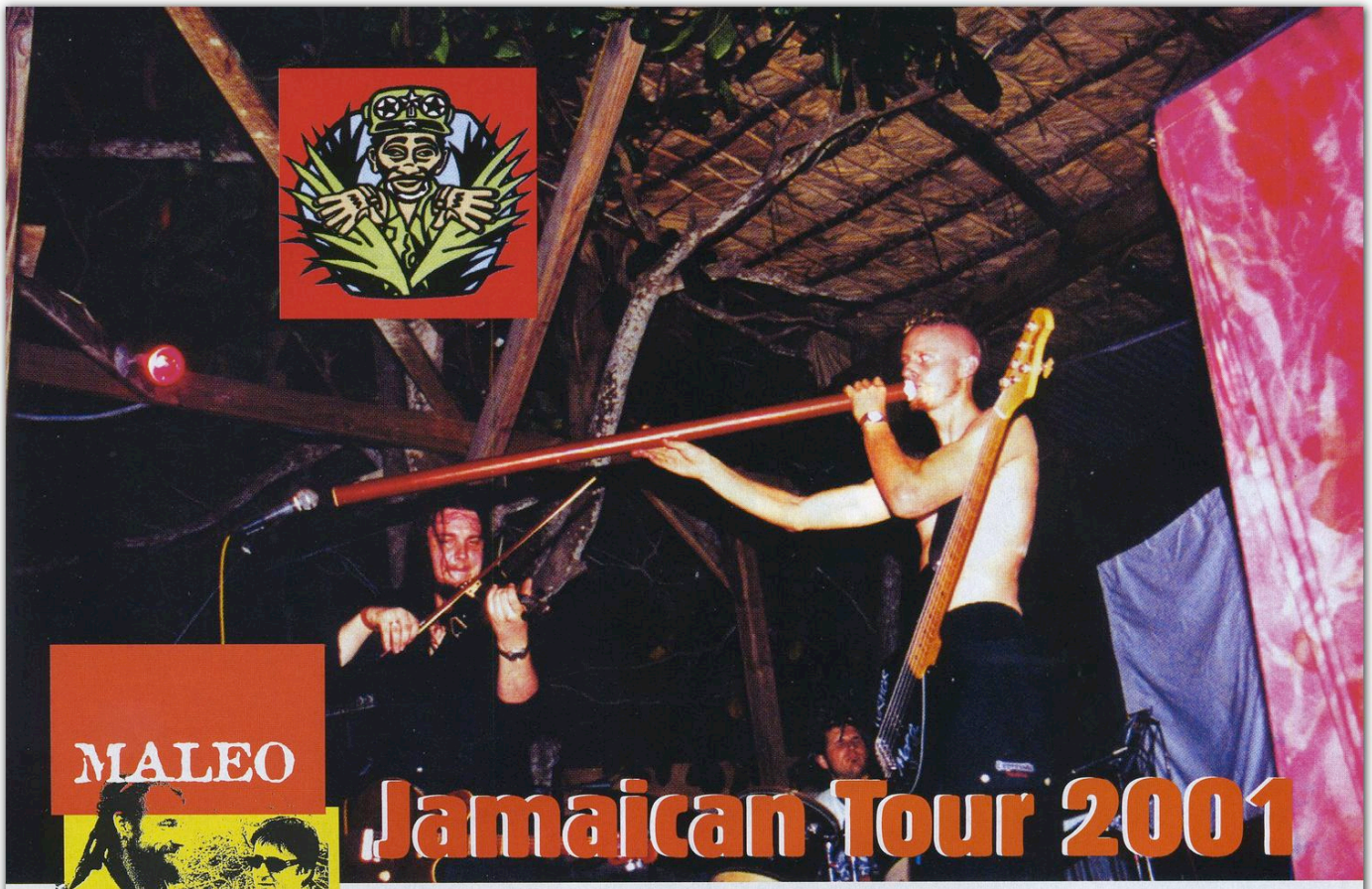

MALEO

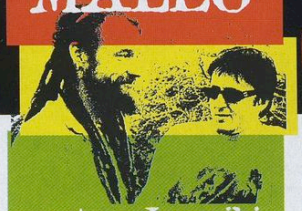

prosto z Jamajki...
odc. 4, ostatni

Jamaican Tour 2001

Droga z Kingston do Ocho-Rios wiedzie przez sam środek wyspy. Na początku jechaliśmy przez tropikalną dżunglę poprzecinaną fluorescencyjnie zielonymi wstęgami rzek. Potem mijaliśmy górzyste sawanny z zielonymi polami i małymi wioskami do złudzenia przypominającymi afrykańskie wioski z National Geografic.

Serce Jamajki stanowią góry - od łagodnych na zachodzie do wielkich majestatycznych Blu Mountains, dochodzących do ponad 1400 m n.p.m. Z Ocho-Rios do Montigo Bay, a potem prosto do Negril - najpiękniejszego miejsca na Jamajce, gdzie najpiękniejsze plaże stykają się ze stromymi klifami. Stąd mieliśmy świetną bazę wypadową na całą zachodnią część wyspy. Pojechaliśmy do Sav-La-Mar, dużego nieturystycznego miasta w głębi lądu. Miejscowi chrześcijanie wynajęli dla nas potężnego trucka z całym nagłośnieniem, wyposażonego we własny generator prądu. Rewelacja! Byliśmy niezależni, scena była na „pace", jeździliśmy po okolicy i reklamowaliśmy koncert. Wykonując głośną muzykę Jonathan, gitarzysta N.L.M. N.P.M. z Singapuru, krzyczał na całe gardło: „Zwariowani ludzie z całego świata! Teatr psycho-punk-hardcore! Jedyny koncert! Wariaci z całego świata!" itd. Na koncercie było ponad 1000 osób. Kompletna ciemność. Oświetlona tylko scena, zero ochrony, mnóstwo palących, groźnie wyglądających rastamanów. Jednak na koncercie wielu z nich oddało życie Jezusowi. I to na oczach innych, co było wielkim aktem odwagi. Potem były jeszcze koncerty w Ocho-Rios, gdzie na rynku miasta jedynym zasilaniem był kabelek grubości sznura od nocnej lampki, w Negril na najpiękniejszej plaży, w słynnym klubie reggae „De Bus". A na sam koniec w Montigo Bay w przeddzień odlotu przeżyliśmy z Elą chwile grozy, gdy młodzi gangsterzy przyłożyli mi nóż do gardła i musiałem im oddać wszystkie pozostałe pieniądze. To była najbardziej zwariowana trasa w moim życiu. Udało mi się zobaczyć Jamajkę prawdziwą. Nie taką z folderów turystycznych. Byłem w miejscach, gdzie biali nigdy się nie zapuszczają, a gdzie już na pewno nie grał żaden biały zespół. Zachęcam do modlitwy o nową ewangelizację dla Jamajki. Ta piękna wyspa stała się bliska mojemu sercu. I mam nadzieję, że tu jeszcze wrócę.

Darek Malejonek

zdjęcia: Ela Malejonek

A teraz coś z zupełnie innej beczki.

Na dzisiaj przygotowałem wstępną analizę dotyczącą wybranych elementów rynku ubezpieczeń finansowych.
Szok? Niestety nie.

P.O.D.

Payable On Death jest rodzajem ubezpieczenia na życie (*life insurance*), które zostaje wypłacone rodzinie w momencie śmierci ubezpieczonego. W szerszej paraleli można powiedzieć, że nazwa zespołu została tak wybrana, by uświadomić publiczności, iż był już ktoś, kto w momencie swojej śmierci obdarzył nas czymś drogocennym. A cóż na tym świecie może być cenniejszego od pieniędzy? (Odpowiedź „więcej pieniędzy" będzie uznana za głupotę i nagrodzona wycieczką do najbliższej filii banku PKO.)

CATFISH CHRISTIANS

Na dokładkę ostatnimi czasy pisze się o tym zespole całkiem sporo. Ja też dość długo nosiłem się z takim zamiarem, niestety moja, pożal się Boże, praca dziennikarska sprawia mi ogromną trudność. Darek Malejonek mówił mi kiedyś, że pisanie tekstów na płytę jest dla niego jak poród kleszczowy (tym, których ominęła póki co rozkosz bycia rodzicem nadmienię, że czasami trzeba pomóc naturze. Lekarze posiłkują się wtedy specjalnymi szczypcami za pomocą których chwytają główkę dziecka i dosłownie wydzierają je z dróg rodnych matki. Nie jest to ani łatwe ani przyjemne), w którym to stwierdzeniu odnajduję dokładny opis własnych mąk twórczych. Dlatego też tekst, który pierwotnie miał się ukazać w numerze poświęconym czadowej muzyce, ukazuje się z półrocznym opóźnieniem.

Praca była kłopotliwa również dlatego, że nie da się pisać o tym zespole tylko w wymiarze muzycznym. Nie można pisać o nich jak o kolejnej ciekawostce zza Atlantyku. P. O. D. nie jest zespołem szokującym, nie należy do wąskiej grupy skandalizujących zespołów. W dzisiejszym świecie odrzucającym wszelką moralność,a szczególnie moralność chrześcijańskiej proweniencji, już samo istnienie takiego zespołu jest skandalem, zwłaszcza kiedy sami zainteresowani mówią, że chcą być u ż y w a n i przez Boga. Jak świat światem, chrześcijaństwo zawsze spotykało się i będzie spotykać się z odrzuceniem, gdyż ten świat nie jest w stanie zaakceptować tego, co chrześcijaństwo ze sobą niesie - wiernego naśladowania Jezusa Chrystusa, a co za tym idzie - niesprzeciwiania się złu i miłości nieprzyjaciół. Taka jest nasza „ideologia" i takiej „ideologii" P.O.D. jako zespół hołduje. Nie jest łatwo być kimś, kto próbuje naśladować Chrystusa, ale Biblia mówi, że Bóg daje swoim dzieciom siłę, aby postępowały w ten sposób w świecie, który ich nienawidzi. Nie znajduję lepszego potwierdzenia tej tezy niż zatytułowanie przez jedno ze świeckich pism muzycznych wywiadu z P.O.D. słowem „błogosławieństwo". Widać, że Bóg tym chłopakom błogosławi, widać to w każdym momencie istnienia ich zespołu, w tym, co mówią, a przede wszystkim w faktach z ich życia.

Zespół powstał w Southtown, dzielnicy San Diego (Kalifornia), w pobliżu granicy Stanów Zjednoczonych z Meksykiem, na szlaku wiodącym z cieszącej się niemniej złą sławą Tihuany (*„...bien venido a Tijuana - tequila, sexo, marijuana..."*). Niestety nie da się uciec od pewnej analogii. Pisząc o nich chciałoby się zapytać: cóż może być dobrego z San Diego, miasta słynącego z tego, że jest prawdopodobnie największym zagłębiem brutalnego i kryminogennego gangsta-rapu. Wśród tych śmieci z getta znalazła się też prawdziwa perła. A znalazła się już dziesięć lat temu.

Cała historia zaczyna się od mało znaczącego zdawałoby się wydarzenia, jakim było poznanie przez wspólnego znajomego dwóch ludzi: Marcosa Curiel'a (git.) i Wuv'a (Noah Bernardo - perc.). Znając ich zamiłowanie do muzyki, stwierdził po prostu, że powinni razem pograć, i tak oto ci dwaj zaanektowali pokój dzienny w domu rodziców Wuv'a na pierwszą salę prób, co zaowocowało wspólnym graniem na imprezach w sąsiedztwie. W tym samym czasie kuzyn Wuv'a, niejaki Sonny Sandoval, zmagał się z sobą po śmierci matki, a że wcześniej tworzył jakiś hip-hopowy materiał, Wuv wpadł na pomysł, że najlepszym sposobem na utrzymanie go z dala od kłopotów będzie zaproponowanie mu przyłączenia się do powstającej właśnie kapeli. W ten oto sposób to, co miało być typowo rockowym graniem, wzbogaciło się o nowy wymiar - rapującego wokalistę. Do końca 1992 roku godzili się grać praktycznie wszędzie i praktycznie z każdym, byleby tylko zechcieli ich zaprosić. Z czasem nabrali takiego ograniа i scenicznego dynamizmu, że nim minął rok, otwierali lokalne koncerty sław w stylu Cypress Hill, Mighty Mighty Bostones, HR, czy Green Day. Byli gotowi także wejść do studia, by zmierzyć się z nagraniem swego pierwszego profesjonalnego materiału. Jak większość podobnych im zespołów postawili na niezależność do końca i z pomocą ojca perkusisty - ten to też niezły gagatek - jak mówi sam Wuv: **„Mój ojciec był jednym z największych dealerów narkotyków w San Diego. Żył na ulicy przez trzy lata, zanim Bóg dotknął jego serca. Potem zabrał mnie do kościoła i zobaczyłem jak Bóg zmienia jego życie, całkowicie ratuje małżeństwo moich rodziców. Stary, to była niezła jazda... Widziałem to wszystko dorastając, widziałem jak podnosi ich oboje z upadku, całkowicie nadaje nową jakość ich życiu, przyciąga ich z powrotem do siebie. Te fakty wstrząsnęły moim życiem. Zapragnąłem czynić dobro, ponieważ zobaczyłem, co Bóg uczynił w mojej rodzinie. Także Bóg użył mego taty, by nakłonić matkę Sonny'ego do czytania Biblii. Ona oddała swe życie Bogu i stała się przykładem dla Sonny'ego".** Powołali do życia własną wytwórnię płytową Rescue Records (rescue - ratunek). Pierwsze trzy wydawnictwa ukazały się nakładem tej samofinansującej się, rodzinnej wytwórni, z czego pierwsza płyta, „Snuff the Punk", już w 1993 roku. Tego samego roku dołącza do coraz rozpaczliwiej rozglądającego się za „czterostrunowcem" zespołu Traa Daniels i pozostaje w nim aż po dziś dzień. I znowu ojciec Wuv'a maczał w tym palce. To on wskazał im na grającego w funkowym zespole swego brata czarnoskórego basistę. **„Powinniście do niego zadzwonić"** - stwierdził tylko pozostawiając chłopakom na głowie kłopot, jak ukraść z profesjonalnej kapeli gościa, który na dodatek gra inny rodzaj muzyki. W każdym razie udało się i sam Traa twierdzi dziś, że początek współpracy z zespołem był dla niego jednym z najbardziej inspirujących doznań: **„To była bardziej uduchowiona rzecz niż cokolwiek innego w moim życiu".**

Może więc parę słów o muzyce, jaką grają. **„Jeśli pójdziesz do któregoś z naszych domów** - mówi Marcos, zaprzysięgły od wielu lat fan Santany - **i przyjrzysz się naszym zbiorom płyt, zobaczysz tam wszystko od metalu poprzez punk, reggae do jazzu"**, a Traa dodaje: **„Kiedy przyszedłem do kapeli, miałem wyraźną wizję tego, co chcę grać, ale będąc z nimi otworzyłem się na to coś w górze, na te wszystkie nuty. To, co oni zrobili ze mną, to że przestało być dla mnie ważne, czy lubię taką czy inną muzykę. Jeśli czuję, że to, co gramy, brzmi dobrze, po prostu to gramy. Jeżeli potem słuchamy tego kawałka i dobrze się czujemy, to jest to dobry numer. Jeśli nie - to nie jest"**. Wuv nadmienia o znaczącym wpływie, jaki wywarł na nich jeden z najlepszych w dziejach muzyki czarnych zespołów: **„Jesteśmy jak Bad Brains - kiedy czujesz, że możesz dokonać wszystkiego. Oni byli pierwszym zespołem, który pomieszał punk, hardcore i reggae. To był czad i my gramy tak od samego początku"**. Sonny dodaje: **„nasza muzyka jest wypadkową czterech różnych charakterów. Każdy z nas wnosi coś innego do naszego brzmienia. Lubimy ciężkie melodyjne gitary, pełne soulowej wręcz pulsacji, przystrojone agresywnymi, rapowanymi wokalami. Właściwie, cokolwiek napiszemy i zabrzmi dobrze, będziemy to grać. Nie sądzę, byśmy mieli zbyt wiele barier, jeśli chodzi o muzykę. Po prostu gramy to, co czujemy"**. Marcos natychmiast uzupełnia: **„Wszystkie wielkie rockowe kapele były napędzane przez pasje i emocje, niezależnie od tego czy pozytywną, czy negatywną. Ale my zawsze wkładamy w muzykę całą nasza miłość i wszystko co mamy"**.

WUV TRAA SONNY MARCOS

Faktycznie, wystarczy posłuchać jak naładowana emocjami i jak pełna uczuć jest ta muzyka, i jak bardzo chłopaki starają się, aby nie zgubić podczas studyjnych nagrań tego efektu. Aby pokazać jak niewielka różnica dzieli obie te energie - energię koncertu od energii zawartej na studyjnych nagraniach w rok po wydaniu drugiego albumu „Brown", w 1996 roku wypuścili na rynek płytę koncertową o tytule, nomen omen, „Live" (1997, obie własnym sumptem dla Rescue Records).
Wtedy już było o nich głośno. Największe pisma branżowe zamieszczają z nimi wywiady, nierzadko cover-story. Na dokładkę wcale nie w magazynach o muzyce chrześcijańskiej, co wcale ich nie martwiło. **„Nie wiedziałem, że jest jakiś przemysł chrześcijański, kiedy zaczynaliśmy grać. Dopiero później przemysł chrześcijański znalazł nas, nowy zespół. W nas nie zaszła żadna zmiana, cały czas byliśmy tym samym bandem stojącym za Jezusem, pragnącym głosić Jego Słowo we wszystkim co robimy"**. Ich misją było (i jest nadal, miejmy nadzieję) nieść słowa miłości Boga do tych , którzy wcale nie uznają Go za swego Pana. Ciągle pozwalają się używać Bogu do głośnego mówienia o swym posłaniu, grać dla wszystkich i ze wszystkimi, szczególnie niewierzącymi. Nie upatrują bowiem żadnych trudności w graniu przed publicznością żywym aplauzem reagującą na słowa: **„Są tu jacyś chrześcijanie?"**. Znajomi nazywają ich *Catfish Christians*, (od suma - ryby żyjącej w zamulonych zbiornikach), ponieważ ciągle „zbierają cały brud z samego spodu". I śmiejąc się dodają: **„to my jesteśmy tym syfem z dna"**. Co za pokora. Dzięki temu nie spotkał ich los wielu zespołów mieniących się chrześcijańskimi, które wybierając granie tylko dla nawróconej publiczności, tylko na chrześcijańskich imprezach i tylko w otoczeniu podobnych sobie, nie prowadzą już żadnej działalności misyjnej. Nie wypuszczają się poza dobrze sobie znane terytoria, nie maszerują po peryferiach poza murem bezpieczeństwa, próbując odnaleźć tych wszystkich odrzuconych i zagubionych. **„Kiedy mamy grać dla chrześcijan, jest to tak proste dla nas, wiesz? Bogu niech będą dzięki, dzisiaj gramy łatwy koncert. Mówisz Jezus i wszyscy się cieszą. Ale kiedy grasz świecki koncert, wtedy wszystko jest inaczej. Jesteś jakby pośrodku płomieni. Dlatego przemysł chrześcijański potrzebuje głębokiej modlitwy (ukłony dla Marcina Jakimowicza za tekst o zakładaniu koszulki Tymoteusza!!!) ponieważ zachodzi tutaj poważna walka duchowa"**. Na początku, gdy zaczynali grać w garażu, nie mieli żadnej intencji, by stać się zespołem znanym, lubianym czy popularnym. Po prostu robili to dla frajdy. Ale Bóg najwyraźniej zażyczył sobie, aby to właśnie robili w swoim życiu. Jako potwierdzenie tezy o namaszczeniu Marcos opowiada następująca historię: **„My sami nigdy, nawet jeden raz nie zadzwoniliśmy do nikogo z prośbą o to, by zagrać. Nawet jeden, jedyny raz - nigdy! Wzięliśmy jego ojca (po raz kolejny ojciec Wuv'a) na menadżera i on nam powiedział, że jeżeli Pan naprawdę chce abyście chłopcy grali, ludzie będą do was dzwonić (a ja nie wydam na telefony ani centa he, he, he). I od tamtej pory nigdy do nikogo nie dzwoniliśmy w sprawie koncertów. Zawsze jest tak, że dzwonią do nas i mówią: Chcemy was zaprosić na koncert, a my mówimy: Łał, ale czad, Bóg robi to za nas"**.
W wywiadach z tego okresu śmieją się, że nie ma takiego miejsca, w którym by nie zagrali - gimnazja, koledże, centra młodzieżowe, kawiarnie, skate parki i parki publiczne, sale gimnastyczne - nawet opuszczone domy, jeśli komuś przyjdzie na myśl, by właśnie w nich zorganizować koncert. Nie wiem na ile fakt ten wpłynął na ich podejście do fanów, na ile była to zasługa ich doświadczeń czy charakterów. Faktem jest, że kiedy kończył się koncert, nie kończył się kontakt zespołu z publicznością. **„Spędziliśmy godziny na rozmowach po koncercie"**, rozmowach, dodajmy, nierzadko dość długich, nawet jak na facetów, którzy nie grali przed chwilą wycieńczającego setu. Mimo to, co nie jest żadną tajemnicą, wszystkich członków zespołu można znaleźć wśród publiki, rozmawiających o szkole, rodzicach, muzyce, czymkolwiek. **„Zostaliśmy uhonorowani tym czymś, co pozwala nam mieć ten rodzaj kontaktu z dzieciakami, wiesz? żadnych barier"** - mówi Sonny. Traa: **„Jesteś spocony i rozgrzany, a ludzie przyłażą do ciebie, przecież nie powiesz im: No dobra, jestem zmęczony..."**. Jak można się więc dziwić, że tego typu postawa, nie mająca nic wspólnego ze spotykanym na co dzień w tym środowisku zachowaniem - **„Ja jestem gwiazdą, ty jesteś śmieciem, który ma kupować moje płyty"**- zaowocowała rzeczą zupełnie niespotykaną. Wszyscy, mający na to ochotę fani, uczestniczą

aktywnie w życiu zespołu. Organizują koncerty, powiadamiają się o datach i miejscach tychże, tworzą strony internetowe (można na nich przeczytać o s o b i ś c i e napisane przez członków grupy posłania do fanów, teksty zespołu tłumaczone na tak egzotyczne dla amerykanów języki jak np. niemiecki, informacje z ostatniej chwili, pochodzące z pierwszej, piątej albo setnej ręki). Sami siebie zwą Wojownikami (*the Wariors*). Tworzą energiczną, samoorganizującą się, zdyscyplinowaną grupę, która kontaktując się przez Internet potrafi podać gdzie, kiedy, w jakiej stacji radiowej i pod jakim telefonem można oddać głos na piosenkę ich ulubieńców. Kiedyś sam z ciekawości wciągnąłem się na taka listę i dosłownie zostałem zasypany e-mailami innych Warriors, dokładnie wtedy, gdy teledysk z wcześniejszej płyty („The Fundamental Elements of Southtown") pojawił się w MTV i można było na niego głosować. I wiecie co? W momencie gdy nowe teledyski Madonny, Korna i innych popowych gwiazd zepchnęły P.O.D. na czwartą pozycję, tą samą drogą Wojownicy zaczęli mobilizować się nawzajem, i po tygodniu „Rock the Party" tryumfalnie powróciło na pierwsze miejsce! Muszę nadmienić, że utwory P.O.D. jako jednego z niewielu czadowych zespołów umieszczane są na podsumowujących cały rok składankach w otoczeniu utworów najpopularniejszych wykonawców prezentowanych w tej stacji. Szok! A nie mówiłem?

Płyty schodzą jak świeże bułeczki, na koncerty zaczynają walić prawdziwe tłumy. Zainteresowanie zespołem osiąga szczyt, kiedy w roku 1999 Tooth and Nail (jeden z amerykańskich potentatów w wydawaniu czadowej chrześcijańskiej muzyki, m. in. Strongarm, No Innocent Victim, MxPx) zdecydował się wydać siedmiokawałkowy mini LP o wiele mówiącej nazwie - „The Warriors", na którym znalazły się oprócz numerów demo z kolejnego albumu (w innych wersjach) niepublikowane wcześniej utwory. W tym samym 1999 roku już w barwach Atlantic Records wydają płytę, która zmusi wielu ludzi do zmiany myślenia o pogardzanej przez nich do tej pory muzyce (pardon za wyrażenie) chrześcijańskiej. Mowa tu o „Fundamental Elements Of Southtown", płycie, która dotarła na pierwsze miejsce listy Bilboardu i sprzedała się w Stanach w - uwaga, uwaga - w milionie egzemplarzy. Nieźle, co?

Ktoś może jednak zapytać: cóż jest takiego wyjątkowego w tym, że jakiś zespół ma wierną rzeszę swych fanów i sprzedaje miliony egzemplarzy płyt? Na koncerty Laibach ludzie przychodzili w mundurach, a taki Michael Jackson potrafił sprzedać nawet sto milionów płyt. Jeżeli komuś za odpowiedź nie wystarczy to, co napisałem wcześniej, niech sięgnie do wywiadów z członkami kapeli. Ja śledzę ich poczynania dokładnie od momentu, w którym po raz pierwszy zobaczyłem ich zdjęcia (ach te tatuaże, moja miłości!) oraz reklamówkę „Snuff the Punk" i „Brown" w piśmie „Heavens Metal" (to taki amerykański Metal Hammer dla chrześcijan) gdzieś około '97 roku. Od tamtej pory czytam wszystko, co tylko znajdę w sieci - od newsów po niepocięte i niepoprawione wersje wywiadów. Nie zauważyłem, aby cokolwiek w ich mentalności czy podejściu do spraw wiary się zmieniło. Nie zauważyłem, aby nagle zaczęli zmieniać to, co grają albo mówią pod jakąś kolejną koniunkturę. Powiem więcej, od kiedy zostali zauważeni i zaczęli podkładać swoje numery do dużych amerykańskich produkcji filmowych („Męska Gra" z Alem Pacino, „Mały Nicky" z Adamem Sandlerem, czy ostatnio „Król Skorpion"), forma ich przekazu klaruje się coraz bardziej, muzyka nabiera nieznanego dotąd przebojowego odcienia, a przesłanie jak gdyby coraz bardziej się umacnia. Nie można ani przez chwilę powiedzieć o nich, że zabiegają o sławę czy popularność. Wszelkie zaszczyty czy wyróżnienia przyjmują nie jako należne im granty, ale jak hołd dla ich jedynego Pana i Stwórcy, Dawcy wszystkich talentów.

Dzięki całej tej popularności mogą głośno mówić o Bogu, o roli jaką pełni w ich życiu. Po tym jak ich płyta „The Fundamental Elements Of Southtown" sprzedała się w milionie egzemplarzy wokalista mówił w jednym z wywiadów: **„Nigdy nie kwestionowałem mojej wiary. To nie jest łatwe być kimś, kto próbuje brać przykład z Jezusa Chrystusa, kochać i służyć wszystkim tym, którzy są dookoła mnie. Wchodzić w pokorę. Moje serce, jako chrześcijanina, pragnie kochać każdego, i jak dobrze pójdzie, pokazać mu światło Boga"**.

A dziennikarze? Jak to dziennikarze. Oczywiście musieli znaleźć wytłumaczenie dla tego zjawiska i oczywiście musieli nadać mu nazwę. Tak oto pojawiło się kolejne zbękarcione tworzywko o dźwięcznej nazwie nu-metal. (Nie mogę do cholery zrozumieć, co P.O.D., zespół bądź co bądź o korzeniach punkowo-hardcoreowych, może mieć wspólnego z metalem? Może ci debile myślą, że tylko metalowe zespoły mają prawo grać solówki??? A może by tak od razu zespół, o którym P.O.D. wyrażają się najcieplej i wskazują jako swój niedościgły wzór /Bad Brains/ też ochrzcić mianem protometalowego? Wtedy praca dziennikarska na powrót stałaby się łatwa i przyjemna. Wrzućmy wszystkie te kapele do jednego worka, a wszystkie dziewczyny niech mają duże piersi - wtedy wszystko będzie proste i nie trzeba będzie się wysilać ani dokonywać skomplikowanych wyborów. Yeah! No, ale na szczęście Bóg jest na scenie i takie problemy stają się malutkie, malutkie.) Niech sobie nazywają jak chcą, skoro nie potrafią zrozumieć. Ja też nie mogłem zrozumieć, kiedy pewnego pięknego dnia wybrałem się na Stadion Dziesięciolecia (słynny Jarmark Europa będący największym chyba w Polsce zagłębiem szarostrefowego handlu), by po przystępnej cenie zakupić kilka par nowych skarpetek i ujrzałem najnowsze wydawnictwo P.O.D. na straganach z pirackimi płytami. Trzeba dokonać nie lada wyczynu, by znaleźć uznanie w oczach piratów - oni wydają tylko to, co daje gwarancję zarobku. Do tej pory sztuka ta udała się chyba tylko jednemu zespołowi, który możemy uznać za chrześcijański - Arce Noego. No ale widocznie sam fakt, że już w pierwszym tygodniu sprzedaży za Atlantykiem płyta ta rozeszła się w 300.000 egzemplarzy podziałał na piratów stymulująco.

Dawno już nie byłem na Stadionie, nie mogę prześledzić więc czy piraci sięgnęli już z braku nowych wydawnictw po wcześniejsze płyty. Jedno jest pewne - na całym świecie „Satellite" zdobywa coraz więcej zwolenników, płyta sprzedaje się jak szalona (USA - podwójna platyna, Kanada, Niemcy, Indonezja - platyna, Irlandia, Filipiny, Malezja, Singapur, Australia, Nowa Zelandia - złoto; to zestawienie mówi samo za siebie) windując P.O.D. na pierwsze miejsce pod

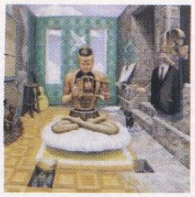

względem ilości sprzedaży płyt w ich macierzystej wytwórni Atlantic Records, a jest to dopiero druga płyta dla nich. I co robi zespół, który osiągnął taki sukces? Spoczywa na laurach? Może odcina kupony od gwiazdorstwa? Nic z tego! Pomimo tego, że są częstymi gośćmi w tak popularnych programach jak show Howarda Sterna, „Farmclub", „Return of the Rock" czy „120 minutes", w MTV zakładają własna wytwórnie płytową, by dać możliwość zaistnienia kolejnej fali zespołów własnego pokroju. Już w sierpniu ma się ukazać pierwsze wydawnictwo w Three Points Records (może ktoś wie, o jakie trzy punkty chodzi??? he he he), a będzie to płyta hardcore'owego zespołu ze Szwecji, oczywiście chrześcijańskiego, o nazwie Blindside. Zainteresowanych odsyłam na stronę www.blindside-silence.com.

Pomimo tych wszystkich obowiązków P.O.D. pozostaje jednym z najciężej pracujących zespołów - spędzają w trasie ponad pół roku kalendarzowego, co daje im wynik jeden koncert na dwa dni w skali roku! Nie wiem czy jest to forma wdzięczności dla ich zaprzysięgłych fanów, którzy kupili już na całym świecie ponad 5 mln egzemplarzy ich płyt, czy też na odwrót - ich poświęcenie, oddanie dla ludzi procentuje tym, że tak wiele płyt się sprzedaje. Istnieje też trzecia możliwość: ich twórczość jest lepsza i ciekawsza niż innych zespołów, w związku z czym sprzedają więcej płyt niż Slipknot i System Of A Down razem wzięte.

Ta mania koncertowa daje się we znaki także kierowcom autobusów, którymi jadą w trasę: zespół nigdy i nikomu nie odmawia wejścia do swego autobusu (patrz teledysk do Rock The Party). Zranione spojrzenia driverów skierowane ku wykładzinie zaścielającej podłogę autobusu są kwitowane beztroskim „jakoś to uprzątniemy". Nic więc dziwnego w tym, że ludzie mogą ich traktować zupełnie normalnie, zobaczyć chłopaków z krwi i kości, przekonać się, że te gwiazdy rocka mogłyby mieszkać w ich dzielnicy, na podwórku obok. Przecież dla znajomych, dla bliskich jesteśmy w stanie uczynić coś więcej niż wyjąć z portfela parę banknotów, by kupić bilet na koncert czy płytę. Jesteśmy w stanie obdarzyć ich uczuciem miłości, wierności, zaufania. A przecież o to w tym wszystkim chodzi, żeby te bezpańskie psy zaznały uczuć, jakich często w ich rodzinach, środowiskach nie uświadczysz... **„nie mamy zbyt wielu chrześcijańskich przyjaciół. Jest kilku, którzy aktualnie kosztują dobroci Boga poprzez nasz przykład, co jest wielkim błogosławieństwem, lecz większość naszych znajomych to nie chrześcijanie. Powoli zmierzają ku temu, z naszą małą pomocą. To wielkie błogosławieństwo, że byliśmy zdolni dotrzeć tam, dokąd oni teraz zmierzają i móc im służyć pomocą. Naprawdę jesteśmy już chorzy od patrzenia na te wszystkie zespoły śpiewające o złu, seksie, narkotykach i na te wszystkie dzieciaki patrzące jak one nadużywają narkotyków... I to jest przesłanie, jakie one niosą... Wiemy, że to obłędne koło. Ale to co robimy to nie jest kolejne koło. Krzyż wyznacza centrum. Jeśli możemy przyprowadzić te dzieciaki do krzyża i pokazać im, jak bardzo Jezus kochał je umierając za nich na krzyżu, wiemy, że to nie może być złe."**

Tak więc, drogie siostry i bracia, grający w zespołach chrześcijańskiej proweniencji, nie wzdragajcie się używać ze sceny takich zwrotów jak „Bóg Cię kocha" albo „Jezus umarł na krzyżu za Ciebie", ponieważ to ciągle działa. Chłopcy z P.O.D. potwierdzają, że organizatorzy koncertów nie chcą promować Chrystusa. Jedyne co ich obchodzi to dobry zespół na scenie i morze głów pod sceną. Oni mogą tego nie widzieć, ale Bóg ma to wszystko pod kontrolą, patrzy i myśli: Tam w dole są moje chłopaki i oni powiedzą tym wszystkim ludziom w dole o Mnie i wiem, że P.O.D., Tymoteusz czy Dzieci z Brodą mogą to zrobić. **„Myślę, że Bóg nas używa, ponieważ On wie. On nam to wszystko dał. Dla mnie jest to oczywiste, że jest to dar od Niego i nigdy nie postrzegałem tego w kategoriach walki... Czasem nazywają nas fanatykami i jest to największy komplement. Jesteśmy fanatykami Chrystusa i to jest dokładnie tym, czym jesteśmy".**

Czego jeszcze chcieć?

Grzegorz Wacław

Warszawa - Połczyn Zdrój, lipiec - sierpień 2002

strona internetowa zespołu: www.payableondeath.com

news news news news news

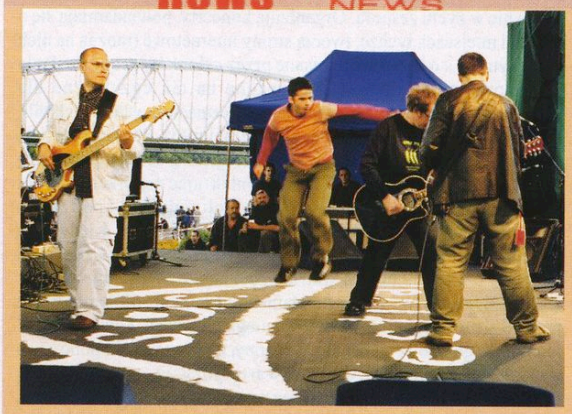

W czerwcu ukazała się długo oczekiwana płyta formacji Chili My. Zanim się pojawiła w sklepach wiele osób bez względu na dzień tygodnia nuciło już utwór „Niedzielny przelot", do którego został zrealizowany teledysk.
Grupa, która do tej pory wylansowała wiele przebojów, np. „Twoje miłowanie", „Czy ty o tym wiesz", „Tak wiele mam" i tym razem nie zawiodła. Porywająca muzyka, świetne teksty i żywiołowe koncerty to znak rozpoznawczy zespołu, który widzi swoje miejsce nie przed samym ołtarzem a raczej na schodach kościoła. Więcej o zespole można dowiedzieć się na jego stronie internetowej www.chilimy.kdm.pl

W dniach 22-27 lipca br. na Górze Św. Anny w VI Święcie Młodzieży wzięło udział ponad 2000 osób. Organizatorem była franciszkańska prowincja Św. Jadwigi. Hasłem Spotkania były „Wartości zapomniane", a w tym „święcie modlitwy i muzyki" udział wzięli m.in. Marek Kotański, zespoły: Etna, Früstück, Mate.O, Alex Band i Dinozaury, Wolna Grupa Bukowina i wiele innych.

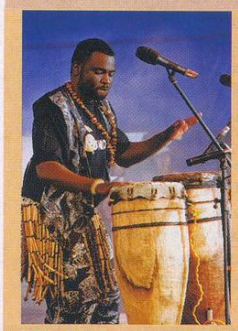

Wiadomość z ostatniej chwili: w pierwszych dniach października zespół The Sakala Brothers przyjedzie ponownie do Polski i weźmie udział w trasie koncertowej, której szczegóły są właśnie ustalane. (Szukaj ich w październiku na stronach www.ruah.pl)

13 października, w niedzielę, po raz drugi w Polsce świętować będziemy DZIEŃ PAPIESKI. Jego obchody uświetnią w wielu miastach koncerty muzyków chrześcijan. I tak w Bydgoszczy zagra Magda Anioł, Joszko Broda z dziećmi i Ryszard Rynkowski, w Gdańsku - Schola Cantorum Gedanensis, w Krakowie - Skaldowie, Chili My, Jacek Dewódzki, w Łodzi - Saruel, w Stalowej Woli - Mietek Szcześniak, we Wrocławiu - kapela góralska z Podhala, chór z Armenii i grupa Voo Voo. Główny koncert dedykowany Ojcu Świętemu odbędzie się podobnie jak rok temu w Teatrze Wielkim w Warszawie, a wystąpią w nim m.in. Arka Noego, zespół ludowy Jarzębina z Kocudzy, Anna Maria Jopek, Robert Amirian, Deus Meus, The Sakala Brothers (Zambia), Visual Ministry Choir (Wlk.Brytania).

news news news news news

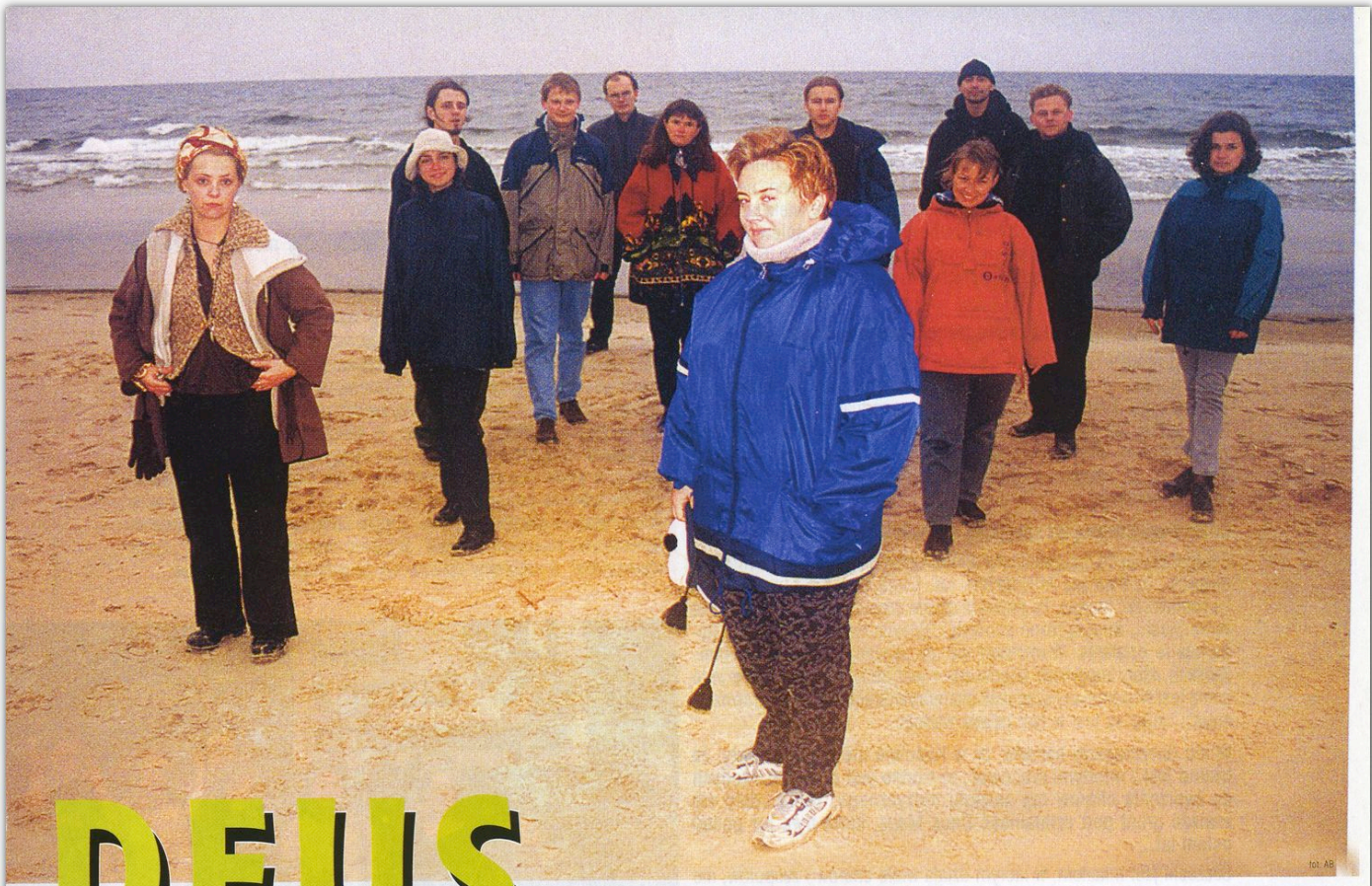

DEUS MEUS x 4

o muzyce, życiu, pomysłach i nowej płycie zespołu z jego muzykami rozmawia ks. Grzegorz Ułamek

1/ z o. Andrzejem Bujnowskim OP:

Przed wstąpieniem do Dominikanów ukończyłeś grafikę na ASP w Krakowie - jak to doświadczenie owocuje teraz w pracy ze środowiskami artystycznymi?

Bycie na Akademii to nauka wrażliwości artystycznej i duchowej. Prawdziwy artysta jest otwarty na różne prądy i zjawiska w świecie sztuki, religii, kultury i muzyki, chłonie wszelkie „trendy" i „tendencje". Artysta jest też otwarty na ludzi, z którymi się spotyka, a szczególnie na indywidualności twórcze. Właściwie wszystko go interesuje. Z tego, co do niego dociera, tworzy dzieło sztuki, nową wartość, nową jakość. Artysta podejmuje nieustanne ryzyko twórcze i staje wciąż w obliczu opinii odbiorców „swego dzieła". Doświadczenia artysty bardzo przydają się w życiu kapłana-zakonnika, zwłaszcza w duszpasterstwie. Nieustanne przygotowywanie i głoszenie słowa, praca z młodzieżą, rozmowy prowadzone w konfesjonale - to przecież nieustanne działania „twórcze" kapłana w spotkaniu z drugim człowiekiem. Ważna jest tu przede wszystkim otwartość i umiejętność słuchania. Nie mam obecnie czasu, aby poświęcać się sztuce, zajmować się rysunkiem, malarstwem czy grafiką artystyczną, ale w pewnym sensie traktuję jako „twórczość artystyczną" każdą moją pracę, czy to będzie kurs przedmałżeński, próba śpiewu z chórem, pokaz slajdów ze sztuką chrześcijańską, czy składanie stron Magazynu RUaH. Nigdy do końca nie wiem, jaki będzie tego odbiór i co z tego w ludziach zostanie, a efekty są różne, od zupełnego braku reakcji, po entuzjazm lub skutki, które pojawiają się po kilku, a nawet kilkunastu latach. Przykład: dostaję list od dziewczyny, która chwali się, że z zapałem prowadzi jakiś chór w parafii na południu Włoch, a w pracy z nim korzysta z doświadczeń zdobytych w scholi, którą uczyłem pieśni liturgicznych 19 lat temu i w której ona śpiewała jako licealistka. W pracy z artystami, o którą pytasz, próbuję wykorzystywać szczególnie swe zainteresowania muzyką, wiedzę o sztuce, a także głęboki szacunek dla indywidualności twórczych.

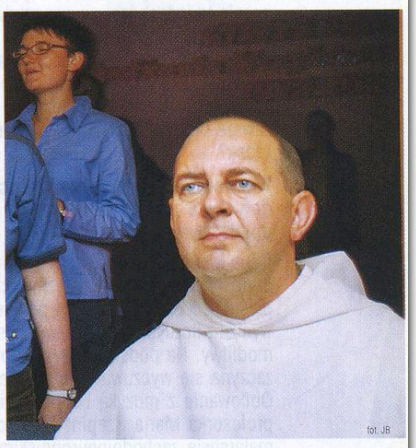

A jednak bardziej pociągnęła Cię praca z muzykami?

W pracy z ludźmi w Kościele, zwłaszcza młodymi, muzyka jest dziś językiem bardziej uniwersalnym niż obraz, malarstwo, grafika... Te ostatnie stały się, jak mi się zdaje, dziedziną uprawianą przez koneserów

dla koneserów. /Tu przepraszam za zbyt duże może uproszczenie./ Tymczasem muzyki w jej różnych odmianach słucha obecnie każdy. W oparciu o nią można nawiązać łatwiej wspólny język z drugim człowiekiem, może być też ona nośnikiem dla słowa, czyli konkretnego przekazu ewangelizacyjnego. Ja odkryłem to już dawno, kiedy pełniłem funkcje animatora muzycznego w grupie oazowej. Przez wiele lat, mimo że nie jestem muzykiem, byłem odpowiedzialny za śpiew w wielu grupach, wspólnotach. To się we mnie głęboko zakorzeniło. Śpiewanie z różnymi ludźmi w różnych sytuacjach dało mi doświadczenie, z którym „trudno zerwać"...

Czy jest jakaś specyfika prowadzenia śpiewu u Dominikanów?

Zdecydowanie. W naszym śpiewie zakonnym dominuje chorał gregoriański, duch średniowiecza. Nawet śpiewy renesansowe, barokowe czy „kanony z Taize" są w naszym repertuarze nim przeniknięte. Staramy się też kierować ludzi w „tę stronę". Nie zawsze da się to zrobić od razu. Młodzi z naszych duszpasterstw często kilka lat muszą dojrzewać do muzyki liturgicznej, bo przecież są wychowywani na muzyce świeckiej.

Dominikanie tworzą też specjalną atmosferę przyciągającą twórców.

Coraz częściej do duszpasterstw dominikańskich przychodzą zawodowi muzycy. To trwa już kilkanaście lat. Chcą coś robić w Kościele i współtworzyć liturgię. Po pewnym czasie często ludzie ci sami tworzą nowe pieśni, wnoszą różne pomysły. Ojcowie tylko koordynują i stymulują te działania. Wykształcił się też pewien styl liturgii dominikańskiej, który muzykom odpowiada i jest im bliski. Myślę, że jego istotą jest wspomniany szacunek dla muzyki Średniowiecza. Prawdziwi artyści czują, że jest w tym pewna wartość.

Wielu duszpasterzy narzeka, że w Kościele nie ma młodzieży, że trudno jest z młodymi pracować, że trudno jest zachęcić młodych do tworzenia chórów czy zespołu muzycznego. Tobie udało się znaleźć grunt pod działalność Deus Meus, która trwa już ponad osiem lat...

Szczecin jest miastem, w którym działa wiele chórów i zespołów, nie mają one jednak często żadnego związku z Kościołem. Ogólnie dominuje tam klimat obojętności religijnej i daleko posuniętej laicyzacji społeczeństwa. Tym bardziej cieszę się, że przy naszym od niedawna istniejącym w Szczecinie klasztorze coś się kilka lat temu wydarzyło i odtąd wciąż się „dzieje". Okazuje się, że w mieście mieszkają młodzi utalentowani ludzie, którzy czują autentyczną odpowiedzialność za żywotność Kościoła, trzeba tylko do nich dotrzeć i wyjść z propozycją. Praca z Deus Meus była bardzo konkretna. Spotykaliśmy się raz lub dwa razy w tygodniu, by ćwiczyć nowe pieśni i piosenki, nagrywaliśmy je w studio, jeździliśmy na koncerty. Zespół robi to nadal, chociaż ja już od dwóch lat jestem we Wrocławiu. Myślę, że dużym „napędem" dla grupy jest możliwość zaprezentowania się, wystąpienia na scenie itp. Któż z młodych czasem o tym nie marzy? Samo pojawienie się na scenie to jednak jeszcze nie sztuka. Dla mnie i dla grupy ważne jest, aby to co prezentujemy, było na bardzo solidnym, profesjonalnym poziomie. W naszych czasach ewangelizacja bardzo tego potrzebuje. Robienie czegoś dobrze czy bardzo dobrze - jest motywacją do bycia w zespole dla wielu ludzi, którzy go tworzą, śpiewać i grać przeciętnie zawsze przecież można, tylko pytanie - po co i czy nie szkoda na to czasu?

W środowiskach muzycznych toczy się obecnie ogromna dyskusja dotycząca muzyki liturgicznej. Jak pogodzić liturgię z szeroko pojętą muzyką współczesną?

Deus Meus czy inne grupy, z którymi pracuję, doskonale wiedzą, że czym innym są śpiewy charyzmatyczno-ewangelizacyjne, a czym innym pieśni na Mszy św. To trzeba podkreślić i rozgraniczyć. Ta świadomość wynika z licznych prób śpiewu, naszych rozmów w zespole i wspólnej modlitwy. Na podstawie pewnego „osłuchania" i kultury muzycznej zaczyna się wyczuwać, co nadaje się na liturgię, a co na koncert. Obcowanie z muzyką i z prawdziwą sztuką jest ważne. Moja była profesorka Maria Rzepińska, autorka wielu znakomitych książek o malarstwie zachodnioeuropejskim, zapytana kiedyś, w jaki sposób doszła do swej wiedzy o obrazach i do kompetencji w ocenianiu ich, odpowiedziała: przez całe życie oglądałam obrazy w muzeach i galeriach - porównywałam, kontemplowałam je i starałem się wyciągać wnioski. Tak samo jest z muzyką. Przez jej częste słuchanie w pewnym momencie od razu można stwierdzić, która jest lepsza, a która gorsza. Zaczyna się też rozróżniać style i gatunki. Jeśli chodzi o muzykę liturgiczną, nie ma konkretnych granic czy ustaleń, gdzie się ona zaczyna i gdzie kończy. Ale ludzie w naszym środowisku to wyczuwają i są na to wyczuleni, wiedzą, co można w liturgii wykorzystać. Pomocne są tu też śpiewniki typu: „Niepojęta Trójco", „Exsultate Deo" czy śpiewnik Siedleckiego.

Jak oceniasz czas istnienia Deus Meus? Czy można wyróżnić w nim jakieś znaczące etapy?

Był etap startu. Na początku staraliśmy się być przede wszystkim poprawni w śpiewaniu i traktowaliśmy śpiew bardzo poważnie, ucząc się podstaw emisji głosu, harmonii, obcowania z nutami. Drugi etap to czas głębszego odkrywania życia duchowego w sobie i sensu śpiewu dla Boga. Później przyszedł etap poznawania siebie nawzajem. Próby śpiewu zawsze są miejscem nawiązywania relacji. Wśród nas zrodziła się przyjaźń, zażyłość, wspólnota, w końcu - pojawiła się rodzinna atmosfera. Wszystkie te „etapy" po pewnym czasie nakładają się na siebie, a może inaczej: współistnieją obok siebie. Teraz spotykamy się nie tylko na próbach, choć na nich Jola Szczepaniak wciąż uczy emisji głosu i czystego śpiewu. Ciągłe szlifowanie formy muzycznej śpiewanych piosenek i pieśni, wspólna modlitwa i czas na „życie towarzyskie" w naturalny sposób się uzupełniają i są rozwijane.

fot. Paweł Majewski

Kim dla waszego zespołu jest Marcin Pospieszalski?

Marcin jest naszym fundamentem i niekwestionowanym autorytetem muzycznym. Jest także autorytetem duchowym. W tym, co robi, widzimy jego prawdziwe zaangażowanie religijne. Nie współpracowałby pewnie z nami, gdyby nie był mocno wierzącym człowiekiem, zaangażowany jest przecież w wiele projektów. Deus Meus docenienia go jako wspaniałego człowieka i muzyka. Marcin jest aranżerem mającym znakomite pomysły i zawsze świeże podejście do muzyki. Nigdy nie korzysta z jakichś utartych schematów, ciągle szuka tego, czego jeszcze nie było i co w piosence ciekawie zabrzmi. Każda partia gitar, smyczków czy basu jest u niego „specjalna" i wyszukana. Gdy wsłuchasz się w jego aranże, usłyszysz, że nie ma w nich nic ze schematu, z kalki. Marcin erudycyjnie operuje gatunkami muzycznymi, świetnie się w nich porusza. Wie, co wykorzystać w danym momencie i jak stylowo opracować piosenki. We wszystko, co robi, wprowadza klimat niezwykłości i - co bardzo ważne - świetnie wyczuwa czym jest duch religijny danej pieśni, a także - czym się on różni od ducha zwykłej produkcji świeckiej.

Mówimy o Marcinie, ale w zespole pojawia się wielu współpracowników z „pierwszej półki muzycznej". Jak ich pozyskałeś?

Muzycy, którzy grają z nami, czują, że robimy coś potrzebnego i niejednokrotnie spontanicznie sami się w to włączają. Chociażby Michał Kulenty, jeden z najlepszych polskich współczesnych saksofonistów jazzowych. Od początku jest z Deus Meus i służy swoim

talentem, bo podobnie jak nam bliska mu jest sprawa ewangelizacji „poganiejącego" świata. Michał, o ile go znam, nie potrafi stać z boku i patrzeć biernie na ludzi „odpływających" z Kościoła. Pomaga zresztą także innym zespołom grającym religijne piosenki (np. Saruelowi). Wspieranie nas przez Mietka Szcześniaka i Marcina Pospieszalskiego też było zawsze dobrowolne. Mietek odegrał bardzo dużą rolę w początkach zespołu. Po pierwsze, dał nam impuls, zachęcił, dzięki niemu ludzie uwierzyli, że nasze śpiewanie ma głębszy sens. Po drugie, poświęcił wiele czasu, by nas czegoś nauczyć, pracował nad naszą emisją głosu, artykulacją i interpretacją piosenek. Nie wspomnę już o tym, ile razy z nami wystąpił i zaśpiewał. Deus Meus bardzo to docenia. Ja zaprosiłem tylko Tomka Budzyńskiego, Roberta Friedricha i braci Golców, ostatnio - Roberta Amiriana, który na nowej płycie zaaranżował i zaśpiewał dwie ciekawe piosenki, w tym jedną swojego autorstwa. Od początku istnienia grupy czuję mocną opiekę nad nią i kierownictwo Ducha Świętego, bo po ludzku sądząc, wiele naszych akcji i pomysłów nigdy by się udało. Tu warto podkreślić, że wspomniani muzycy nigdy nie współpracowali z nami, kierując się względami komercyjnymi.

Nie sztuką jest powtarzać płytę, którą się już kiedyś zrobiło. Jak nowa płyta odnajduje się w tej konfrontacji robienia muzyki wciąż w nowy i niestandardowy sposób? Czy płyta „Jahwe" jest inna od wcześniejszych?

Ostatnią rzeczywiście ważną dla nas płytę, „Mój Jezus" nagrywaliśmy w 1996 roku. I już wtedy zarysował się mocno kierunek naszych poszukiwań - „czarne" brzmienia, muzyka gospel, funk, jazz brazylijski. Na nowej płycie wciąż są obecne te gatunki, choć trochę inaczej się dziś aranżuje. Marcin dołożył wszelkich starań, by płyta zabrzmiała nowocześnie, zarazem nie nowinkarsko. Mimo obecnych na niej nowych brzmień, jest tu duża porcja solidnej muzyki. Płyta „Jahwe" jest inna niż poprzednie nasze produkcje, choć duch piosenek Deus Meus jest na niej zachowany.

Zatem jakie są nowe brzmienia na krążku „Jahwe"?

Pojawiają się na nim choćby loopy, czyli powtarzające się sekwencje perkusji. W muzyce pop czy techno są one dziś powszechnie stosowane, ważne jest jednak JAK się je wykorzystuje. Na naszej płycie najczęściej wzbogacają, lub „dobarwiają" grę żywego perkusisty, czyli Sebastiana Urbana. Na „Jahwe" pojawiają się także różne ciekawe i mocno wyszukane brzmienia instrumentów klawiszowych. Jesteśmy wierni brzmieniom „fenderowym" i „hammondowym", dziś jest ich jednak o wiele więcej niż dziesięć lat temu i całą sztuką jest, które z nich wybrać, aby nadać piosence ciekawy i niepowtarzalny charakter. Warto odtwarzać płytę na dobrym sprzęcie, by odkryć wszystkie „smaczki" aranżacji. W piosenkach obecna jest też tradycyjna i niezastąpiona sekcja dęta i smyczkowa.

Pracujecie nad płytą ponad rok...

To wynika z kilku przyczyn. Po pierwsze, w nagraniach, podobnie jak na „Mój Jezus", brała udział wielka grupa muzyków mieszkających w różnych częściach Polski. Zebranie ich w studio jest problemem. Drugi powód - to czas Marcina Pospieszalskiego, który, jak powiedziałem, współpracuje z wieloma artystami i zawsze jest bardzo zajęty. Deus Meus, można powiedzieć, czeka cierpliwie na jego wolne chwile i wie, że warto. Może to zresztą dobrze, że płyta nie powstawała szybko i w pośpiechu, bo w trakcie dość rozciągniętej w czasie pracy nad nią pojawiały się nowe pomysły. Płytę nagrywaliśmy w ciągu całego minionego roku w wielu różnych studiach i miejscach, np. w Częstochowie, Warszawie, Szczecinie, Swobnicy, Wrocławiu, Bielsku-Białej.

Dlaczego wybraliście na tytuł płyty imię Boga Jahwe?

Piosenka „Jahwe" jest jedną z ważniejszych na płycie. Odwołanie się do Starego Testamentu bierze się stąd, że wciąż jest mało pieśni o Bogu Ojcu. Poza tym czas Starego Testamentu to początki naszej wiary. Chcemy przypomnieć doświadczenia, które przechodził lud wybrany, a które w nas wciąż są obecne, np. zmaganie się z własną niedoskonałością i grzesznością, czego symbolem jest wędrówka ludu przez pustynię. Na szczęście Pan Bóg zawsze wyprowadza nas z Egiptu.

Co zdecydowało, że wydawcą waszej płyty jest „MIX Studio Dźwięku" z Wrocławia?

Jest to bardzo operatywny i solidny wydawca muzyki tworzonej obecnie przez chrześcijan w Polsce, mający swój wyraźny program i prawdziwie artystyczne ambicje. „Mix Studio" promuje muzykę nie tylko religijną, ale i ambitną. Jego twórcy sami zaproponowali nam wydanie tej płyty, a także wznowienie poprzednich krążków. Bardzo się z tego cieszymy.

Jakie są główne motywy trwania w zespole i znoszenia trudu, jaki to z sobą czasem niesie?

Naszym głównym celem jest to, żeby dzielić się z innymi tym, że Chrystus jest dla nas najważniejszy. Nie potrafimy „trzymać tego pod korcem", chcemy to pokazać „na świeczniku". Dziś, aby nagrać płytę, wypromować ją czy zaprezentować na koncertach, trzeba pokonać bardzo wiele przeszkód i trudów. Znają je ci, którzy serio się tym zajmują... Myślę, że determinacja, z jaką powstawał nasz nowy materiał, dla wielu osób, które tworzą zespół, świadczy o tym, jak bardzo zależy nam na głoszeniu Chrystusa. Mimo różnych trudności towarzyszących naszemu działaniu, czujemy, że ten świat trzeba próbować zbliżać do Chrystusa, a robiąc to, samemu zbliżać się do Niego. Każdą płytę czy koncert traktujemy jako ewangelizację nas samych, nam również jest ona potrzebna. Gdyby tego nie było, nasze wychodzenie na scenę nie miałoby sensu. Pieśni, które gramy, traktujemy jako osobistą modlitwę. Ich wspólne publiczne wykonywanie jest świadectwem dawanym sobie przez nas samych. Grupa liczy z muzykami ponad trzydzieści osób. Każdy koncert jest czasem głębokiej refleksji nad życiem dla każdego członka zespołu.

Marcin Jakimowicz pisał kiedyś, że Deus Meus ochrzcił muzykę świecką. Co z tego chrztu wynikło?

Nie chrzciliśmy sami. Wszystko zaczęło się od New Life Music. Muzyka, jak określają ją dziennikarze - chrześcijańska, to próba docierania do młodego człowieka z przesłaniem Ewangelii przy pomocy języka, jakim młodzież dziś się posługuje. Do człowieka żyjącego w świecie mediów trzeba mówić językiem mediów. W niektórych środowiskach w Kościele trwa dyskusja na temat: czy fala wspomnianej muzyki nie jest infantylizacją naszej wiary, zniżeniem się do mentalności odbiorcy kultury masowej. Może powinno się wciąż mówić językiem

trudnym, hermetycznym, który wymaga od słuchacza szczególnego skupienia i wysiłku? Z doświadczenia wiemy, że gdybyśmy w ewangelizacji ograniczyli się tylko do promocji chorału gregoriańskiego, wielu ludzi do Kościoła w ogóle nie trafiłoby. Muzyka liturgiczna jest piękna, ale skierowana raczej do ludzi już zewangelizowanych. Nie należy też traktować wszelkich zjawisk w kulturze masowej, w tym pewnych gatunków muzycznych, które wykształciły się w ostatnich latach jako z góry złe. Można je umiejętnie wykorzystać. A obiektywną prawdą jest, że pewnych ludzi w Kościele nie ma i trzeba ich szukać. Pan Jezus nie bał się wychodzenia poza świątynię, głoszenia „na rogach ulic i na dachach domów".

2/ z Marcinem Pospieszalskim

Deus Meus działa 8 lat. Czym jest ten zespół dla sceny chrześcijańskiej w Polsce?

Deus był pierwszym zespołem, który przełamał magiczną barierę zaścianka chrześcijańskiego muzykowania...

Pierwszy był przecież New Life Music. No tak, tylko że był tworzony przez profesjonalistów...

W przypadku New Life'u - profesjonaliści świadomie wybrali granie dla Pana Boga. A Deus Meus był przykościelnym, amatorskim chórem organizowanym przez o. Andrzeja. A jednak przebił się przez magiczną barierę lokalnych produkcji kościelnych. Entuzjazm spowodował, że zespół zaistniał w zbiorowej świadomości w Polsce poprzez piosenki, które ukazały się na płycie „Hej Jezu". Początki to Spotkanie w Ludźmierzu, gdzie wychodziliśmy od różnych czterogłosowych śpiewów do entuzjastycznej modlitwy uwielbienia. Było to niesamowite i bardzo nowe. Później na sposób amatorski zarejestrowaliśmy trochę materiału. Edzio Sosulski z Warszawy przywiózł wieloślad. I na ośmiu ścieżkach powstały pierwsze traki. Zderzenie muzyki czterogłosowej z nowoczesnymi brzmieniami, pochodzącymi ze Stanów, spowodowało sukces „Hej Jezu". W tym wszystkim był Boży palec. Na jednej płycie było zderzenie śpiewów liturgicznych z muzyką rytmiczną. To było nowe.

Kim dla sceny muzyki chrześcijańskiej w Polsce jest o. Andrzej Bujnowski?

Pan Bóg wybiera sobie ludzi i na pewno wybrał i ukształtował o. Andrzeja do dzieła, jakim jest scena muzyki chrześcijańskiej. Gdyby nie Jego obecność, mnóstwo rzeczy nie ujrzałoby światła dziennego. Andrzej jest zaangażowany w to środowisko od pierwszych rekolekcji dla muzyków w Dursztynie. Ale już wcześniej miał mnóstwo kontaktów ze środowiskami artystycznymi. Sam jest przecież z wykształcenia plastykiem. Ma ogromną wiedzę muzyczną i liturgiczną. Mnóstwo rzeczy w jednym. Jest pełen inicjatyw. Cały czas ma nowe pomysły. Stan sceny muzycznej w naszym kraju bezpośrednio albo pośrednio jest z nim związany.

Od strony muzycznej jesteś główną siłą Deus Meus, co się zmienia w muzyce tej formacji?

Współproducentem płyt jest o. Andrzej. Wiele pomysłów miało swoich autorów. Ja miałem wpływ na ostateczny kształt wielu rzeczy, ale wielu innych pracowało przy kolejnych płytach. Mietek często pilnował wokali i wspaniale inspirował aranżacje, za stronę wokalną długo był odpowiedzialny Hubert Kowalski, a teraz Jola Szczepaniak. Wiele osób wymyślało chórki i zaśpiewy. Muzyka wciąż się zmienia. Kiedy Deus Meus robił płytę „Hej Jezu", muzyka była zupełnie inna. Teraz swoje robi profesjonalizm wielu muzyków. Jednak dla wielu osób właśnie pierwsza płyta była czymś świeżym, nowym i potrzebnym. Ta płyta przede wszystkim nie znudziła się. Jej piosenki wciąż są śpiewane przez wspólnoty, na pielgrzymkach, wielbi się nimi Boga. Często nawet ludzie nie wiedzą, że to ktoś kiedyś nagrał.

Mamy nową płytę. Wiem, że muzycy wolą robić muzykę niż o niej opowiadać, ale powiedz, co cię urzeka w tej muzyce?

Urzekły mnie pierwsze próbne nagrania Deus Meus z kościoła, gdzie połączone były wielogłosowe śpiewy chóralne z solówkami Mietka. Łączenie stylistyki popowej z czterogłosami było czymś nowym. Przypomniało mi się zdanie z Pisma, że mądry uczony wybiera rzeczy stare i nowe. W tradycji muzyki Kościoła jest wiele rzeczy, które mogą być w nowy sposób odczytane. W muzyce Deus Meus ważny jest duch, który płynie z tej muzyki. Każda z tych piosenek ma swoją duchową treść, teksty są biblijne albo inspirowane Biblią. Zespół nagrywając czy śpiewając te piosenki modli się nimi. Dalszą sprawą jest profesjonalizm. Nie chodzi o to, żeby się ścigać, ale żeby się modlić śpiewając te piosenki. Ta muzyka może służyć ewangelizacji i to jest podstawowe kryterium, którym kierowaliśmy się przy wybieraniu utworów.

Od strony muzycznej płyta jest zupełnie inna niż te z lat osiemdziesiątych, czy dziewięćdziesiątych...

To widać nawet od strony technologicznej. Poprzednie płyty były nagrywane na magnetofony. Dziś magnetofonem jest komputer. Po prostu - inaczej pracuje się nad muzyką. Pracowaliśmy nad nią w kilku miejscach - chór nagrywał w jednym miejscu, sekcja w innym, dęciaki w Bielsku, basy nagrywałem w Częstochowie.

Mastering robiliście w Hamburgu...

Z masteringiem jest tak samo jak z lakierowaniem karoserii samochodu. Szukasz najlepszego warsztatu, żeby zrobić to najbardziej profesjonalnie. To jest ważne dla słuchacza, a Niemcy są najbardziej solidni.

Płyta powstawała ponad rok...

Nie bardzo wiedzieliśmy jak ta płyta do końca ma wyglądać i dlatego szukaliśmy nowych kolorów. Niektóre piosenki pojawiły się dopiero na sam koniec pracy nad płytą. Poszukiwaliśmy najlepszego wyrazu dla tych piosenek i to siłą rzeczy trwało. Jak ktoś ma świetne pomysły i od razu potrafi te pomysły zrealizować, to chwała Bogu!

Płyta, o której mówimy, jest pełna rozmaitych klimatów. Doskonale odnajdujesz się w wielości różnorodnych stylistyk dźwiękowych.

Są muzycy, o których można powiedzieć, że są muzykami jazzowymi albo rockowymi. Ale większość muzyków, których się jakoś określa, inspirowanych jest różnymi kierunkami. Taki jest dziś świat. Nie można sobie założyć klapek na oczy i grać tylko jednego gatunku muzyki. Muzyka jest przecież tak różnorodna...

W utworze „Nad rzekami Babilonu" pojawiają się piękne, orientalne, arabskie smyczki...

Jeden z utworów skomponował Robert Friedrich Litza. Dwie piosenki są aranżowane przez Roberta Amiriana. Autorką piosenki tytułowej „Jahwe" jest moja żonaLidka . Na płycie jest bardzo dużo najróżniejszych kolorów. Śpiewają wspaniale: Mietek Szcześniak, Jola Szczepaniak, Lidka, Robert Amirian i Piotrek Płecha.

Dlaczego płyta zatytułowana jest „Jahwe"?

To jest niesamowity zaszczyt nazwać płytę imieniem Boga. To jest bardzo odważny tytuł i bardzo poważne wyzwanie. Jeśli bierzemy taki tytuł, to musimy nieustannie dorastać do tego wyzwania. Ta płyta ma jedno zadanie - oddać chwałę Bogu!

Babilon znajdował się chyba na obecnym terytorium Iraku. Pasowały mi te arabskie riffy do rodzaju muzyki skomponowanej przez Lidkę (moją żonę).

Jak pogodzić muzykę liturgiczną z „bitem", z muzyką rockową, z hip-hopem, z klimatami latynoamerykańskimi?

Wielu ludzi miesza muzykę towarzyszącą liturgii z muzyką graną na koncertach ewangelizacyjnych. Tu jest podstawowe nieporozumienie. Nie wyobrażam sobie np. wesołych piosenek podczas liturgii paschalnej. Ma przecież ona swój przebieg. Kanon śpiewów jest zakorzeniony w dwutysiącletniej tradycji Kościoła. Często niektórzy mieszają pojęcia i robią bałagan w muzyce. Z drugiej strony, inni chcieliby zrobić z Kościoła skansen. Ci drudzy uważają, że na każdej liturgii jest miejsce tylko dla jednogłosowego chorału. Generalnie w Kościele XXI wieku jest miejsce na wspaniałą muzykę liturgiczną, na cały dorobek Kościoła, ale jest też miejsce na radosną muzykę uwielbieniową i ewangelizacyjną. Każda z tych dziedzin muzyki ma w Kościele do spełnienia swoje zadania. Jedna towarzyszy liturgii, inna wychwala Pana Boga, a jeszcze inna wzywa do nawrócenia. Deus Meus pokazuje, że jest możliwy przepiękny śpiew liturgiczny i głoszenie chwały Pana Boga metodami nowszymi. W muzyce liturgicznej trzeba wybierać rzeczy dobre. Powinny to być śpiewy najlepsze pod względem treściowym, teologicznym i muzycznym. Sam byłem świadkiem jak na Mszy św. zespoliki występowały z mechanicznym podkładem z keyboarda - to była straszna profanacja ołtarza i świątyni Pana. Nawet gdy na liturgii wprowadzamy elementy radosnego śpiewu z gitarą czy większym składem towarzyszącym, powinniśmy czynić to z wyczuciem. Możemy wprowadzać tylko najlepsze opracowania. W Kościele śpiewają wszyscy i Msza św. nie może być popisem zespoliku czy organisty, który ma swój repertuar i gra piosenki, których nie rozumieją wierni. Poza tym doskonalmy się muzycznie, aby służyć Bogu jak najlepiej.

Deus Meus nie nudzi...

Myślę, że tak. Chyba dlatego, że na płytach jest ciągła zmiana napięcia i klimatu muzycznego.

Opowiedz o muzycznych smaczkach, które na płycie tworzą zaproszeni muzycy.

Na płycie pojawia się Ormianin grający na duduku. Duduk to jest instrument, który w muzyce popowej pojawiał się m.in. u Petera Gabriela. W Polsce jeszcze chyba nikt z dudukiem nie nagrywał. Duduk jest instrumentem ludowym i gra się na nim w określonym stroju, dlatego w pewnych miejscach musieliśmy przestrajać podkład. Oczywiście na płycie usłyszymy też meksykańskiego perkusistę Tomasa Sancheza. W utworze „Śpiewajmy Alleluja" Tomas daje popis swoich umiejętności. Na instrumentach dętych grają bracia Golcowie. Grają wysoko i mocno - tak jak nikt w Polsce. Na płycie pojawia się też Joszko Broda z fujarą sałaśnikową. Dominik, Martynka i Mikołaj z Arki uczestniczyli w nagraniach afrykańskiego „Śpiewajmy Alleluja".

3/ z Jolą Szczepaniak

fot. Andrzej Dziewit

Kim dla was jest o. Bujnowski? Co zmieniło sie w Deus Meus po przeniesieniu go ze Szczecina do Wrocławia? Jak sobie poradziliście z nową sytuacją?

W momencie kiedy o. Andrzej został przeniesiony do Wrocławia, czyli dwa lata temu, Deus Meus nie był już raczkującym dzieckiem, lecz trzymającym się nieźle na nogach sześcioletnim zespołem. Ale była to dla nas bardzo trudna sytuacja. Trzeba powiedzieć, że ojciec zawsze był i jest duchową podporą naszej rodziny„deusowej", naszym przyjacielem, i nie mogliśmy wyobrazić sobie sytuacji bez niego. Ojciec już wcześniej przygotowywał nas na te zmiany, na to rozstanie ze Szczecinem i z nami. I nawet poważnie myśleliśmy o próbach we Wrocławiu lub gdzieś pośrodku trasy Szczecin-Wrocław, ale nie było nas na to stać. Całe szczęście, że przenieśli go tylko do Wrocławia, a nie np. do Australii, bo pomimo Internetu kontakt byłby bardzo utrudniony. Świadomość, że nasz opiekun duchowy i leader muzyczny może nas opuścić, utwierdzała nas w przekonaniu, że bez gorliwej modlitwy i większego zaangażowania nas wszystkich w działania i próby zespołu, wszystko może się zawalić. I czujemy, że istniejemy do dzisiaj tylko

dzięki Bogu, dzięki prowadzeniu przez Ducha Świętego. Na początku istnienia zespołu wszystko było na barkach ojca i to musiało się zmienić. Podzieliliśmy więc między sobą obowiązki. Pierwszym menegerem został Arek Bis, a aktualnie jest nim Michał Starkiewicz, nasz gitarzysta. Ojciec Janusz Chwast, dominikanin, został naszym opiekunem w Szczecinie, ale niestety jego obowiązki nie pozwalają mu na wyjazdy z zespołem. Rolę kierownika muzycznego pełnimy na spółkę z Michałem. Dbamy o demokrację w zespole, ale w sprawach wokalnych, czy to na próbach, czy na koncertach - musi być leader, którym (oczywiście demokratycznie) zostałam ja. Strasznie ubolewamy nad tym, że obowiązki ojca Andrzeja nie pozwalają mu na częstsze spotkania i koncerty z nami. Ostatnio spotykaliśmy się tylko na sesjach nagraniowych, ale duchowo jesteśmy razem. Jeśli chodzi o nasze „produkcje muzyczne", czyli nagrania płytowe, bezgranicznie ufamy naszemu przyjacielowi i producentowi Marcinowi Pospieszalskiemu.

Kierujesz zespołem - na co stawiasz w czasie prób? Z czym masz największe trudności?

W naszym zespole panuje luźna, rodzinna atmosfera, dlatego trudno czasami o dyscyplinę. Próby odbywają się zazwyczaj raz w tygodniu, nieraz częściej, i wyglądają różnie. Staramy się jednak, aby każde spotkanie odbywało się w duchu modlitewnym. Każde nasze działanie oddajemy Panu Bogu, dlatego najważniejszą częścią spotkania jest modlitwa, która trwa blisko pół godziny. O ile czas pozwoli, przeprowadzam solidne rozśpiewanie pod kątem problemów emisyjnych w utworach. Cały czas pracujemy nad jakością brzmienia, intonacją, dykcją, poszerzeniem skali głosu i odpowiednią ekspresją, aby oddać treść piosenek, bo w końcu to jest najważniejsze. Trzeba jednak podkreślić, że śpiewamy bardzo różnorodny stylistycznie repertuar (stwarzający nam niemało trudności). Pieśni postne, które wykonujemy a'capella, bez nagłośnienia, wymagają odmiennej pracy pod względem emisji głosu i ekspresji niż pieśni chwały. Musimy być elastyczni głosowo. Niestety z różnych względów często jest za mało czasu na dłuższą pracę nad emisją. Jednym z powodów jest późna pora, mnogość zajęć (większość z nas już pracuje, a niektórzy mają nawet swoje rodziny i dzieci), a za tym idzie zmęczenie. Ale wyrozumiałość to cecha, nad którą pracujemy od wielu już lat. Najchętniej i najbardziej sumiennie zespół pracuje przed nagraniami. Następuje pełna mobilizacja, co pozwala mi dopieścić niemal każdą nutę.

Jesteś od święta i na co dzień główną solistką Deus Meus. O czym powinien pamiętać wokalista śpiewający z chórem i zespołem?

Trudno jednoznacznie powiedzieć, ponieważ różne są sytuacje i różne są możliwości czy też funkcje wokalisty. Wiele zależy od charyzmy i osobowości solisty. Ale na pewno warto kształtować pokorę muzyczną i rozwijać umiejętność słuchania. Poza tym bardzo ważny jest kontakt z publicznością. Na pewno każdy szuka własnej drogi. Jeżeli chodzi o mnie, zawsze przygotowuję się duchowo do koncertów, wyciszam się w modlitwie, by później dać z siebie wszystko. Najważniejsza jest jedność z Bogiem i z zespołem, aby On mógł działać przeze mnie.

Wiem, że jesteście rodziną. Jak się to przekłada na konkret Waszej codzienności?

Nie jesteśmy idealną rodziną, mamy wiele wad i ułomności, ale nie ma w nas obojętności. Myślę, że ojciec Andrzej jest jak gdyby naszym „zespołowym tatą". A w niebie mamy wspólnego Ojca, Pana Boga, który troszczy się o nas i uczy nas codziennie (szczególnie na próbach) pokory, miłości, wyrozumiałości i wybaczania. Nasze spotkania odbywają się nie tylko w ścisłym gronie zespołu, spotykamy się całymi rodzinami. Staramy się pamiętać o sobie nawzajem i sobie pomagać. Świętujemy razem Boże Narodzenie, jest wspólna wigilia, sylwester, imieniny, urodziny, wesela itp. Jesteśmy razem już ok. 8 lat (skład częściowo zmieniony) i przez ten czas wiele razem przeżyliśmy i wiele się nauczyliśmy. I staramy się nadal być razem i żyć dla Chrystusa.

Co byś chciała dodać o trwaniu w Deus Meus?

Deus Meus nie powstał z inicjatywy samych ludzi, ale Ducha Świętego, i Jego działanie w tym zespole cały czas jest odczuwalne. On nas rzeczywiście przemienia. I przemienia też ludzi, do których docieramy z naszą muzyką. Bardzo się cieszę, że udało nam się nagrać nową piękną płytę, przepełnioną duchem modlitwy. Było to dla nas niesamowite doświadczenie. Tym bardziej wyjątkowe, że w zespole były wtedy trzy kobiety „przy nadziei" (między innymi ja). Tak więc nasze nienarodzone jeszcze dzieci„deusowe" śpiewają z nami na tej płycie. Mam nadzieję, że również te piosenki trafią do wielu serc, przynosząc pocieszenie, Boży Pokój i Radość.

4/ z Michałem Starkiewiczem

Jesteś menagerem Deus Meus. W jaki sposób będziecie promować swoją nową płytę?

Już na ostatnim krążku RUaH ukazała się piosenka„Jahwe". Zapowiada ona nową płytę i pilotuje ją. Na mnie ten utwór, jak i cała płyta, ma bardzo duży wpływ. Przede wszystkim są tam bardzo mocne teksty, które prostują mi wiele spraw. Są też oczywiście pieśni uwielbienia, ale generalnie, w moim odczuciu, płyta jest głębsza i dojrzalsza niż poprzednie. Jedna piosenka nosi tytuł „Do Mnie wróć" i jest konkretnym wołaniem, wezwaniem do nawrócenia. Taki zresztą pierwotnie miał być tytuł płyty. Jeśli chodzi o promocję, chcemy grać koncerty, spotykać się z ludźmi i w ten sposób przedstawiać najnowsze piosenki. To jest najważnieszy punkt promocji, być może jakaś trasa

koncertowa, zobaczymy. Mam nadzieję, że będzie można usłyszeć te piosenki w radiu. Naszym marzeniem jest, aby pojawił się teledysk. Jeśli znajdą się jakieś fundusze, może powstanie, ale czy ktoś będzie to chciał emitować?

Czy opłaca się wam śpiewać o Bogu? (To pytanie jest trochę przekorne, ale nie tendencyjne.)

Śpiewamy o Bogu i dla Boga, modlimy się śpiewem. Taki Dar od Niego otrzymaliśmy, a tego nie rozpatruje się w takich kategoriach jak „opłaca się" czy „nie opłaca". Poza tym dzielimy się tym Darem z innymi. Nasze koncerty to nie tylko muzyka czy śpiew, ale, podkreślam, to przede wszystkim modlitwa. Myślę, że można powiedzieć, że są to koncerty ewangelizacyjne, tak bym to nazwał.

Wiem, że jesteście rodziną. Jak się to przekłada na konkret Waszej codzienności?

No, chociażby wspólna wigilia. Trudność polega trochę na tym, że muzycy zespołu mieszkają dość daleko. My Szczecin, a oni Bielsko i Biała Podlaska czy Warszawa... Ale czuje się coś magicznego, gdy się spotykamy raz po raz na koncertach, czy zjeżdżamy na kilka dni na próby. Jak każda rodzina, mamy ojca, którym jest tutaj o. Andrzej Bujnowski, co prawda teraz daleko, bo we Wrocławiu, ale ten kontakt i więź ciągle jest i trwa. Pojawiają się kolejne dzieci członków zespołu, więc mamy małe deusiątka. Wszystko jest. Jak w rodzinie.

Co byś chciał dodać o trwaniu w Deus Meus?

Często po koncercie docierają do nas listy, głosy, świadectwa osób, które były na koncercie i przeżyły przemianę swojego serca. To jest nasza misja i nasz cel. Myślę, że nikt z nas nie trwa w tym zespole, a niektórzy są w nim od samego początku, by realizować jakieś swoje własne cele, myśleć o karierze czy tego typu rzeczach. Każdy wie, po co jest i dlaczego.

List do Redakcji

HIP HOP a NOWA EWANGELIZACJA

Nowa Ewangelizacja jest skierowana przede wszystkim do środowisk, które nie mają wiele wspólnego z Panem Bogiem, a przynajmniej jeszcze sobie tego nie uświadamiają. Jeśli można ewangelizować przez ciężki rock, to tym bardziej nadaje się do tego hip-hop. Na misjach obowiązywała zawsze zasada mówienia w języku tubylców. Dzisiaj mamy do czynienia nie tylko z językami narodowymi, ale i środowiskowymi. Zadaniem chrześcijan we współczesnym świecie jest docieranie do tych środowisk. Jest niezaprzeczalnym faktem, że w Polsce istnieją grupy młodzieży, żyjące na co dzień w tzw. blokowiskach, które dopracowały się swoistej subkultury, nie zawsze akceptowanej przez tzw.„ugrzecznione" społeczeństwo. Warunki życia, jak i protest wobec zastanego świata oraz chęć wyrażania swojej wolności przyczyniły się do powstania ich swoistej filozofii życiowej. Na kulturę hip-hop składają się różne sposoby wyrażania siebie: muzyka

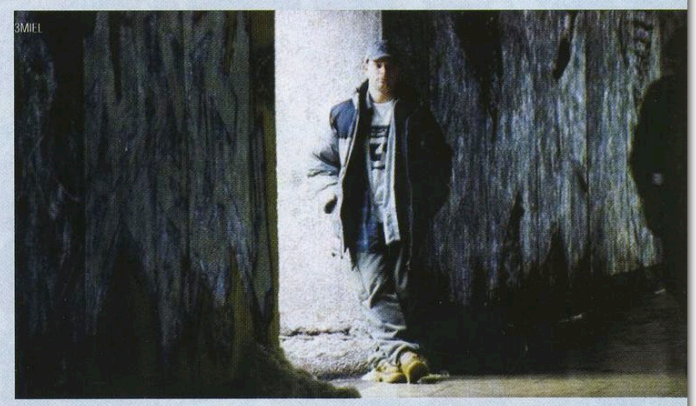

hip-hop /wrażenia akustyczne/, graffiti i breakdance /wrażenia wizualne. To środowisko posługuje się również swoim własnym językiem. Nie ma tam miejsca na przysłowiowe „owijanie w bawełnę". Mówi się prosto i często dosadnie. Taka jest właśnie kultura hip-hop. Słowa, ruchy, obraz i dźwięki po prostu opowiadają o życiu takim, jakim ono jest w rzeczywistości. Jest to jednak najczęściej opowiadanie o życiu - tylko w kategoriach doczesnych. 3MIEL podjął bardzo ryzykowną próbę opowiadania o życiu nie tylko w kategoriach ziemskich, ale z uwzględnieniem Boga, który jest źródłem naszej wolności. Dla środowiska muzyki hip-hop jest to z całą pewnością szok, który może jednak okazać się szokiem pozytywnym. Najbardziej podoba mi się u 3MIELa jego bardzo konkretny hip-hopowy przekaz. Z całą pewnością ma on świadomość do kogo mówi. Wie, że hip-hopowcy to ludzie nie zamknięci na wartości transcendentne. Koncert 3MIELa na Festiwalu Muzyki Pozytywnej „B-Arka" poruszył umysły i serca wielu młodych ludzi, nie tylko z tzw.„środowiska". Najlepiej świadczą o tym długie rozmowy po koncercie. Dodam jeszcze, że jego scenografia była przygotowana przez grupę wągrowieckich graficiarzy, którzy artystycznie wyrazili swoje inspiracje religijne. Wynika z tego, że tak można, a nawet trzeba podchodzić do Nowej Ewangelizacji.
Festiwal „B-Arka" życzy 3MIELowi dalszych sukcesów w dziele ewangelizacji przez muzykę. Dzisiaj najważniejsza jest autentyczność, a taki jest właśnie 3MIEL.

Ks. Arkadiusz Rosiński *Festiwal Muzyki Pozytywnej „B-Arka 2002"*

Teresa Maria Reklewska

MISTERIUM ŚWIATŁA

WROCŁAWSKIE WITRAŻE TERESY MARII REKLEWSKIEJ

„Artysta powinien stawać się coraz doskonalszym narzędziem w rękach Boga, w którym jest jedyne •ródło twórczości" - tak o swojej postawie wobec sztuki mówi jedna z najwybitniejszych polskich artystek zajmujących się witrażem - Teresa Maria Reklewska. Urodzona w 1931 roku w Mirogonowicach w Górach Świętokrzyskich, studiowała tkaninę artystyczną na warszawskiej ASP. Studia ukończyła w 1956 roku, a następnie uczyła się witrażu w paryskim Atelier d`Art Sacre, pod kierunkiem Eleonory Plutyńskiej i Jaquesa le Chevallier. W 1961 roku wykonała dwa witraże do kościoła Św. Marcina w Warszawie, a w latach 1964-1966 powstał monumentalny, składający się z 10 kompozycji zespół witraży do gotyckiego kościoła NMP na Piasku we Wrocławiu. Wobec braku odpowiedniej pracowni w kraju, prace zrealizowane zostały w atelier Anne i Guy le Chevallier w Paryżu. W 1976 roku za witraże wrocławskie artystka otrzymała nagrodę im. Brata Alberta. Od 1979 roku T. Reklewska kieruje warszawską pracownią witrażu, w ramach której powstały m.in. witraże dla kościołów Św. Małgorzaty w Nowym Sączu (1976-1981), M.B. Częstochowskiej w Kątach Korytnickich (1979-1981), Św. Wojciecha OO. Dominikanów we Wrocławiu (1981-1983), M.B. Królowej Polski w Aninie (1983-1984), Św. Andrzeja Boboli w Warszawie (1984) oraz do jednego z najstarszych kościołów w Japonii - pod wezwaniem Św. Franciszka Ksawerego w Tokio (1992-1996).

ilustracja 1

Witraż jest techniką malarską, która powstała we wczesnym średniowieczu (X-XI w.), a swoje apogeum przeżywała w okresie gotyku (XII-XV w.), przede wszystkim we Francji, gdzie do dziś w słynnej katedrze w Chartres znajduje się największy i najdoskonalszy artystycznie zespół średniowiecznych witraży w Europie. W epoce renesansu, a zwłaszcza baroku technika ta uległa prawie zapomnieniu, aby ponownie odrodzić się w XIX wieku, na fali romantycznego zainteresowania kulturą i sztuka średniowiecza. Można powiedzieć, że ów renesans witrażownictwa trwa do dnia dzisiejszego, jednak sposób obrazowania zmienił się diametralnie, zgodnie z nowymi kierunkami w sztuce współczesnej. Pozostała jednak niezmieniona skomplikowana technologia powstawania „szklanych obrazów", zgodna ze średniowiecznymi przepisami, które znane nam są z tzw. *Traktatu Mnicha Teofila (Schedula diversarum artium)* z początku XII wieku.

Z uwagi na bogaty dorobek twórczy artystki, skupmy się na dziełach, jakie wykonała dla wrocławskich kościołów NMP na Piasku i Św. Wojciecha.

Witraże w największej gotyckiej świątyni Wrocławia - kościele NMP na Piasku, skupione są w części prezbiterialnej, w wielobocznych absydach zamykających trzy równej wysokości nawy. Wypełniają one smukłe i wysokie okna, zamknięte bogatą dekoracją maswerkową. Przedstawiają ekspresyjne motywy o charakterze abstrakcyjnym, spośród których wyłaniają się sceny figuralne. Trzy wielkie kompozycje w części środkowej utrzymane są w intensywnych odcieniach nasyconych czerwieni, które współgrają z ceglaną fakturą filarów i kontrastują z bielą ścian, oraz żółcieni i brązów. Przedstawiają wybrane sceny ze Starego i Nowego Testamentu, m.in. Drzewo wiadomości dobrego i złego, Grzech Pierworodny i Ofiarowanie Izaaka i modlącego się Abrahama (okno północne), Różę Mistyczną, Zwiastowanie i Boże Narodzenie (okno południowe) oraz Drzewo Życia, Ostatnią Wieczerzę i Ukrzyżowanie (okno środkowe). W nawach bocznych znajdują się abstrakcyjne kompozycje przedstawiające Cztery Żywioły, utrzymane w kolorystyce niebiesko-granatowej i żółto-zielonej. Plamy koloru, ujęte w linie ołowianych konturów, przybierają płomieniste formy piętrzące się ku wysokim sklepieniom, podkreślając tym samym wertykalizm wnętrza i nastrój uduchowienia charakterystyczny dla gotyckiej architektury.

W przylegającej od północy do korpusu nawowego późnogotyckiej kaplicy Św. Antoniego znajduje się cykl poświęcony Św. Maksymilianowi Kolbe, którego głównym przesłaniem, w myśl słów autorki, jest „stałość świętości wobec nieustającej przemiany świata". Witraże te utrzymane są w jasnych błękitach, z mocnymi akcentami czerwieni.

Witraże w kościele OO. Dominikanów składają się z dwóch części: pierwszą stanowią dwie wielkie kompozycje w ramionach transeptu, drugą trzy witraże zdobiące późnobarokową kaplicę Bł. Czesława. W południowym ramieniu transeptu, w wysokim gotyckim oknie umieszczony jest witraż nawiązujący swą tematyką do Księgi Objawienia Św. Jana, przedstawiający Chrystusa w chwale i Czterech Jeźdźców Apokalipsy (il.2). Po przeciwległej stronie, nad ołtarzem MB z Podkamienia, znajduje się Niewiasta obleczona w księżyc i aniołowie (il.1). Obie kompozycje charakteryzują się, podobnie jak u NMP na Piasku, brakiem przestrzenności oraz intensywnymi kolorami, wśród których przeważa czerwień, granat i zieleń. Postacie są uproszczone i płaskie, wpisane w dynamiczne, wyznaczone konturem plamy intensywnego koloru, które nadają całości silnej ekspresji i dobrze współgrają z

ilustracja 2

gotycką architekturą. W dolnym lewym rogu okna południowego znajduje się mała sygnatura, w której obok autorki wymienieni są jej współpracownicy, między innymi Jerzy Owsiak, który w latach 1978-1983 był jej uczniem. Zupełnie inny charakter mają witraże w kaplicy Bł. Czesława umieszczone w oknach podkopułowych. Utrzymane w ciepłej czerwonej i bursztynowej kolorystyce, przedstawiają motywy ornamentalno-kwiatowe, komponujące się z bogatym barokowym wyposażeniem wnętrza.

Sztuka Teresy Reklewskiej jest głęboko osadzona w średniowiecznej tradycji witrażu, w której pełnił on bardzo istotną rolę, będąc nie tylko ilustracją scen bibilijnych, ale również, poprzez operowanie światłem, symbolem Boga, który jest „Światłością Świata" (J 8,12). Jak pisze o twórczości artystki o. Placyd Galiński benedyktyn z Tyńca, jej witraże „współtworzą i to w wielkiej mierze przestrzeń spotkania Boga z Jego ludem i z poszczególnym człowiekiem". Na pierwszy rzut oka kompozycje artystki nie są ani w treści, ani w formie łatwe do odczytania, a tym bardziej trywialne, jak wiele „dzieł" współczesnej sztuki religijnej szpecących nasze kościoły. Wymagają pewnego wysiłku i skupienia, które pozwoli na ich pełne zrozumienie.

Na wzór średniowiecznych warsztatów artystka stworzyła swój kilkuosobowy zespół, który cechuje się znakomitym opanowaniem rzemiosła i znajomością obszernej ikonografii chrześcijańskiej. Dzięki temu jej dzieła są nie tylko estetycznym uzupełnieniem świątyni, ale również istotnym elementem tworzącym modlitewny nastrój i prowadzącym do „jedynego •ródła [wszelkiej] twórczości".

tekst i zdjęcia: ***Dariusz Galewski***

** W tekście wykorzystano informacje zawarte w katalogu wystawy Teresa Maria Reklewska - witraże, która odbyła się w 1989 roku w Muzeum Architektury we Wrocławiu oraz przekazane bezpośrednio przez Panią T. M. Reklewską podczas rozmowy z autorem, za co serdecznie dziękuję. DG*

Nawa boczna kościoła NMP na Piasku we Wrocławiu

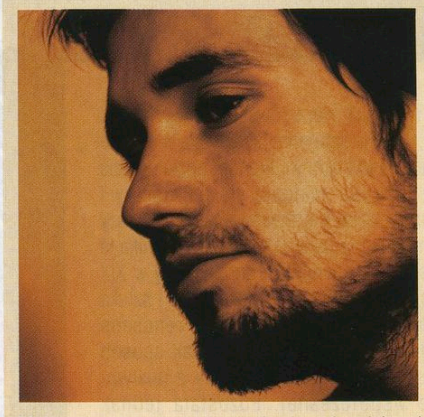

MARCIN POLAK

(3Siostry)

muzyka której słucham

Moja przygoda z muzyką zaczęła się, gdy miałem jakieś 5 lat. Wtedy w domu był tylko telewizor, więc stałem się gorącym zwolennikiem „Telewizyjnej Listy Przebojów". Pod ząb poszły takie zespoły jak: 2+1, Budka Suflera, Kombi oraz Irena Jarocka, Zbigniew Wodecki. W połowie lat 80. wpadł mi w ręce koncertowy album Ironów - „Live After Death"....Tak! To było to, co tygryski lubią najbardziej. Mocne gitary i perka, i czad, i do przodu. To była jazda w sam raz dla mnie. Jako świeżo upieczone szczenię hard & heavy metalu nie zastanawiałem się co oni tam sobie śpiewają. Później poszło gładko: Saxon, Running Wild, Heloween, Black Sabbath, Deep Purple, Zeppelini, Overkill, Mercyful Fate, King Diamond. Coraz głębiej. Łykałem wszystko jak młody pelikan. Płyta za płytą.

Mleczne zęby wybiłem sobie o „Ride The Lighting" Metalliki... Pierwsze marzenia o zespole. Ja chcieć być jak James Hetfield - to było moje hasło. Gdzieś tam na okładkach tych płyt przemknęły mi przed oczami jakieś dziwne znaki i symbole, których nie rozumiałem, znaczenie których powoli wchodziło w moją podświadomość.

Byłem znawcą i fanem Anthraxu, Megadeth, Faith No More, Metalliki i... Slayera. Gdy wpadła mi w ręce ich „Show No Mercy", byłem w szoku. Kiedy zobaczyłem u kumpla płyty Venom, byłem dobity. Zaczęły się poszukiwania artykułów i książek o okultyzmie. Przyświecała mi idea: „Czemu taka wspaniała muzyka jest o szatanie?" Nie mogłem tego zaakceptować, lecz niestety byłem zbyt słaby... i to mnie wchłonęło. Fala Death Metalu przejechała mi po gębie jak czołg. Ubrany na czarno, z mętnym spojrzeniem jeździłem na koncerty: Obituary, Napalm Death, Sepultura, „Metalmania" itp. Sierpień '92 - koncert w Zabrzu. Slayer i Testament. Dla mnie moment przełomowy. Miałem już dość tych klimatów. Byłem zmęczony i przestraszony.

Rodziły się pierwsze konkretne myśli założenia kapeli i śpiewania o Bogu, szukałem kompanów. Niestety bez skutku...Wtedy miał właśnie falstart Creation Of Death.

Skończył się thrash i death. Przyszła pora na... grunge: Soundgarden, Alice In Chains, Sreaming Trees. Szkoda, że tak krótko grali. Nowy powiew świeżości. Rage Against..., Biohazard, nowe szaleństwo, a ja bez kapeli.

'94. Jedynka - Machine Head!!, Tool! Dostałem trampkiem w głowę - tak się czułem. Dream Theatre, Queensryche - leżę i kwiczę... Pierwsza pielgrzymka do Częstochowy - umarłem. Pierwsze spotkania na wspólnocie - Jezus mnie wskrzesił, nawrócenie. Zastój w muzyce. Dłuższy czas nic ciekawego dla mnie nie ukazało się, i tak przez parę lat! Zacząłem słuchać dużo muzyki filmowej: „Braveheart", „Ostatni Mohikanin". Gitara leżała zakurzona w kącie. Zagubiłem się we wspólnocie. Pustka.

'98-99 - przełom. Powtórne bolesne nawrócenie. Pan dał zespół... no może podwaliny kapeli. Chwała Mu za to. Kolega wcisnął mi Korna, później odkryłem Deftonesów. Zgłupiałem. Przez Internet złapałem na MP3 całą masę nowych kapel. Znów chciałem grać. Wśród tych wszystkich moich płyt, na honorowej podstawce stoi peretka. Cud ciężkiej muzy, 2Tm2,3 - „Amen"... Czuć gorąc i zaduch pod sceną, i lampowe piece. Gdy robiłem odsłuchy audiofilskie, miałem ją przy sobie razem z Faith No More - „Album Of The Year", Patem Metheny, Floydami - „Division Bell" i Billem Laswellem.

Obecnie w moim CD-odtwarzaczu często goszczą: Young Gods, Massive Attack, Perfect Circle, ostatni Tool, II Nino. Zespoły, które wymieniłem, to nieduża część mojej półki. Mógłbym tak pisać i pisać... Chwalmy Pana ciężkim riffem!

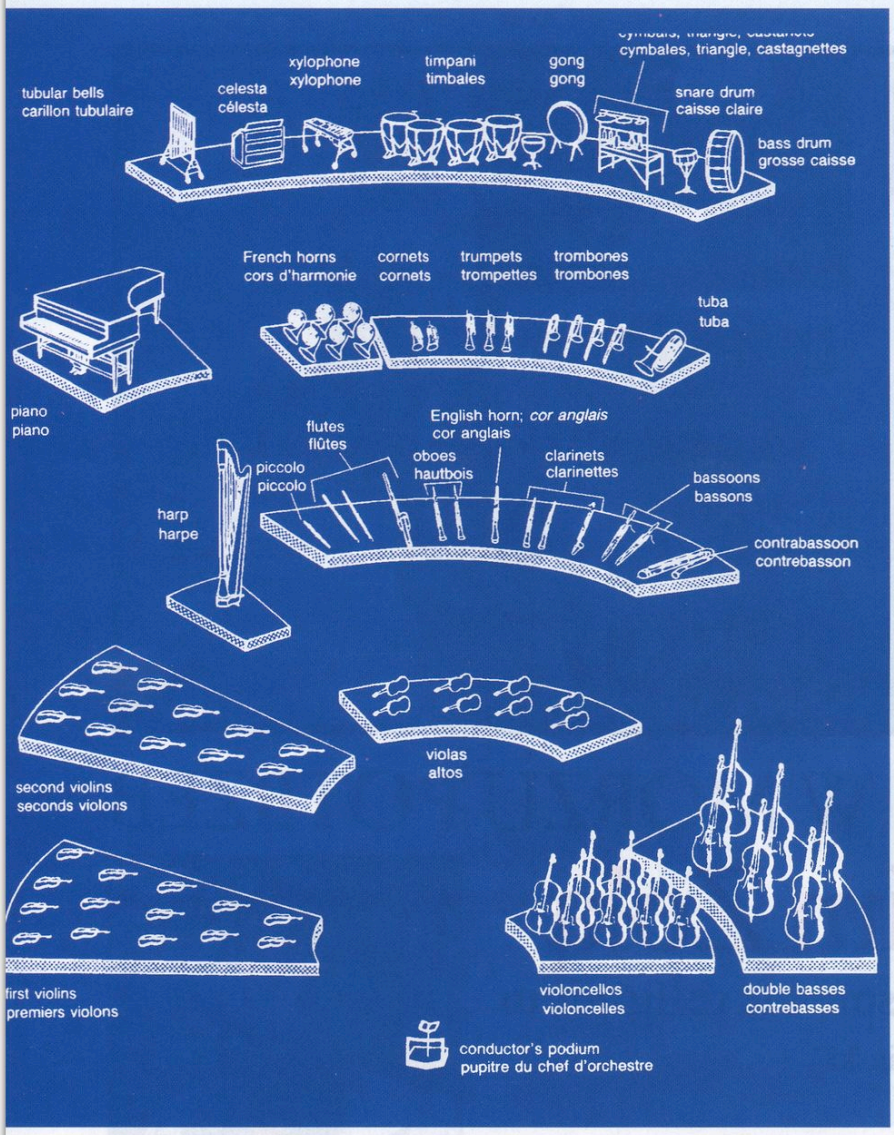

powinni być znawcami przedmiotu, tzn. teologami, którzy potrafią umiejętnie i życzliwie słuchać, a także prawdziwie przedstawiać naukę własnego Kościoła. Potrzebna jest tutaj chęć uczenia się jednych od drugich, wola odnowy własnego Kościoła, a także dobrze pojęta względem niego lojalność.

W ekumenizmie doktrynalnym należy unikać dwóch złych skrajności: fundamentalizmu i fałszywego irenizmu. **Fundamentalizm** zamyka oczy na dobro istniejące w innych kościołach. **Fałszywy irenizm** polega na dążeniu do ugody, do pokoju (greck. *airene - pokój*) za wszelką cenę, nawet za cenę prawdy. A przecież nie wolno sprzedawać prawdy za srebrniki świętego spokoju. Taki fałszywy irenizm jest wrogiem numer jeden ekumenizmu, podobnie jak brak otwartości. Powodzenie ekumenizmu zależy od sztuki prowadzenia dialogu bez utraty własnej tożsamości. Więcej nawet: prawdziwy dialog jest możliwy tylko w oparciu o mocny kręgosłup własnej wiary. Libański myśliciel Kalil Gibran powiedział, że *stworzenia bez kręgosłupa mają najtwardszą skorupę*.

Dialog ekumeniczny nie jest akademickim ćwiczeniem, ale wspólnym przebywaniem w miłości. Prawdę „czyni się" w miłości (por. Ef 4,15). **Prawda** nie polega jedynie na stwierdzeniu obiektywnego stanu rzeczy, ale także na nawiązaniu relacji zaufania. Pismo Święte nie utożsamia prawdy z zespołem zdań i myśli. Jest ona przede wszystkim osobową relacją, nacechowaną wiernością i niezawodnością. Jezus mówi sam o sobie: „Ja jestem prawdą" (J14,6). Również wiara chrześcijańska nie polega tylko na czysto intelektualnej zgodzie na sformułowane zdania, które można ilościowo uszeregować jedno obok drugiego. Wiara jest aktem osobowym, aktem zaufania wobec Boga i wobec Kościoła.

Jeden z największych teologów XX stulecia, o. Hans Urs von Baltasar, powiedział, że *prawda jest symfoniczna*. W chórze czy w orkiestrze liczy się każdy głos, każdy instrument; żaden z nich nie powinien się zagubić, lecz dopóty nie uzyskają one swojej pełnej

PRAWDA JEST SYMFONICZNA

Ks. dr Sławomir Pawłowski SAC (Instytut Ekumeniczny KUL)

Działania ekumeniczne są realizowane współcześnie na trzech płaszczyznach: duchowej, praktycznej i doktrynalnej. Ekumenizm duchowy – jak mówi ostatni Sobór – to modlitwa, zwłaszcza wspólna, to nawrócenie serca i świętość życia chrześcijan. Im bardziej naśladują oni Chrystusa, tym są bliżej siebie. Ten ekumenizm jest sercem, duszą całego ruchu ekumenicznego. Z kolei ekumenizm praktyczny przejawia się we współdziałaniu chrześcijan w dziedzinie społecznej i gospodarczej, zwłaszcza dla ulżenia nędzy duchowej i materialnej, lepszego wychowania młodego pokolenia i utrwalenia pokoju. W ekumenizm praktyczny wpisuje się także rozwój kultury, różnych dziedzin wiedzy i sztuki.

Ekumenizm doktrynalny polega na teologicznym dialogu między przedstawicielami różnych Kościołów. Aby taki dialog mógł dobrze przebiegać, potrzebna jest przede wszystkim znajomość teologii; uczestnicy dialogu wartości, dopóki nie zabrzmią razem. Twierdzenie o symfonicznej naturze prawdy jest ważne szczególnie dla ekumenii, w której pracuje się dla pełni. Przeciwieństwem prawdy jest nie tylko kłamstwo, błąd, ale również jednostronność, absolutyzowanie i wyolbrzymianie tego, co jest tylko cząstkowe. **Prawda jest związana z całością**. Prawda jest ze swej natury *katolicka*, w sensie pierwotnym tego słowa. *Katolicki* – po grecku *kat'holon* – oznacza najpierw *całościowy*, a potem *powszechny*. Wszystkie Kościoły chrześcijańskie wyznają, że należą do jednego, świętego, powszechnego czyli katolickiego, całościowego Kościoła. To słowo oznacza jakąś pełnię, daną i zadaną Kościołowi przez Boga.

Wielu ludzi pracuje nad ekumenizmem. Między wieloma Kościołami prowadzone są od lat dialogi ekumeniczne. **Więcej nas łączy niż dzieli**. Prawdy nie tylko się wylicza, ale również się wyważa. Istnieje swego rodzaju „hierarchia" prawd wiary. Te, które nas łączą, są większej wagi. **Muzyka**, tak jak sztuka, może służyć ekumenii, jeśli zbliża ludzi do siebie i do Boga. Więcej nawet: muzyka otwiera w nas pewne rejony ducha, które są niedostępne dla zdań, dla akademickich twierdzeń. W tym znaczeniu otwiera ona człowieka na Prawdę, czyniąc go bardziej prawdziwym, bardziej „całościowym", „symfonicznym".

Referat wygłoszony dla dziennikarzy i uczestników Festiwalu S.O.S. 2001 w Toruniu

KROPLA W MORZU POTRZEB

z dr. Antonim Zołą o tradycyjnym śpiewie religijnym

rozmawia Jakub Żmidziński

Czym jest żywa tradycja?

To pojęcie zostało sformułowane stosunkowo niedawno. Wcześniej mówiło się o muzycznym folklorze religijnym. Samo pojęcie żywej tradycji wiąże się z odpowiednim zrozumieniem istoty śpiewów kościelnych. To, co się nazywa muzyczną tradycją w kościele, w większości ma swoją formę zapisu - są to kancjonały, śpiewniki itp. Ale oprócz zapisów istniał też obieg przekazu ustnego. Ten przekaz sięga korzeniami bardzo daleko, właściwie to trudno powiedzieć jak daleko. Z badań wynika, że przynajmniej niektóre teksty pochodzą z późnego Średniowiecza. To, co było przekazywane drogą ustną, nigdy nie doczekało się swojego zapisu. A jeżeli pojawił się zapis, to przekaz taki uznawano za oficjalny i w tej wersji zaczynał funkcjonować w śpiewnikach. Dzisiaj przez żywą tradycję rozumiemy to wszystko, co jest śpiewane w kościele. Dotyczy to przede wszystkim muzyki religijnej, ale nie tylko. Istnieją również śpiewy obrzędowe, luźno związane z religijnością, jednak tworzące z nią całość. Charakterystycznych dla tej tradycji jest kilka cech: pierwsza to ustność przekazu. W przypadku ludowej kultury muzycznej punktem odniesienia jest zawsze przekaz ustny, zapis śpiewnikowy wprawdzie istnieje, ale nie zawsze jest respektowany. Żywa tradycja jest bowiem w dużym stopniu niezależna od źródeł śpiewnikowych. Następna to długożywotność. Nas nie interesują rzeczy, które pojawiają się chwilowo i zanikają. Jest rzeczą naturalną, że przychodzi moda, że również w kulturze ludowej istnieją przeboje. My zajmujemy się repertuarem, który ma swoją długowieczność. Kolejną cechą jest zmienność w przestrzeni i czasie. Polega ona na tym, że wzorzec kulturowy, w tym przypadku melodia czy tekst, jest adoptowany do danego środowiska i w nim funkcjonuje, będąc równocześnie przetwarzany według wzorców lokalnych. Trwa to całymi wiekami. To, co my teraz nagrywamy, jest w większości spuścizną XIX-wieczną. Ta spuścizna przekazywana jest dość swobodnie, nie tak dokładnie jak w przekazie pisanym. Lokalne wzorce są tworzone w zależności od środowiska. Istnieją ogromne różnice w tych samych pieśniach śpiewanych np. na Kurpiach i na Podhalu.

Czy owa różnorodność jest cechą niepożądaną, czy ubogacającą?

Z punktu widzenia praktyki kościelnej, rzecz jest niemile widziana, dlatego że sprawia wiele problemów wykonawczych, szczególnie podczas zbiorowych uroczystości, w których biorą udział ludzie z różnych regionów. Widać to na przykład na pielgrzymkach czy podczas uroczystości papieskich. Natomiast z punktu widzenia kultury ludowej jest to bardzo cenna rzecz i na ogół ma charakter ubogacający. W warstwie melicznej widać często prześliczne wpływy

lokalnych cech regionalnych. Przetwarzanie wzorców jest tak wspaniałe, że badacze zastanawiają się, czy to jest jeszcze ta sama wersja, czy już zupełnie inna. Dotyczy to przede wszystkim trzech regionów - trzech enklaw: Podhala, Kurpi i Kaszub.

Dlaczego akurat tam?

Trudno powiedzieć. Chodzi zapewne o silnie zakorzenioną zachowawczość.

Czy znaczy to również, że w tamtych regionach tradycja śpiewania jest jeszcze najsilniejsza?

Z naszych badań tak by wynikało, że może nie tyle najsilniejsza, ale najbardziej oryginalna, wyraźnie odbiegająca od norm ogólnopolskich. W żywej tradycji można wyróżnić kilka nurtów. Jeden nurt związany jest z muzyką wykonywaną w kościele i obejmuje to, co się śpiewa podczas liturgii. Te śpiewy są stosunkowo mało przetworzone. Drugi nurt funkcjonuje poza kościołem. To często tradycje domowe, najbardziej podatne na wariabilność, ponieważ są zależne od indywidualnych upodobań wykonawców. Różnice regionalne są tutaj przeogromne. Może dlatego, że śpiew kościelny w jakiś sposób podlegał kontroli - przez organistów czy przez duszpasterzy. Natomiast śpiew pozakościelny tej kontroli nie podlegał. Niech przykładem będzie pieśń „Serdeczna Matko", którą śpiewano podczas wędrówki obrazu jasnogórskiego. Powstała na jej temat praca magisterska, w której wyróżniono 22 melodie tej pieśni. A każda z tych melodii posiada po kilkadziesiąt wariantów. Z tym że nie dotarliśmy do wszystkich możliwych wariantów, których jest kilkaset w całej Polsce!

Czyli powinniśmy pielęgnować te odmienności. Wszędzie tam, gdzie ludzie śpiewają nieco inaczej - zachęcać ich, by trwali przy własnym sposobie śpiewu.

Takie jest moje zdanie. I taka tendencja coraz częściej się pojawia. Kilkadziesiąt lat temu było wręcz odwrotnie, pojawiło się wtedy kilka śpiewników, które miały charakter ujednolicający, z tym że te próby do końca się nie powiodły. Można wprawdzie znaleźć kilkadziesiąt pieśni znanych w całej Polsce, które od biedy da się wspólnie zaśpiewać. Natomiast inne pieśni nie. Próby wprowadzenia na siłę jednolitego wzorca zazwyczaj kończą się fatalnie. Starsi ludzie, bardziej przywiązani do tradycji, przestają śpiewać, młodsi i tak mało śpiewają, dlatego taka pieśń najczęściej zanika. Lepiej jest zachować miejscowe tradycje, zresztą one mają swój urok. W całej Europie są teraz takie tendencje, żeby zachować to, co przetrwało, by sięgać do korzeni w poszukiwaniu naszej kulturowej tożsamości.

Jaka jest dzisiaj realna żywotność tradycji kościelnych i pozakościelnych w Polsce?

Trudno na to pytanie odpowiedzieć, ponieważ istnieją zaszłości historyczne, nie tak dawne, które są nie bez wpływu na dzisiejszy obraz tradycji. Sobór Watykański II bardzo mocno podkreślił wartość liturgiczną śpiewów ludowych, przez co podniósł ich rangę o stopień w górę. Wcześniej traktowano je jako coś spoza oficjalnej liturgii. Natomiast zrozumienie przesłania Soboru było różne. Niektórzy zbyt gorliwi za wszelką cenę starali się usunąć tradycyjne pieśni, zastępując je śpiewami nowymi, które tworzono ad hoc, a powstawało ich mnóstwo. Wprowadzono wtedy do kościoła wiele pieśni, których wartość artystyczna, muzyczna czy jest niewielka. Skutek tych działań był taki, że śpiew tradycyjny zaczął zanikać. Na szczęście w większości polskich kościołów zachowawczość zwyciężyła i śpiew tradycyjny się ostał. Jak to w tej chwili wygląda? Nośnikiem tradycji kulturowej jest pokolenie po sześćdziesiątce. Oni to jeszcze pamiętają: im ktoś starszy, tym lepiej. Natomiast pokolenie średnie pamięta niewiele. Młode pokolenie, niestety, jest w kościele bierne, może poza nielicznymi wyjątkami. Ostatnio w czasie badań spotykaliśmy się z młodymi ludźmi, którzy nie tylko, uczą się tych pieśni, ale również je zapisują. Ale to są pojedyncze osoby. Jednak jeśli chodzi o poziom ogólny, następuje dosyć gwałtowny zanik. Myślę że za jakieś 10 lat z tej tradycji niestety niewiele zostanie. To, co się udało utrwalić, zostanie na taśmach, ale tradycja przestanie być żywa. Ona już jest właściwie tradycją elitarną. W tej chwili zainteresowanie tymi śpiewami jest ogromne. Ciągle tutaj odbieramy listy i telefony od wielu ludzi, nie tylko zresztą badaczy.

Czy zanik tradycji jest procesem nieodwracalnym?

Trudno powiedzieć, dlatego że w kulturze muzycznej takie tendencje już wcześniej występowały. W XIX wieku, kiedy w kościołach zaczęły pojawiać się melodie operowe czy operetkowe, wydawało się, że tradycja zaniknie. Powróciła. Myślę, że to jest takie falowanie - teraz widzimy powrót bardzo powolny, ale później może stać się powszechny. Po Soborze nastąpił odwrót od chórów kościelnych, teraz się do nich powraca, wręcz zachęca się do ich tworzenia.

Na ile to od nas zależy, czy ten powrót nastąpi, czy możemy coś uchronić?

Myślę, że da się dużo zrobić. W czasach komunizmu ludowa tradycja religijna nie była traktowana jako autentyczny folklor. Uważano ją za zjawisko marginalne. Rzecz ciekawa, ludzie zajmujący się badaniami kultury ludowej uznali te śpiewy za rewelację i nigdy nie mieli wątpliwości, że stanowią one autentyczny folklor. Ale oficjalny kurs władz państwowych był inny. Jeżeli pokazywano coś z folkloru religijnego, to w taki sposób, żeby to ludziom obrzydzić. Pod koniec lat 70. trochę zaczęło się zmieniać, pojawiło się coraz większe zainteresowanie. Obecnie większość badaczy uważa, że jest to ten sam folklor, co świecki, że ma taką samą wartość. Dlatego że nie można w kulturze ludowej oddzielić sacrum od profanum - to jest jedność. Śpiewy religijne towarzyszyły zwyczajowo codziennym zajęciom i czynnościom człowieka. Kiedy np. gospodyni oporządzała krowy, śpiewała Godzinki.

Mówi Pan teraz głównie o śpiewach kościelnych, a jak wygląda kwestia śpiewów pozakościelnych? Jakich sytuacji one przede wszystkim dotyczą i gdzie są żywotne?

Żywotność tych śpiewów, nawet jeszcze w okresie powojennym, była dość mocno zakorzeniona i to w całej Polsce. Informatorzy podczas badań mówią, że jeszcze 20, 30 lat temu były one żywe. Obecnie wskazują na mass media: radio i telewizję, które zabierają zbyt dużo czasu i nie pozwalają śpiewać w domach. Dawniej w różnych okresach roku liturgicznego: na Boże Narodzenie, Wielki Post, czy Wielkanoc funkcjonowało mnóstwo śpiewów wykonywanych w domach. Na przykład w okresie Bożego Narodzenia śpiewano kilka tysięcy pastorałek. W oficjalnych zbiorach można by się ich doliczyć sześciuset, może trochę więcej. Obecnie uległy one masowemu zanikowi. Tradycja wiąże się z pewną strukturą społeczną. Kiedyś na wsiach wszyscy pracowali w rolnictwie, w gospodarstwie rodzinnym, później większość zaczęła dojeżdżać do pracy. Dawna jedność uległa rozbiciu. Pewne wartości kulturowe uległy zanikowi, pojawiły się za to inne.

Czy w obręb tych śpiewów wchodzą również modlitwy związane z fazami życia człowieka, na przykład różaniec przy zmarłym, śpiewy pogrzebowe?

Tak, właśnie te śpiewy, nazwijmy je ogólnie obrzędowymi, są jeszcze najsilniej zakorzenione, szczególnie w niektórych regionach. Na przykład na terenach północno-wschodnich, w diecezjach białostockiej i łomżyńskiej istnieje wciąż tradycyjny śpiew przy zmarłym. Są to tzw. puste noce, kiedy przy zmarłym śpiewa się przez kilka nocy z rzędu. Ta tradycja nigdy nie miała bezpośredniego związku z oficjalną liturgią, ksiądz w tym nie uczestniczył, prowadził tylko oficjalne obrzędy pogrzebowe, a do domu przychodziły specjalne grupy śpiewaków, które funkcjonują do tej pory. Mają swój repertuar, swój określony porządek śpiewów, po których następuje poczęstunek. Każdy z tych śpiewów ma swoje znaczenie. Dość trudno w te tradycje wniknąć. One często wychodzą treściowo daleko poza dzisiejsze rozumienie teologii eschatologicznej. Istnieje jeszcze w tych śpiewach średniowieczny obraz piekła: „słychać łańcuchy piekielne". Dlatego dzisiaj Kościół tych śpiewów nie zaakceptuje, ale ludzie w dalszym ciągu je śpiewają. Kiedyś, w czasie dokonywania nagrań, prezentowano nam śpiewy tradycyjne wykonywane przy zmarłym w domu. Śpiewano stare pieśni, pełne XVI-wiecznych archaizmów. Po tym jednak, na naszą prośbę, ci sami informatorzy zaśpiewali pieśni według nowego rytuału pogrzebowego: śpiewano Alleluja, pieśni o zmartwychwstaniu itp. Efekt był szokujący. Od razu było widać, że dawna tradycja i posoborowa liturgia pogrzebowa to zupełnie odmienne, nie przystające do siebie rzeczywistości.

Badania na szeroką skalę zostały podjęte dopiero tu, na KUL-u....

Tak. Chociaż można powiedzieć, że już Kolberg zaczął zbierać pieśni religijne. W całym jego zbiorze jest około 600 pieśni, które można by nazwać religijnymi. Później pojawiały się również inne zbiory, ale nieliczne. Natomiast badanie żywej tradycji na szeroką skalę podjęto na KUL-u na początku lat 70. Wówczas nasi muzykolodzy, jeżdżąc na różne konferencje spostrzegli, że na Zachodzie bardzo się szanuje śpiewy religijne, które tam były już szczątkowo tylko nagrywane. Muzykolodzy niemieccy zauważyli, że u nas ta tradycja jest bardzo żywa i nikt się tym właściwie nie interesuje. Pod koniec lat 60. wymieniano Polskę wśród krajów europejskich, gdzie tradycja śpiewów religijnych jest mocno

zachowana. Równocześnie dziwiono się, że nikt tego u nas nie bada. W latach 70. ta tematyka została nam niejako oficjalnie zlecona przez Konferencję Episkopatu. KUL podjął się tego przy wsparciu, związanego z poznańską muzykologią, prof. Stęszewskiego. W późniejszym czasie ksiądz Bartkowski usamodzielnił się, a w połowie lat 70. również ja włączyłem się do badań i do dzisiaj je prowadzę. To jest ogromny zbiór, ponad 20 tysięcy nagranych pieśni, których do końca jeszcze nie opracowaliśmy. Przetranskrybowaliśmy, to znaczy zapisaliśmy melodię i teksty, dotychczas około 5 tysięcy przekazów. Zbiór jest w pełni udokumentowany i skatalogowany. Na tym zbiorze prowadzimy własne badania, a także chętnie udostępniamy go wszystkim, którzy interesują się tą problematyką.

Czy zbiory te obejmują tylko pieśni pochodzące z obecnych granic Polski, czy również spoza?

Kierowaliśmy się zawsze obecnymi granicami naszego kraju, ale genetycznie ten materiał pochodzi również z Kresów, bo np. na zachodzie Polski nagrywaliśmy śpiew ludzi, którzy pochodzą zza obecnej wschodniej granicy. Więc śpiewów wschodnich jest mnóstwo. Obecnie interesuje nas również materiał nagrywany wśród Polonii, zarówno na Wschodzie, skąd posiadamy nagrania z okolic Lwowa. Mińska, Wilna, jak i w Ameryce, gdyż mamy np. taśmy z Chicago. Ale chcemy rozszerzyć nasze badania. W tej chwili studiuje u nas kilka osób z Białorusi i Ukrainy, które są zainteresowane takimi badaniami. Jedna ze studentek nagrywa materiał w okolicach Mołodeczna.

To są wszystko śpiewy katolickie?

Tak. Początkowo chcieliśmy rozszerzyć nasze badania również na inne śpiewy, ale istnieją osoby, które już się interesują śpiewami mniejszości, to znaczy niekatolickimi. Nie chcielibyśmy za bardzo wchodzić sobie w kompetencje. Na przykład na muzykologii warszawskiej kilka osób interesuje się śpiewami prawosławnymi. Ale jeśli nam się nadarzy okazja, nagrywamy również śpiewy prawosławne i inne. Kiedyś kontakty z duchowieństwem prawosławnym były dosyć trudne ze względów historycznych. W tej chwili te kontakty są bardzo żywe.

Chciałbym wrócić do postaci ks. Bartkowskiego. Czy mógłby Pan przypomnieć jego osobę?

Kiedy przybyłem na KUL z zamiarem zorientowania się, czy będę tu mógł prowadzić badaniu terenowe, pierwszą osobą, którą spotkałem, był właśnie ksiądz Bartkowski. U niego skończyłem seminarium i przez długie lata z nim współpracowałem. Jako salezjanin był bardzo związany z działalnością wśród młodzieży, no i z pracą naukową. Początkowo ks. Bartkowski, jako choralista z wykształcenia, zajmował się badaniami nad chorałem. Później, przez kilka lat, zajął się bardzo dogłębnym studiowaniem folklorystyki, najpierw pod kierunkiem prof. Stęszewskiego, a potem już samodzielnie. To, że był choralistą i etnomuzykologiem, bardzo mu pomogło w badaniach i nadało im zupełnie nowy kierunek. Dotychczasowe badania etnomuzykologiczne w Polsce koncentrowały się na nieco innej problematyce. Ks. Bartkowski w swojej koncepcji badawczej zwrócił uwagę, że w przypadku ludowej pieśni religijnej udokumentowana tradycja sięga Średniowiecza, a niektóre przekazy śpiewów mają swoją genezę w śpiewach chorałowych. Ten metodologiczny mariaż etnomuzykologii z choralistyką okazał się bardzo owocny. To, że nasze badania mocno wiążą ludowy folklor religijny z tradycją średniowieczną, co jest czymś zupełnie nowym w muzykologii, jest właśnie jego zasługą. Ksiądz Bartkowski opublikował dwie książki, około 60 artykułów w pismach polskich i zagranicznych i pozostawił mnóstwo zebranych materiałów. Obecnie chcemy podjąć badania nad jego spuścizną, przeanalizować osiągnięcia naukowe i wydać je w postaci książki. W tej chwili jest on właściwie niedoceniony, jego praca zaowocuje w przyszłości. Wyznaczył kierunek badań na całe dziesięciolecia. Na razie ukazał się I tom opracowań materiału zebranego pod jego kierunkiem. Drugi tom, obejmujący Małopolskę i Podkarpacie, jest opracowywany.

Każdy tom zawiera transkrypcje pieśni: nuty i słowa...

Tak, z pełną dokumentacją historyczną: melodia, nawet w kilku wariantach z danego regionu, tekst w kilku wariantach oraz źródła historyczne tej pieśni - wszystkie przekazy, które udało nam się ustalić, a także króciutki opis jej funkcjonowania. Całość powinna obejmować 6 - 7 tomów, około 8 - 10 tysięcy pieśni.

W jednej z wypowiedzi odróżnił Pan pieśni religijne od piosenek, które przybywają i odchodzą wraz z modą. Te drugie powinny funkcjonować w sy-tuacjach typu pielgrzymka, spotkanie modlitewne, a one przedostają się do liturgii. Nie ma tej świadomości, że liturgia jest czymś zbyt ważnym, by mogły się w niej pojawiać piosenki.

Po Soborze Watykańskim II bardzo doceniono muzykę w liturgii. Kościół zaakceptował wszelkie tradycje lokalne. Kościół afrykański ma np. przepiękne śpiewy, które nie mają nic wspólnego z chorałem. W kulturze muzycznej Europy chorał odegrał ogromną rolę i - co podkreśla wielu badaczy - współczesna muzyka europejska ma swoje korzenie w spuściźnie chorałowej. Kościół, wyrażając ogromny szacunek dla chorału gregoriańskiego, podkreśla, by nie odcinać się od korzeni. Takie są założenia. Czynnościom liturgicznym winien towarzyszyć śpiew na poziomie, podkreślający ich świętość. To, co tradycją przekazane, zostało już wiekami usakralizowane na tyle, że w tej chwili odczuwamy, że to współgra ze świętą czynnością liturgiczną. Natomiast sama forma tych nowych śpiewów, które nazwałem piosenkami, jest czymś odmiennym. Ich melodie są w większości taneczne, co np. w liturgii afrykańskiej jest czymś powszechnym, natomiast w naszej kulturze tego nigdy nie było - panuje raczej stabilność, statyczność, szczególnie tutaj, na wschodzie. Nie ma ruchu, jest raczej powolny przepływ. Piosenki religijne natomiast, choć same w sobie są utworami sympatycznymi, odstają od powszechnie przyjętych wzorców i norm estetycznych, którym podlegają śpiewy liturgiczne. Podobnie z treścią: są to zazwyczaj proste teksty, na ogół subiektywne, często banalne, zbyt odległe od przepięknych tekstów liturgicznych. Czasami wręcz trywializują przekaz świętych tekstów. I w końcu forma uczestnictwa w liturgii: jeżeli wierzymy, że to, co się odbywa w kościele jest świętą czynnością, nie możemy sobie pozwolić na to, by koncentrować się na czymś innym niż na samej czynności. Natomiast sposób wykonania tych śpiewów absolutnie rozprasza uczestników: zwraca się uwagę, jak ktoś gra na gitarze, jakie popisy przy tym robi, a nie na czynność liturgiczną, która jest najważniejsza. I z tego właśnie powodu można powiedzieć, że sama forma nie przystaje. W przyszłości, być może, niektóre śpiewy wejdą w obieg kulturowy i staną się śpiewami liturgicznymi, ale to się dzieje bardzo powoli. Z XIX-wiecznych śpiewów również jakiś procent pozostał, choć początkowo wydawały się one dziwne. Poza tym w liturgii musi być zachowany czynnik stabilny. Tak jak Pan Bóg jest wieczny, to co się do Niego odnosi również powinno być długotrwałe. To nie może być moda, która dzisiaj jest taka, na drugi dzień inna - nie, śpiew liturgiczny jest tak głęboko związany z wnętrzem człowieka, że musi wyrażać bardziej obiektywne wartości, subiektywne szybko przemijają. W tej chwili już nie śpiewa się tego, co się śpiewało w piosence religijnej 10 lat temu. Obserwuję od paru lat, uczestnicząc m.in. w festiwalach piosenki religijnej, że właściwie co roku zmienia się moda. Tworzy się także piosenki utrzymane w stylach wysoko artystycznych - one mają szansę być śpiewane, może nie podczas liturgii, ale mogą wejść do tradycji.

Wydaje się jednak, że młodzi ludzie, wychowani na kulturze masowej, nie potrafią wejść w liturgię, opartą na tradycyjnych śpiewach. I myślę, że przyczyną tego nie jest fakt, iż są to śpiewy dawne, ale to, że są one źle wykonywane. Nawet ludzie, którzy potrafią je śpiewać, śpiewają na tyle nieatrakcyjnie, że młodych to nie pociąga. Te śpiewy mają ogromną siłę, ogromne piękno, ale ono jest jakby ukryte, w ogóle niewydobyte.

W dużej mierze zgadzam się z Panem. Nasze badania i moje obserwacje to potwierdzają, że tam, gdzie żywa tradycja jest mocna, gdzie ludzie w kościele pięknie śpiewają - śpiewają również młodzi. Śpiewają bardzo dobrze i znają stare pieśni. Natomiast w kościołach, gdzie śpiew jest kiepsko wykonywany, nie dość, że starsi śpiewają źle, młodzi w ogóle nie śpiewają. Ale na to pytanie trudno do końca dobrze odpowiedzieć, bo tu wkraczamy w dziedzinę socjologii. Myśmy takich szczegółowych badań nie prowadzili. Natomiast jest faktem, choć może nie wszędzie, że młodzi w kościołach coraz częściej stają się biernymi obserwatorami, a nie aktywnymi uczestnikami śpiewów liturgicznych. I dotyczy to zarówno starych jak i nowych pieśni, co by potwierdzało Pańską tezę. Młodzi, wychowani na kulturze masowej, są bardziej nastawieni na odbiór niż aktywne uczestnictwo. To dotyczy nie

tylko kultury religijnej, ale kultury muzycznej w ogóle. Kiedyś w czasie badań terenowych wraz z informatorami pośpiewaliśmy sobie wspólnie kilka pieśni religijnych, ale również kilka popularnych piosenek. Starsze pokolenie potrafiło się świetnie włączyć w tę zabawę, natomiast młodzi tych piosenek nie znali, choć były one bardzo melodyjne. Chcieliby śpiewać, ale nie znają, a zapytani, dlaczego nie znają, odpowiedzieli, że są to stare pieśni, a więc raczej tego nie akceptują.

Co można zrobić w takiej sytuacji?

Myślę, że młodzi nie bardzo chcą akceptować śpiewy starszego pokolenia trochę na zasadzie buntu. Ale też nie znają tych śpiewów, ponieważ nikt ich nie przekonał do pozytywnych wartości kultury tradycyjnej. Jeśli chodzi o kulturę muzyczną u nas, mamy zaszłości bardzo duże. To jest częściowo wina poprzedniego systemu, który w edukacji szkolnej kładł nacisk na inne rzeczy, nie na kulturę muzyczną. Myślę, że gdyby w polski system edukacyjny wprowadzić przybliżenie piękna różnych wartości kulturowych, np. śpiewów religijnych, nie tylko katolickich, młodzi ludzie chętnie by je akceptowali. W tej chwili nastawienie młodych wobec tradycyjnej kultury, której piękna w ogóle nie znają, jest wciąż negatywne. Rzecz ciekawa, że kiedy kończy się młodzieńczy okres buntu, to ludzie zaczynają się tym interesować i znam wiele przypadków, kiedy ktoś, kto niegdyś akceptował tylko ostry rock, zwrócił się ku kulturze tradycyjnej, nagrywa chorał gregoriański i sam go śpiewa.

Zatem można by nakreślić pozytywną wizję działań, polegających na mądrej i wrażliwej zmianie systemowej edukacji muzycznej, ale również na indywidualnych inicjatywach typu: powoływanie scholi, które śpiewają dawne pieśni w poszczególnych parafiach. A także to, co robi np. środowisko Bractwa Ubogich...

Jeśli chodzi o system edukacyjny w Polsce, to w dziedzinie kultury muzycznej działa on katastrofalnie. Ukazało się zresztą wiele krytycznych publikacji na ten temat, ale jak dotąd nie przyniosły one żadnego pozytywnego efektu. W przyszłości jednak trzeba taki mądry system opracować, wzorując się na systemach zachodnich czy amerykańskim. Natomiast indywidualne działania robią bardzo dużo dobrego, zainteresowanie działalnością Bractwa Ubogich jest bardzo duże, niestety są oni zbyt mało widoczni. Kiedy prezentowałem ich muzykę w różnych środowiskach, ludzie najczęściej po raz pierwszy z nią się spotykali. A akceptowało ją zarówno starsze pokolenie, któremu to się wręcz sentymentalnie kojarzy, jak i młode. Tylko że to jest kropla w morzu potrzeb. Trudno znaleźć radykalny środek zaradczy. Ważne są też publikacje w młodzieżowych pismach muzycznych.

Na przykład w RUaH!

Lublin, 3.09.2001

Zdjęcia (wykonane na Zachodniej Ukrainie w latach 1988-90): Andrzej Bujnowski OP

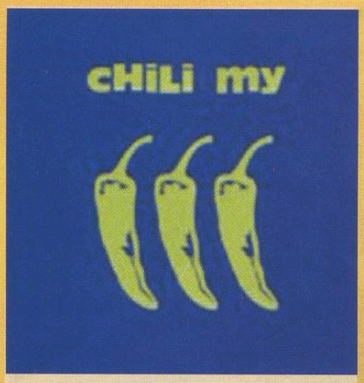

CHILI MY

III

płyta, kaseta / Edycja Świętego Pawła 2002

Niewiele jest takich płyt, które po kilkukrotnym przesłuchaniu ma się ochotę przesłuchać raz jeszcze. Niewątpliwie nowa produkcja Jacka Wąsowskiego i spółki zalicza się do tego elitarnego grona.
Nagrań dokonano w studiu w Warszawie i głównie oparto się na sześcioosobowym składzie zespołu. W nagraniach uczestniczyli różni goście - niektórzy byli zapraszani przez zespół, inni pojawiali się w studiu niespodziewanie (jak na przykład Patrycja Gola czy Paweł Winiszewski).
Stylem płyta nie odbiega za bardzo od dwóch poprzednich, ale na pewno brzmi o wiele lepiej. Przyczynił się do tego w dużej mierze gitarzysta - producent Jerzy Runowski.
W efekcie otrzymujemy 12 melodyjnych, wpadających w ucho piosenek, w większości z tekstami Jacka Wąsowskiego (wyjątek stanowi utwór „Dokąd nie pójdę" - moja ulubiona piosenka z tej płyty - do której tekst napisała Ines Zaczek, liderka zespołu Kairos). Oprócz nich na płycie znajdziemy również teledysk zrealizowany do piosenki „Niedzielny przelot". Jedyne, czego mi brakuje, a właściwie co miło byłoby, gdyby się na niej znalazło, to radiowa (tudzież koncertowa) wersja tejże.
Gdyby kazano mi wybrać z ostatniej płyty Chili My piosenkę, która nadaje się na singiel promujący, prawdopodobnie wybrałbym... wszystkie. Jacek ma dar, który sprawia, że każda napisana przez niego piosenka jest materiałem na potencjalny przebój. Polecam każdemu - znający muzykę Chili My na pewno się nie zawiodą, natomiast ci, którym jest ona obca, powinni czym prędzej ją poznać!

nsr

AMENBAND

Coraz bliżej

płyta / Dom Wydawniczy Rafael 2002

W małej miejscowości na południu Polski, gdzie od dwóch lat prowadzę warsztaty muzyczne, spotkałem długo nie widzianą koleżankę. Dorota (bo tak miała na imię) zapytała mnie w przerwie zajęć o jakąś nową ciekawą płytę: „Wiesz, wybór nagrań jest dość duży, kolorowe okładki śmieją się z półek... A ja chciałabym coś wyjątkowego, coś, co będzie i radosne, i piękne, melodyjne lecz niebanalne, trochę nowoczesne, ale nie plastikowe, dobrze zagrane i wyśpiewane pełnią serca. I najlepiej, żeby można było się przy tym fajnie pobujać". Przez moment zakręciło mi się w głowie od tego wyliczania, jednak po chwili twórczego namysłu poleciłem jej bliższe zapoznanie się z nową płytą Amenbandu.
„Coraz bliżej" jest trzecim albumem w dorobku grupy kierowanej przez Andrzeja Cudzicha. Lider tradycyjnie zaprosił znakomitych muzyków i wokalistów do pracy nad płytą. Już po pierwszym jej przesłuchaniu wyłaniają się takie utwory jak przebojowy „Psalm" (Partycja Gola), pulsująca kolorami „Wyspa" czy pełna skupienia „Modlitwa" (Mietek Szcześniak). Mocno zapadają w pamięć również „Nasze dni" do słów o. Andrzeja Bujnowskiego oraz „Panie my Twoje dzieci" Boba Fitza (jedyna kompozycja nie będąca autorskim dziełem Cudzicha). W szczególny sposób porusza tytułowa ballada zaśpiewana przez Beatę Bednarz: „Biegnę mostem zbudowanym z Bożych słów. Do nadziei co jest w niebie, gdzie mój dom. Przede mną obłok, za mną ognia słup i aniołów słyszę chór. Coraz bliżej, bliżej, bliżej do ramion co miłosierdziem są". Ilekroć wsłuchuję się w ten refren, odczuwam w sercu jakby przedsmak wiecznego szczęścia...
Gdy po zajęciach spotkaliśmy się z Dorotą na wspólnym posiłku, dziewczyna ściskała w rękach płytę zespołu. „Tego właśnie szukałam" - uśmiechnęła się do mnie z zadowoleniem. Nie byłem tym wcale zaskoczony, gdyż nowych piosenek Amenbandu słucha się z wielką przyjemnością.

(ar)

MAGDA ANIOŁ

Ani oko, ani ucho

płyta, kaseta / Paganini 2002

Pstryk - odkładam pilota i rozwalam się na kanapie. Na telewizyjnym ekranie pojawia się grupa kolorowych młodych ludzi. Wszyscy zgodnie śpiewają: „Zaufaj Panu już dziś". I w ten właśnie sposób ostatnia piosenka z płyty Magdy Anioł stała się pierwszym (przebijającym nawet wynurzenia Golców) hitem, z którym miliony Polaków kojarzą papieską pielgrzymkę. Gdy Jan Paweł II zawierzał w krakowskich Łagiewnikach świat Bożemu miłosierdziu, towarzyszyło mu to proste, muzyczne wyznanie.
To nie żaden koniunkturalizm wedle scenariusza: śpiewamy tym razem o miłosierdziu, bo tak wypada. Autor piosenki Adam Szewczyk („jak zaufać, powiedz, gdy z oczu płyną gorzkie łzy") jest wielkim fanem Koronki do Bożego Miłosierdzia, a jego pierwszy krążek nazywał się po prostu „Ufam Tobie". A zatem mechanizm podobny do pierwszej płyty Arki Noego. Błogosławieństwo przez TV. Czy może być coś dobrego z Nazaretu?
Tyle o ostatniej piosence. Teraz o całym albumie: „Płyta nazywa się Ani oko, ani ucho i jest zalecana wszystkim tym, którym potrzebna jest solidna dawka radości i nadziei" - opowiada o swej najnowszej produkcji Magda Anioł. Śląska wokalistka świetnie poruszająca się do niedawna w klimatach country (zadebiutowała w 1994 roku na Pikniku Country w Mrągowie), od kilku lat śpiewa dla Pana Boga. Jej pierwsza płyta „Kiedy dusza śpiewa" dołączona do Magazynu Muzycznego RUaH ukazała nam nowe oblicze piosenek wokalistki: radosne, krótkie, nieraz doprawione szczyptą humoru piosenki momentalnie wpadały w ucho i stawały się przebojami oaz, pielgrzymek i spotkań przy ognisku. To przede wszystkim zasługa ich autora - gitarzysty Adama Szewczyka. Podobna jest i druga płyta zawierająca ponad dziesięć żywiołowych utworów. Wszystkie opowiadają o tęsknocie za niebem, o poszukiwaniu Boga w najtrudniejszych chwilach życia, o Maryi, o pewności przetrwania, jaką może dać tylko Bóg i oczywiście o... aniołach. Śpiewa je Anioł, jako żywy.
Nie szukające metafor teksty są bardzo proste - świetnie odnajdują się w nich dzieci. To wada czy zaleta? Sam nie wiem. Czuję, że to dobry materiał na ewangelizację. Ci, którzy nie słyszeli jeszcze o miłosiernej miłości Ojca, mogą - zwabieni pulsującą, rytmiczną muzyką - usłyszeć na koncercie kilkanaście prostych, przejrzystych historii.

(jakiś)

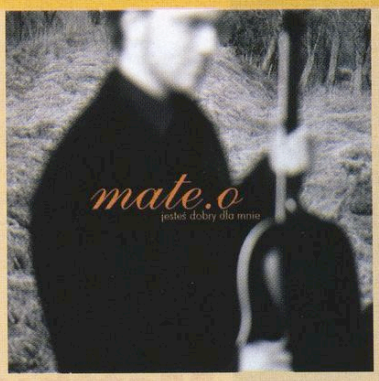

MATE.O

Jesteś dobry dla mnie

płyta, kaseta / Mix Studio 2002

Mateusz Otremba - niezwykle aktywny muzyk, znany na rynku muzyki tworzonej przez chrześcijan jako Mate.O wydał właśnie swą drugą płytę. Album „Jesteś dobry dla mnie" zawiera jedenaście nowocześnie zaaranżowanych piosenek uwielbiających Boga i teledysk do utworu „Jestem Twój".

Pierwszy krążek artysty zatytułowany „Totalne uwielbienie" był porcją opartych na mocnych akordach gitary akustycznej pieśni chwały. Proste, wpadające w ucho melodie i oddające chwałę Bogu teksty sprawiły, że album trafił do wielu polskich domów, a piosenki Mateusza śpiewane są w całym kraju. A o to przecież chodziło.

Nowa płyta „Jesteś dobry dla mnie" jest nowocześniejsza. To efekt współpracy ze znakomitymi muzykami. „Dlaczego zagrałem na płycie? Po prostu ujęły mnie zarówno teksty (zwłaszcza ich szczerość!), jak i muzyczne kompozycje, dojrzalsze niż na pierwszej płycie" - opowiada producent i klawiszowiec zespołu Paweł Zarecki.

„Jesteś dobry dla mnie" to projekt, który nie powstawał w wielkich studiach nagraniowych, lecz na wsi, w spokojnych, niemal sielskich warunkach. Muzycy, choć ograniczeni terminem, mogli pozwolić sobie na oddech i nie przejmować się tym, że „nabijają" godziny w studiu.

Teksty Mateusza nie szukają metafor - są dosłownym świadectwem życia z Jezusem. „Nagranie tej płyty było dla mnie szczególne z kilku powodów. Przede wszystkim to, co napisałem i zaśpiewałem, jest wyjątkowo osobistym wyznaniem w większości skierowanym bezpośrednio do Boga. Świadomość tego, że nie stoję tylko przy mikrofonie, ale również przed Tym, dla którego śpiewam, spowodowała we mnie inny rodzaj skupienia, niż kiedy nagrywam przy innych okazjach. Zależało mi na tym, aby to nagranie uwielbiło i sprawiło radość Bogu. Mam nadzieję, że ten album będzie inspirujący dla wielu" - opowiada jego autor, świeżo upieczony małżonek.

Mateusz Otremba jest nie tylko cenionym muzykiem, ale i świetnym fotografikiem. Już okładka poprzedniego krążka wyróżniała się wśród większości cukierkowych okładek muzyki chrześcijańskiej. Z najnowszą płytą jest podobnie. Cieszy i oko, i ucho.

(jakiś)

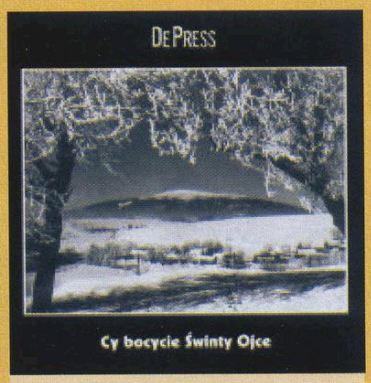

DE PRESS

Cy bocycie Świnty Ojce

płyta / Music Corner 2002

Czy Andrzej Dziubek napisałby te piosenki, gdyby nie tęskne i pełne sentymentu spoglądanie na Polskę z perspektywy Norwegii? Chyba nie. Jego silne odwołania do religii i zwyczajów wyrastających wprost z katolicyzmu wyglądają między Odrą a Bugiem dość niesamowicie. Niemal groteskowo. Lider rockowej kapeli wzywający na koncertach pogujące tłumy: „Bądź ty Polsko katolicka"? To obraz niemal tak surrealistyczny jak malarstwo Margitte'a czy Dalego.

A jednak... Już po powrocie do rodzinnej Orawy, lider grupy De Press - Andrzej Dziubek, polski góral spod Babiej Góry, który niespodziewanie stał się prawdziwą rockową gwiazdą w Norwegii - zdecydował się wydać kilka piosenek mocno związanych z problemami wiary. I nagrał je na nowo (gratka dla fanów kapeli!) jako prezent dla Jana Pawła II.

„Cy bocycie Świnty Ojce na ten babiogórski las?" to rozpoznawalny na kilometr utwór z płyty „3 potocki" (chyba jedyna związana z tematyką wiary piosenka, która może przejść „przez usta" Eremefowi). Wielu zarzuci jej ckliwość i sentymentalność. I pewnie będą mieli rację. I cóż z tego, skoro ja słucham jej niezmordowanie od kilku lat? I wciąż bardzo mi się podoba.

Inni zarzucą koniunkturalizm. „Ta płyta nie jest prostym sposobem na zrobienie dużych pieniędzy. Specjalnie nie dałem na okładce wizerunku papieża" - tłumaczy Dziubek. Widać masyw ogromnej Babiej Góry.

Moim faworytem jest „Orawski Psalm" - utwór znany z płyty „Potargano Chałpa" (a nawet ze składanki „Folkowe modlitwy" dołączonej do naszego magazynu). Jest też i C. K. Norwid („Moja piosnka" nagrana pierwotnie na płycie „Groj skrzypko, groj") i świetny hymn „Matka Jaworzyńska". Usłyszymy też dwa premierowe kawałki: „Od anioła do szatana" i „Panienko Ludźmierska".

(jakiś)

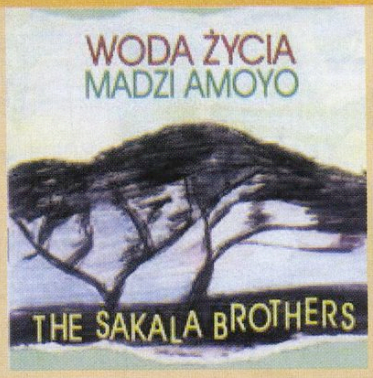

THE SAKALA BROTHERS

Woda życia / Madzi amoyo

płyta / Salezjański Wolontariat Misyjny 2002

Uff! Będzie gorąco. Rozepnijcie koszule, poluzujcie krawaty i koloratki. Żywiołowa, rytmiczna muzyka rodem z Zambii rozgrzewa do czerwoności. Przekonali się o tym ci, którzy uczestniczyli w niezwykłych wiosennych koncertach grupy the Sakala Brothers.

To jeden z najbardziej cenionych zambijskich zespołów, pielęgnujący muzyczną kulturę tego kraju z zachowaniem jej oryginalnego brzmienia, rytmu i emocji. Muzycy pragną ocalić od zapomnienia unikalną zambijską muzykę soul i spirit i czynnie włączają się w animację religijną w kościele afrykańskim. To element prowadzonej w ośrodkach misyjnych ewangelizacji młodzieży, którą przyciąga atrakcyjna forma przekazu. Ten niezwykły zespół przyjechał na kilka miesięcy do Polski i zaraz na początku wydał płytę „Woda życia - Madzi amoyo". Czyja to zasługa? Oczywiście miłośnika „czarnej muzyki" i korzennych afrykańskich rytmów Rafała Boniśniaka - muzyka grającego do niedawna z Tomkiem Kamińskim.

Liderzy grupy - bracia Moses i Levey Sakala - tworzą muzykę budzącą emocje podobne do mundialowej gry senegalskich piłkarzy. Grupa zagrała m.in. na tegorocznym Song of Songs w Toruniu.

Album nagano w Polsce. W jego realizacji uczestniczyli m.in.: Ewa Szyk (skrzypce, mandolina), Rafał Boniśniak (djembe, instrumenty perkusyjne) i Przemysław Łosoś (akordeon, harmonijka ustna).

(jakiś)

archiwum Y

St. Matthias' Singers

Zespół St. Matthias' Singers powstał w 1987 roku przy parafii Św. Macieja w małym, urokliwym miasteczku na Podbeskidziu - Andrychowie. Zespół zmieniał się i przeobrażał, ale od 10. lat działa w następującym składzie: Renata Talar i Anna Kopaczewska /sopran/, Marta Guzik /alt, Katarzyna Dyrcz i Krzysztof Talar /tenor/, Aleksander Wądrzyk i Sławomir Siwek /bas/, ks. Jerzy Gibas /gitara/, ks. Stanisław Joneczko /instr. klawiszowe/, Krzysztof Gibas /instr. perkusyjne/. Muzycy grupy mówią: „Lubimy siebie, lubimy muzykę, a przede wszystkim lubimy Pana Boga, swoim zaangażowaniem i pracą w zespole chcemy Mu służyć. Cieszy nas to, co robimy. I mimo przerw z powodu ożenków, urodzin i innych spraw rodzinnych, które oddalały nas od siebie, ciągle do siebie wracamy i próbujemy śpiewać. Jaką muzykę gramy? Różną. Śpiewamy piosenki z lekką nutą jazzową, z elementami gospelowymi i folkowymi. Jest to zazwyczaj śpiew wielogłosowy z towarzyszeniem instrumentów muzycznych, czasem a'capella. Jedne piosenki są wesołe, inne poważne, ale nigdy smutne". Zespół ma na swoim koncie pięć „materiałów muzycznych": „Daj nam serce, Panie" - 1992 (MC), „Krzyż stał się nam bramą" - 1993 (MC), „Łazarzu, wstań!" - 1993 (MC), „Gdy zabłyśnie pierwsza gwiazdka" - 1995 (MC), oraz - nagrana w 2001 ostatnia jak dotąd płyta „Wesołe niebo", która dzięki pomocy Biura Promocji Kultury i Sportu Kurii Diecezjalnej Bielsko-Żywieckiej ujrzała światło dzienne w kwietniu tego roku. „Koncertowaliśmy w wielu miastach Polski na licznych festiwalach, mniejszych i większych, np.: Gaude Fest w Ustroniu, Sacrosong w Krakowie, Cantate Deo w Gliwicach. Śpiewaliśmy również za granicą we Francji i Niemczech. Ostatnia nasza płyta może być dla Was promykiem radości i nadziei".

*Kontakt z zespołem: Renata Talar tel. 0*33 - 875 85 29*

Zapistnik Toški Krzysztoń

TAJEMNICA SPEŁNIEŃ

Tak... Tak. Byłam w Asyżu

Zatrzymaliśmy się w domu tuż nad tym białym starożytnym miastem i od razu zapragnęłam iść do niego jeszcze przed brzaskiem. Ks. Roman - przewodnik naszej wyprawy - nie zapalił się do tego pomysłu, ale powierzył mi misję specjalną „załatwienia" Mszy przy grobie św. Franciszka.

Wyszłyśmy przed świtem. A świt jak wytrawny sprzedawca niebiańskiego jedwabiu rozwijał kolejne najcieńsze, najdelikatniejsze warstwy.

Znikły gwiazdy i świetliki. Słońce szybko obejmowało królowanie. Schodziłyśmy powoli wśród zieleni i świergotu budzących się ptaków.

Jeszcze przed wejściem do miasta zadzwoniłam do ks. Romana. Poprosiłam, żeby przyszedł do bazyliki tuż przed ósmą (czemu przyszła mi do głowy akurat ta godzina?).

Asyż!!! Pusty. Tylko dwóch wesołych zakonników, bazylika tak dobrze znana i nieznana wcale i ja, która szukam franciszkanina Polaka - by móc się porozumieć... Ale jak go znaleźć w pustym, choć tak życzliwym i bliskim wnę-trzu? Po kilku minutach otwierają się drzwi i staje przede mną brat Polak! „Msza w bazylice?!" - ascetyczna, nieco surowa twarz, szare oczy, w które patrzyłam i nie ruszałam się z miejsca. - „No dobrze, jeszcze sprawdzę" - poddał się. „Jest możliwość!". Możliwość - o 8.00 przy grobie św. Franciszka. Przyszedł ks. Roman. Zakrystianin (Włoch) pyta, gdzie grupa Polaków. A nas 4 osoby... Ale jeszcze nim ks. Roman zaczął sprawować Mszę, kaplica wypełniła się - Polacy!!!

Minął rok. Wróciło to żywe wspomnienie. Pojęłam, że to szczęście, które mnie nie opuszczało w tej świętej sprawie, było łaską udzieloną może jakiejś starszej pani z tej „przypadkowo" spotkanej grupy.

I... zaczęłam zastanawiać się nad tajemnicami spełnień.

Jakbym siedziała na białym piasku i patrzyła w bezkres oceanu...

Moi drodzy życzę Wam Asyżu o świcie

Antonina

W-wa, wrzesień 2002

▪Magda Anioł▪Chili My▪New Life 'M▪Arka Noego▪Tomek Kamiński ▪Violetta Regina Pięciak, Leopold Kozłowski & Chór D.A. z Poznania▪Anna Maria Jopek, Natalia Kukulska, Kasia Stankiewicz, Robert Amirian, Joszko Broda, Grzegorz Markowski, Czesław Niemen, Ryszard Rynkowski, Mietek Szcześniak

płyta dołączona do 20. numeru kwartalnika RUaH

ZAUFAJ TELEDYSKI I PIOSENKI

1. MAGDA ANIOŁ - „Zaufaj" [4:03] - sł./muz. Adam Szewczyk - reż. Grzegorz Sadurski 2. CHILI MY - „Niedzielny przelot" [3:54] - sł./muz. Jacek Wąsowski - reż. Grzegorz Sadurski 3. NEW LIFE 'M - „Z całej duszy" [5:06] - sł. Beata Mencel / muz. Joachim Mencel - reż. Marcin Fischer 4. ARKA NOEGO - „Niebo niebieskie" [3:33] - sł./muz. Robert Friedrich - reż. Grzegorz Sadurski 5. TOMEK KAMIŃSKI - „Z miłości do Ciebie" [3:58] - sł./muz. Tomek Kamiński - reż. Marcin Wrona 6. VIOLETTA REGINA PIĘCIAK, LEOPOLD KOZŁOWSKI & CHÓR D.A. z Poznania - „Ichtis" (LEDNICA 2000) [2:50] - sł. Jan Góra / muz. Leszek Kwiatkowski - reż. Rafał Wieczyński 7. ANNA MARIA JOPEK, NATALIA KUKULSKA, KASIA STANKIEWICZ, ROBERT AMIRIAN, JOSZKO BRODA, GRZEGORZ MARKOWSKI, CZESŁAW NIEMEN, RYSZARD RYNKOWSKI, MIETEK SZCZEŚNIAK - „Osiem błogosławieństw" [4:20] - sł. Mt 5,3-12/muz. - Jan Pospieszalski- reż. Grzegorz Sadurski

TVP 1

Plus radio

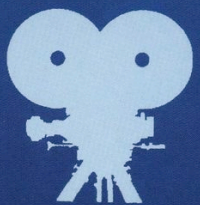

wydawca płyty:
paganini
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11
tel./fax: 0*12-623 71 81
e-mail: firma@paganini.com.pl
www.ruah.pl

lista ruah.pl

Głosuj na piosenki z naszej listy !
Głosowanie odbywa się na www.ruah.pl
oraz na kuponach dołączonych do RUaH

projekt graficzny: Grzegorz Kaczmarek

ISSN 1428 5983 INDEX 345385

Zaufaj
TELEDYSKI I PIOSENKI
paganini
RUaH
CD 021
20
www.ruah.pl
1. MAGDA ANIOŁ „Zaufaj" [4:03]
2. CHILI MY - „Niedzielny wyjazd" [3:54]
3. NEW LIFE 'M - „Z całej duszy" [3:16]
4. ARKA NOEGO - „Niebo niebieskie" [2:55]
5. TOMEK KAMIŃSKI - „Z miłości do Ciebie" [3:58]
6. VIOLETTA REGINA PIECIAK, LEOPOLD KOZŁOWSKI & CHÓR D.A. z Poznania - „Iehtis" (LEDNICA 2000) [2:50]
7. RÓŻNI WYKONAWCY - „Osiem błogosławieństw" [4:20]
ISSN 1428-5983 WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE ZAKAZ KOPIOWANIA EGZEMPLARZ NIE NA SPRZEDAŻ